INTELIGENCI: ŻYCIE PO ŻYCIU

KIM PAN JEST, PANIE MENTZEN?

CHIŃSKI ELEKTRYK PODBIJA EUROPĘ

Kraków 23 kwietnia 2023 nr 17 (3850) cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Jeśli Boga nie ma

TOMASZ POLAK O NADZIEI POZA WIARĄ

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

Albatros travel

Zeskanuj kod QR i dowiedz się więcej

Mongolia – Szlakiem Czyngis-chana

Odwiedź Mongolię – kraj położony pośród dzikich stepów i dziewiczej przyrody, zamieszkały przez nomadów, których styl życia nie zmienił się od setek lat.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przylot do Ułan Bator. Zwiedzanie miasta i Historycznego Muzeum Narodowego oraz placu Niepodległości. **Dz. 3** Ułan Bator. Klasztor Gandan i pałac Bogd-chana. **Dz. 4** Ułan Bator – Park Narodowy Terelj. Park Narodowy Terelj i gigantyczna statua Czyngis-chana. **Dz. 5** Park Narodowy Terelj – Bayangobi. Zakwaterowanie w bazie kempingowej i czas wolny. **Dz.6** Bayangovi – Karakorum. Stolica Czyngis-chana i klasztor Erdenne Zuu. **Dz. 7** Karakorum – Park Narodowy Chustajn. Dzikie konie w Chustajn Nuruu. **Dz. 8** Ułan Bator. Czas wolny, koncert muzyki folkowej i kolacja pożegnalna. **Dz. 9** Wylot do Warszawy.

9 dni | Wyloty z Warszawy 11/09 2023, 01/06 2024

10.998,-

WYKŁAD ONLINE

Kair i rejs po Nilu
20/04/23 o godz. 17:00
Rejestracja na stronie
www.albatros.pl

Sławna Wenecja i nieznane Veneto

Program wycieczki: Dz.1 Wylot z Warszawy do Wenecji. Spacer po Jesolo. **Dz. 2** Zwiedzanie Wenecji. Przepłynięcie łodzią na plac św. Marka, spacer po mieście. **Dz. 3** Padwa i Vicenza. **Dz. 4** Wyspa szklarzy Murano, kolorowa wyspa Burano i Wenecja. **Dz. 5** Czas wolny lub całodniowa wycieczka do Caorle i gospodarstwa agroturystycznego. **Dz. 6** Bassado del Grappa – włoska grappa. Most Ponte Vecchio. Valdobbiadene. **Dz. 7** Dzień wolny na plażowanie. **Dz. 8** Przejazd Jesolo – Wenecja. Powrót do Warszawy.

8 dni | Wylot z Warszawy 28/09 2023

5.198,-

Zachwycający Wietnam

Program wycieczki: Dz.1 Wylot z Warszawy do Hanoi. **Dz. 2** Wycieczka rikszami po zabytkowej części Hanoi. Jezioro Hoan Kiem. **Dz. 3** Zwiedzanie Hanoi: mauzoleum Ho Chi Minha, Pagoda Jednej Kolumny, Świątynia Literatury oraz Wodny Teatr Lalek. **Dz. 4** Hanoi – Zatoka Ha Long, wpisana na listę UNESCO. Rejs i nocleg na statku w zatoce. **Dz. 5** Przelot do Da Nang i przejazd do Hoi An. **Dz. 6** Wycieczka rowerowa po Hoi An. Wyspa Kim Bong, wizyta w pracowni lokalnych rzemieślników. Spacer po zabytkowej części miasta. **Dz. 7** Dzień wolny w Hoi An. **Dz. 8** Hoi An – Hué. Przełęcz Hai Van, rejs Rzeką Perfumową, pagoda Thien Mu oraz mauzoleum Tu Duc. **Dz. 9** Wycieczka rikszami do zabytkowej części Hué, cytadela. Przelot do Ho Chi Minh (dawny Sajgon). **Dz. 10** Rejs Deltą rzeki Mekong. **Dz. 11** Tunele Cu Chi, zwiedzanie Ho Chi Minh i kolacja pożegnalna. **Dz. 12** Spacer po parku, wizyta na bazarze i wylot z Ho Chi Minh. **Dz. 13** Przylot do Warszawy.

13-17 dni | Wyloty z Warszawy 16/10 2023, 28/01, 01/03 2024

od **12.998,-**

REKLAMA

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81
Warszawa, ul. Marszałkowska 74 | Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Kod reklamy: TP09

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

KS. ADAM

Boniecki: *Kościół, system i wiara*

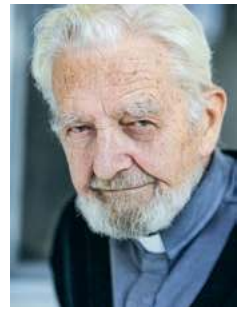

Tomasz Polak udzielił wywiadu „Tygodnikowi”... Dla mnie to bardzo ważne, bo jeśli katolickie pisma zamieszczają wywiady z kimś, kto „był z nami” i odszedł, robią to (zwykle), by pokazać, że odejście jest błędem, że odchodząc nie miał racji, a wszystko, co ma teraz do powiedzenia, jest niewczesną zemstą. Tak nie jest w wywiadzie Bonowicza i Okońskiego. Pytają o racje, chcą zrozumieć. W końcu rozmawiają z człowiekiem, który był kiedyś jednym z najwybitniejszych i najuczciwszych umysłów polskiego Kościoła. Teraz jest wciąż taki, ale poza nim.

Tomasz Polak jest zbyt przenikliwy, by dał się nabrać na „podwójność konceptu wpisaną w każdego biskupa i każdego duchownego”: kochającego ojca i twardego przemocowca. I to jest doświadczenie wspólne, powszechne, ale czy wieczne? Tomasz Polak powiada: „system jest niereformowalny, bo wszystkie zmiany odbywają się na poziomie powłok: samo jądro jest nienaruszalne”. Tak uważa; jak będzie – zobaczymy, chociaż nie tak znowu zaraz. On uważa, że nienaruszalne jest „jądro systemu kościelnego”. Ja uważam, że mimo wszystkich błędów nienaruszalne jest przechowane w Kościele jądro wiary.

Równocześnie z rozmową z Tomaszem Polakiem czytałem niezwykłą książkę: rozmowy Piotra Żyłki z księdzem Manfredem Deselaersem „Niemiecki ksiądz u progu Auschwitz”. „Ja mam już prawie siedemdziesiąt lat, jestem od ponad trzydziestu lat w Oświęcimiu, prawie ćwierć wieku pracuję w Centrum” – opowiada. Mówi, że zaczyna się ostatni etap jego działalności i że chce się podzielić tym, co tu odkrył. Jest tu już długo i nic, ani dziwne podejście polskich władz kościelnych, ani dziwny stosunek do jego obecności w tym miejscu, nie zmienia jego spokojnego trwania. Ksiądz Deselaers po prostu wie, że to jest jego miejsce, i temu miejscu spokojnie służy. Ma wszelkie dane, żeby odwrócić się od wiary. I wszelkie – żeby się nie odwrócić. W wierze znajduje sens tego, co zdaje się totalnym absurdem.

Na niewielkiej przestrzeni, między Oświęcimiem a Poznaniem, żyje dwóch ludzi prawych, uczciwych, światłych i jednocześnie bardzo różnych: ks. Manfred Deselaers i Tomasz Polak. Da się z tym pogodzić. Nie musimy dociekać, który z nich ma rację. Wydaje mi się, że ks. Deselaers nigdy nie spotkał się z Tomaszem Polakiem, ale trudno mi powiedzieć, czy takiego spotkania do czegoś im i mi potrzeba. Ja spotkałem ich obu i teraz, kiedy piszę o rozmowie z jednym, mam w żywej pamięci tego drugiego. Oczywiście, ks. Manfred i jego praca są mi dzisiaj bliżsi niż praca Tomasza Polaka, ale przecież nigdy nie pozbyłem się jego dawnych książek i to, co dziś dla „Tygodnika” mówi, jest mi też jakoś bliskie. Z jednym wyjątkiem: przyszłości, jaką przepowiada. Ja wierzę w odrodzenie chrześcijaństwa, jestem go pewien.

Przewidywania – jak bywa z wiarą – mogą się okazać zbyt ciemne. Albo – przyznaję – zbyt jasne. W takim niepewnym czasie przyszło nam żyć. Ale ja wciąż myślę, że to jest dobry czas, kiedy coś umiera i coś się rodzi. Gdzie? Dla mnie jednak w takich ludziach jak ksiądz Deselaers. ©℗

TYGODNIK POWSZECHNY

Weź „Tygodnik” na Majówkę!

Już od środy 26 kwietnia MOC CZYTANIA NA MAJÓWKĘ – podwójne, wiosenne wydanie „TP”

Po pierwsze: pisz ręcznie | Życie rośnie na działkach | Komu gra Hania Rani Ekspansja Michała Archanioła | Sudety – głębia gór | Gitara – elegia na odejście

W wydaniu także specjalny dodatek poświęcony Nagrodzie Literackiej Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego, a w nim prezentacje nominowanych książek – w kategorii „Najlepsza książka roku” oraz „Najlepszy ogólnopolski poetycki debiut roku”.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

20 Młodsi panowie u bram
JACEK GĄDEK
Konfederacja złapała wiatr w żagle dzięki schowaniu starych i postawieniu na nowych liderów. Już za jedno pokolenie mogą wyprowadzić Polskę z Unii Europejskiej.

32 Jeśli Boga nie ma
ROZMOWA Z TOMASZEM POLAKIEM, TEOLOGIEM:
System kościelny zneutralizował impuls Jezusa, który odwracał hierarchie społeczne, a relacje między ludźmi naznaczał prostotą.

42 Elektryki zza Wielkiego Muru
PIOTR BERNARDYN Z TOKIO
BYD, Xpeng, Nio – dla większości Europejczyków te nazwy marek chińskich aut brzmią enigmatycznie. Wkrótce może się to zmienić.

58 Po końcu świata
ŁUKASZ KWIATEK
Erupcja superwulkanu Toba na Sumatrze była jedną z największych katastrof naturalnych w dziejach Ziemi. I największą, jaką przeżyła ludzkość. Zresztą, nadspodziewanie łatwo.

78 Człowiek, który uczy się bać
MAREK RABIJ
Gdy przy życiu trzymały go tylko opuszki palców wczepione w skałę, czuł, że naprawdę ma je w swoich rękach. Potem został ojcem – i zmieniło się wszystko.

70 Pani Pirx
ROZMOWA Z PAULINĄ REITER, DZIENNIKARKĄ:
Kiedy zamiast kupić dom, kupili jacht, znajomi pukali się w czoło. Dla ***KRYSTYNY CHOJNOWSKIEJ-LISKIEWICZ*** *ważne było mieć w życiu cel i sens.*

ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM // GRAŻYNA MAKARA // THE PRINT COLLECTOR / EAST NEWS // JAN MOREK / PAP // RENAN OZTURK / RED BULL / AFP / EAST NEWS // QILAI SHEN / PANOS PICTURES / FORUM

6 Cud nad elewatorem
MAREK RABIJ

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

KRAJ

20 Młodsi panowie u bram
JACEK GĄDEK

24 Drugie piętro jest trzecie
ULA IDZIKOWSKA:
Nasze szkoły stały się wielokulturowe, ale integracja nie przebiega gładko

27 Pieniądze to nie wszystko
ROZMOWA Z EKONOMISTĄ PAWŁEM KUBICKIM
o reformie systemu wsparcia osób z niepełnosprawnościami

28 Drogo, by było tanio
PIOTR WÓJCIK:
Czy stać nas na termomodernizację budynków?

WIARA

32 Jeśli Boga nie ma
ROZMOWA Z TOMASZEM POLAKIEM, TEOLOGIEM

37 Doktryna z kapelusza
ZUZANNA RADZIK Z BRUKSELI:
Coraz więcej biskupów dopuszcza kapłaństwo kobiet

39 Ukryte piękno
EDWARD AUGUSTYN *o filmie, w którym papież nie ucieka przed pytaniami*

ŚWIAT

42 Elektryki zza Wielkiego Muru
PIOTR BERNARDYN Z TOKIO

DIEGO RADAMES / EUROPA PRESS / GETTY IMAGES

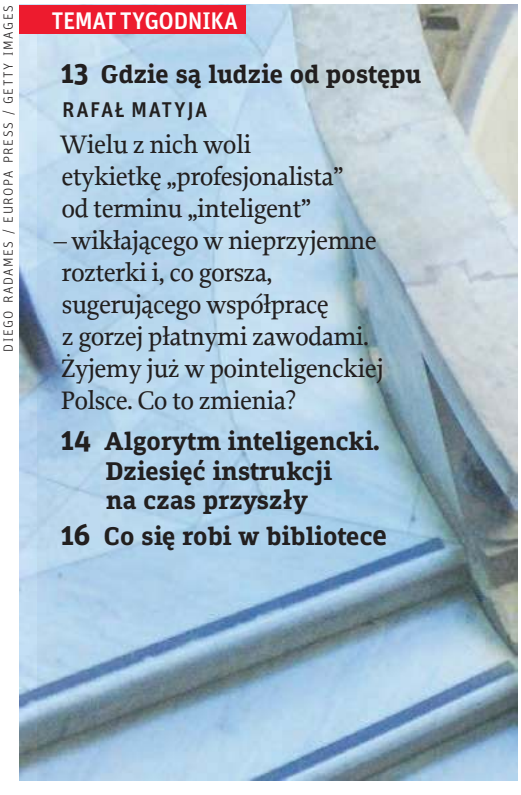

TEMAT TYGODNIKA

13 Gdzie są ludzie od postępu
RAFAŁ MATYJA
Wielu z nich woli etykietkę „profesjonalista" od terminu „inteligent" – wikłającego w nieprzyjemne rozterki i, co gorsza, sugerującego współpracę z gorzej płatnymi zawodami. Żyjemy już w pointeligenckiej Polsce. Co to zmienia?

14 Algorytm inteligencki. Dziesięć instrukcji na czas przyszły

16 Co się robi w bibliotece

FELIETONY

31 TOMASZ STAWISZYŃSKI
41 WOJCIECH BONOWICZ
63 JACEK PODSIADŁO
76 OLGA DRENDA **77** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE:
TOMASZ POLAK, kwiecień 2023 r.
FOTOGRAFIA: GRAŻYNA MAKARA

Redaktor prowadzący: MARCIN ŻYŁA

45 Miasto ukrzyżowane
ANTONINA PALARCZYK Z AWDIJIWKI *o miejscu bronionym przed Rosjanami od 8 lat*

48 Tajemnica Jacka Teixeiry
AGATA KAŹMIERSKA, MICHAŁ GIKOWSKI *o efektach największego od dekad wycieku sekretów USA*

51 Co się dzieje z Węgrami
ANDRZEJ SADECKI: *Ten kraj stał się przystanią dla wszystkich krytyków pomocy Ukrainie*

HISTORIA

54 Noc się rozprasza
MATEUSZ POJNAR *o niezwykłym życiu Jochena Kleppera*

NAUKA

58 Po końcu świata
ŁUKASZ KWIATEK

KULTURA

64 Afera nepalska
MAGDALENA ŁANUSZKA:
W najsłynniejszym muzeum Nowego Jorku eksponowano zrabowane rzeźby

68 Historyk na ringu
MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK *o Pierze Norze*

70 Pani Pirx
ROZMOWA Z PAULINĄ REITER, DZIENNIKARKĄ

74 Cudze notesy
ANITA PIOTROWSKA *o polskim filmie amerykańskiej drogi*

75 Epizod zwany ludzkością
LEKTOR *o „Okamgnieniu" Stanisława Lema*

ZMYSŁY

78 Człowiek, który uczy się bać
MAREK RABIJ

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Indie: oskarżony Rahul Gandhi [Strona świata]
Słynny polityk, skazany na dwa lata więzienia, złożył odwołanie i lada dzień usłyszy wyrok. Zadecyduje on o jego karierze i życiu, a zdaniem wielu także o losie indyjskiej demokracji
– pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** | TygodnikPowszechny.pl/stronaswiata

Matka Rosja wzywa [Rosyjska ruletka]
Ten, kto nie da sobie doręczyć wezwania do wojska, nie będzie mógł wziąć kredytu, rejestrować samochodu ani rozporządzać swoimi nieruchomościami – analizuje **ANNA ŁABUSZEWSKA**
| TygodnikPowszechny.pl/rosyjskaruletka

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

CUD NAD ELEWATOREM

Import zboża z Ukrainy dostarczył PiS pretekstu do udzielenia wsi pomocy w zamian za poparcie w jesiennych wyborach. W ubiegłym roku rolnicy zagrali na zwyżkę cen – i przelicytowali.

MAREK RABIJ

15 kwietnia Jarosław Kaczyński ogłosił, że bez czekania na zgodę Brukseli Polska zawiesza do końca czerwca wwóz zboża i innych produktów spożywczych z Ukrainy. Rządowe agencje rozpoczną skup interwencyjny ziarna zalegającego elewatory.

Zaledwie dwa dni wcześniej politycy PiS uspokajali, że rozwiążą problem bez sięgania po tak radykalne środki, nie ryzykując też otwarcia kolejnego frontu sporu z Unią. Były to obietnice bez pokrycia, o czym – także na łamach „Tygodnika" – mówili eksperci, ostrzegając, że do żniw nie uda się wyeksportować z Polski 10 mln ton niepotrzebnego nikomu zboża. Wygląda więc na to, że w roku wyborczym rząd kolejny raz uległ wsi i wybrał rozwiązanie optymalne dla rolników, za które zapłacą wszyscy podatnicy. Pieniądze na skup interwencyjny pochodzić będą oczywiście ze środków publicznych, *de facto* sfinansuje-

Minister rolnictwa Robert Telus podczas spotkania z rolnikami. Rolnicze miasteczko protestacyjne, Wały Chrobrego w Szczecinie, 13 kwietnia 2023 r.

my więc partii władzy kawał kampanii wyborczej na terenach wiejskich.

Problem z importem zboża z Ukrainy jest oczywiście realny. Blisko 4 mln ton ziarna, które miało jedynie przejechać przez Polskę tranzytem, w podejrzanych okolicznościach trafiło na nasz rynek i doprowadziło do spadku cen skupu. Stało się to w czasie, w którym w polskich elewatorach zalegało (i zalega wciąż) ok. 6 mln ton krajowego zboża – warto zapytać, dlaczego nie trafiło ono wcześniej na rynek.

Ostatnie dane GUS każą przypuszczać, że w ubiegłym roku polska wieś spekulacyjnie zagrała na zwyżkę cen – i mocno przelicytowała. W lipcu ub. roku, kiedy w Polsce końca dobiegały żniwa, cena pszenicy w punktach skupu była niższa w porównaniu z czerwcową o 6,6 proc. – jednak w skali roku wzrosła aż o 81,7 proc. Identyczną tendencję dało się obserwować na rynku detalicznym: kto w lipcu chciał sprzedać pszenicę na targu, mógł dostać za nią o 2,9 proc. mniej niż w czerwcu, ale wciąż o 64,7 proc. więcej niż rok wcześniej.

Wojna w Ukrainie i perspektywa odcięcia dostaw ze „spichlerza Europy" wywołały wiosną 2022 r. globalny szok cenowy. Na paryskiej giełdzie MATIF, na której pod koniec lutego tona pszenicy kosztowała ok. 290 euro, w połowie maja żądano za nią już ponad 400 euro. Przed wakacjami ceny zaczęły spadać, bo pojawiła się szansa na otwarcie czarnomorskiego korytarza zbożowego (co faktycznie nastąpiło od 1 sierpnia). Część polskich producentów doszła jednak do wniosku, że to tylko chwilowe wahnięcie, a horrendalnie wysokie ceny zbóż będą rosnąć dalej – i wstrzymała się ze sprzedażą. Zresztą ówczesny minister rolnictwa wprost zachęcał do takiej spekulacji.

Rolnicy często zostawiają w magazynach część zbiorów, zabezpieczając się w ten sposób przed wahaniami cen. Są to jednak środki głównie z arsenału dużych producentów rolnych – tych samych, którzy stoją dziś na czele głośnych protestów przeciwko trwającemu od roku importowi zbóż z Ukrainy. Trudno więc pozbyć się wrażenia, że pszenica ze wschodu to pretekst, pod którym można przehandlować partii rządzącej poparcie wsi w zamian za uratowanie z pieniędzy publicznych rentowności zeszłorocznych żniw.

Latem 2022 r. Wielkopolska Izba Rolnicza szacowała, że przy zbiorach pszenicy na poziomie ok. 6 ton z hektara zysk netto plantatora po odliczeniu kosztów i po dodaniu dopłat unijnych wyniesie 1855 zł z jednego hektara. Za pszenicę płacono wówczas w skupie ok. 1450 zł za tonę. Gdyby cena spadła do 1000 zł za tonę – a mniej więcej tyle płacą za nią w skupie dzisiaj – każdy obsiany pszenicą hektar przyniósłby 845 zł straty.

PiS obiecuje teraz wsi, że kupi od niej zboże za „co najmniej 1400 zł". ©℗

CEZARY ASZKIEŁOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

BEATA POTOCKA, MATKA ZASTĘPCZA:

Kto odpowie za dzieci

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Najwyższa Izba Kontroli alarmuje: „Za dużo domów dziecka, za mało rodzin zastępczych". Dlaczego to źle?

BEATA POTOCKA: Zacznijmy od tego, że tkwimy w kryzysie, a jednym z jego symptomów jest to, że nadal trzeba zadawać to pytanie – odpowiedź nie stała się w świadomości społecznej oczywista.

ARCHIWUM PRYWATNE

By udzielić tej odpowiedzi, proponuję test na wyobraźnię. Wydarza się wypadek, ciężka choroba, śmierć – coś, co sprawia, że nie jesteś w stanie, tymczasowo albo już nigdy, wychowywać swoich dzieci. Czy chcesz, by opiekował się nimi co osiem godzin inny wychowawca, czy ktoś, z kim dziecko będzie w stanie zbudować więź, liczyć na niego lub na nią rano, po południu i w nocy, gdy np. boli brzuch? O tym, że właśnie bezpieczna więź i stała opieka są nie tylko lepsze dla dziecka, ale czasami wręcz ratują mu życie, wiemy i z badań, i z obserwacji – tylko to nadal nie dociera do wszystkich decydentów. Podobnie jak inny argument z raportu NIK: utrzymanie dziecka w placówce jest kilkukrotnie – kilkukrotnie! – droższe.

Od ponad dekady reformujemy system pieczy zastępczej i udała się jedna rzecz: domy dziecka z molochów przekształciły się w małe, przyjaźniejsze placówki. Ale rodzin zastępczych jak brakowało, tak brakuje.

Wiele zależy od aktywności władz lokalnych. Są powiaty, które nie konserwują wygodnego *status quo*, polegającego na tym, że utrzymujemy nadal domy dziecka, gdyż tak łatwiej rozporządzać etatami i kontrolować placówkę. W Łodzi jest bardzo dużo dzieci poza rodzinami biologicznymi, ale od kilku lat kilkoro urzędników czyni cuda, pozyskując nowe rodziny zastępcze. Jest moja Gdynia, gdzie placówki nie są potrzebne, bo dba się o rodziny. Jest Konin i wiele innych, podobnych miejsc.

Ale tam, gdzie dominują domy dziecka, władze nie ponoszą za działanie na szkodę dzieci konsekwencji. A być może powinniśmy wprowadzić zapis o takiej bezpośredniej odpowiedzialności? I na poziomie lokalnym, i centralnym.

Niedawno rząd znowelizował prawo, podnosząc m.in. minimalne wynagrodzenie dla zawodowych rodzin zastępczych do 4100 zł brutto.

To dobrze, że ta zmiana wreszcie nastąpiła, i nie chcę jej dewaluować: niektóre rodziny pobierały już wcześniej podobne pieniądze, bo wypłacały je świadome samorządy, mimo iż nie musiały tego robić, ale inne rodziny dostawały 2100 zł! Zamiast więc zachwalać wprowadzenie tej korekty, wolę mówić o strasznym wstydzie, że stało się to tak późno.

I dodać, że ci ludzie nadal będą mieli umowy-zlecenia, bo w ocenie ministerstwa inna formuła zatrudnienia nie jest możliwa.

Podwyżka przyciągnie nowych kandydatów na rodziców?

Być może sprawi, że nie odejdą już funkcjonujące rodziny, ale nic więcej. Jaki młody człowiek, funkcjonujący na rynku pracy, na którym generalnie nie ma problemu bezrobocia, będzie chciał zarabiać trzy tysiące na rękę na umowę-zlecenie? Ta podwyżka może coś zdziałać, o ile potraktujemy ją jako pierwszy krok ku dobrej zmianie. ©℗

BEATA POTOCKA *jest matką zastępczą i adopcyjną, ma siedem córek. Przewodnicząca zarządu Koalicji na rzecz Rodzinnej Opieki Zastępczej.*

Minister Czarnek i stachanowcy

PRACA NAUCZYCIELA na dwa etaty: to najnowszy pomysł Ministerstwa Edukacji i Nauki na braki kadrowe w szkołach ponadpodstawowych. Problem jest efektem kumulacji roczników: niecałą dekadę temu rząd PO-PSL wysłał do podstawówek sześciolatki, upychając w dwóch latach szkolnych trzy roczniki sześcio- i siedmioletnich dzieci. W trwającym i przyszłym roku trafiły (trafią) one po latach właśnie do placówek ponadpodstawowych. Kosztem braku klas i kadr.

Co na to resort Przemysława Czarnka? Urzędnicy, na wniosek niektórych samorządów, chcą zezwolić nauczycielom liceów, techników i szkół branżowych I stopnia pracować maksymalnie nie – jak stanowi Karta Nauczyciela – na półtora etatu, ale na dwa, a więc nawet 36 godzin tygodniowo przy tablicy. A że – jak oszacował Instytut Badań Edukacyjnych – faktyczny wymiar pracy pedagoga to co najmniej dwukrotność czasu spędzanego w klasie, w przyszłym roku licealny matematyk bądź polonista będzie przebywał w murach szkoły nawet ponad 70 godzin tygodniowo. Kosztem zdrowia i/lub – jak wskazuje krytykujący pomysł Związek Nauczycielstwa Polskiego – poziomu nauczania. ©℗ PW

Nowa młoda Polska

TO TA GRUPA może zdecydować o wyniku wyborów: aż 15 proc. dorosłych w Polsce ma poniżej 30 lat. „Polityczny portret młodych Polaków", kolejne opracowanie na ich temat (tym razem przygotowane przez Fundację Konrada Adenauera), rysuje niejednoznaczny obraz młodych.

Trzy czwarte deklaruje się jako wierzący (choć ich odsetek spada). Tyle samo uznaje się za singli lub żyje w związkach niesformalizowanych; potomstwo planuje połowa. Dla ponad 60 proc. młodych podział na lewicę i prawicę jest nieaktualny, najwięcej młodych opuszcza elektorat PO i PSL. Głównym źródłem informacji o polityce jest dla nich internet (tylko dla 11 proc. telewizja, a dla 1,8 proc. – prasa). Wierzą jednak w polską demokrację: większość nie obawia się sfałszowania wyników wyborów i zgadza się z tym, że udział w nich jest obywatelskim obowiązkiem.

Tylko 37 proc. młodych jest za wprowadzeniem związków partnerskich, większość nie chce liberalizacji prawa aborcyjnego. Ich konserwatyzm w coraz mniejszym stopniu ma jednak podłoże konfesyjne – 8 na 10 młodych Polaków chce rozdziału państwa od Kościoła. ©℗ ŻYM

PKO BP, czyli bank naprawdę państwowy

MAREK RABIJ

Dariusz Szwed został nowym prezesem banku PKO BP. To już piąta zmiana od kwietnia 2021 roku, kiedy z instytucją pożegnał się kierujący nią przez blisko 12 lat Zbigniew Jagiełło. Od tamtej chwili PKO BP targają kadrowe wichury stanowiące odbicie nie mniej ostrych walk frakcji w obozie władzy. Poprzedni prezes Paweł Gruza miał w branży opinię zaufanego człowieka Jacka Sasina. Następca jest dobrym znajomym Mateusza Morawieckiego.

PKO BP to nie tylko największy polski bank, którego aktywa na koniec ubiegłego roku wyniosły 421,5 mld zł (drugi w zestawieniu Pekao SA zgromadził o 149,7 mld zł mniej). Od lat jest on także nieformalnym rządowym agentem wpływu na rynek bankowy w Polsce. W rozproszonym akcjonariacie PKO BP 29,43 proc. akcji kontrolowanych przez Skarb Państwa zapewnia każdemu szefowi rządu decydujący głos, włącznie z wyborem prezesa. W ten sposób państwo może również wymuszać na sektorze bankowym pewne zachowania, bo decyzje podjęte przez bank mający 11,7 mln klientów z reguły powielają szefowie tych mniejszych. Kiedy w lutym 2016 r. rząd wprowadził podatek bankowy i branża zaczęła odgrażać się, że w rewanżu podniesie opłaty za prowadzenie rachunków, PKO BP zapowiedział utrzymanie polityki cenowej – i faktycznie zatrzymał spiralę podwyżek.

Dlatego dziś wśród hipotez tłumaczących podłoże ostatnich zmian kadrowych w PKO BP pojawia się też taka, która wiąże nominację nowego prezesa z oporem, z jakim poprzedni przyjmował płynące ponoć z Nowogrodzkiej naciski na podwyżki oprocentowania depozytów. Banki w Polsce wciąż oferują lokaty, na których można zarobić najwyżej 6-8 proc. w skali roku. Wyższe oprocentowanie depozytów miałoby efekt antyinflacyjny i nieco łagodziłoby konsumentom dotkliwość drożyny. Inflacja w marcu wyniosła 16,1 proc. ©℗

KRAJ W SKRÓCIE

ŻELAZNA WOLA

13 lat i 6 dni po pamiętnej katastrofie Jarosław Kaczyński oświadczył, że „ukaranie odpowiedzialnych za zbrodnię smoleńską, ale także za oszustwo smoleńskie, to jeden z warunków naszego ostatecznego zwycięstwa", po czym zapowiedział złożenie do prokuratury zawiadomienia o zamordowaniu prezydenta. Antoni Macierewicz doczekał się od prezesa PiS podziękowań „za żelazną wolę, upór, za to, że się nie cofał".

DO DNA

„Szambiarz Andrzej Stankiewicz zanurkował dziś na dno szamba" – napisał Zbigniew Ziobro na Twitterze, chyba nieświadomie opisując stan własnego obozu politycznego, który od lat opisuje dziennikarz Onetu.

PISZ PAN

„Gazeta Wyborcza" informuje, że po wybuchu afery mailowej zakończonej dymisją ministra Dworczyka premier Morawiecki kontynuował służbową korespondencję z prywatnej skrzynki. Szef rządu zmienił jedynie adres, z którego korzystał.

NIE PISZ PAN

Jacek Kurski zadebiutował w „Rzeczpospolitej" jako publicysta ekonomiczny. Fala krytyki, jaka spotkała dziennik po tym artykule (a także „pewien wysiłek moralny" naczelnego włożony w jego zamieszczenie), wróży jednak, że był to występ jednorazowy.

RDC POLSKIE RADIO

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM
Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM
Siedlce 103,4 FM

Dwa fatalne sygnały

WOJCIECH PIĘCIAK

Kiepskie miejsce i czas wybrał prezydent Francji, by podzielić się przemyśleniami na temat relacji między Europą a USA: akurat podczas podróży do Chin i akurat w chwili, gdy Pekin prowadził wielkie manewry – symulację inwazji Tajwanu.

Choć nawet gdyby padły w innym miejscu i czasie, słowa Emmanuela Macrona – jego zrozumienie dla aspiracji Chin wobec Tajwanu i pogląd, że ewentualna wojna o wyspę to nie sprawa Europy oraz enuncjacje o relacji krajów Europy z USA (padło pojęcie „wasale") – byłyby fatalnym sygnałem. Dla Tajwańczyków (to tak, jakby Macron mówił prezydentowi Xi: możesz podbijać Tajwan, relacje Chin z Europą na tym nie ucierpią) i dla Amerykanów (obrażanie się na USA jest cokolwiek niedojrzałe w chwili, gdy rosyjska inwazja na Ukrainę pokazuje, iż Francja czy Niemcy to militarno-strategiczne „karzełki"), i dla Europejczyków. Unia potrzebuje wspólnej strategii wobec Chin – wspólnej, bo rzecz dotyczy w znacznym stopniu handlu i technologii (np. elektromobilności; piszemy o tym w dziale Świat). Tymczasem zamiast pracy nad taką strategią mamy narcyzm Macrona.

Kiepski czas wybrał też prezydent Niemiec, by odznaczyć Angelę Merkel najwyższym niemieckim orderem. Krzyż Wielki Orderu Zasługi Klasy Specjalnej jest przyznawany rzadko, z kanclerzy dostali go tylko Adenauer i Kohl. Wyróżnienie Merkel wolno interpretować jako docenienie (ciśnie się słowo: rehabilitacja) całokształtu jej polityki. Cokolwiek jednak by sądzić o jej dorobku w innych sferach (np. wkład w przeprowadzenie UE przez kryzys finansowy), cieniem na „szesnastolatce" Merkel kładzie się jej ślepota wobec Kremla. To szereg błędnych – jak przyznają dziś sami Niemcy – decyzji (Nord Stream to jedna z nich), które Putin mógł interpretować jako danie mu wolnej ręki dla jego agresywnych poczynań. Po 1945 r. Niemcy aspirowały do tego, aby być interpretatorem haseł *Nie wieder* (Nigdy więcej) i *Wehret den Anfängen* (dosłownie: Zło trzeba zdusić w zarodku). Tu Merkel zawiodła. Fakt, że order wręcza Frank-Walter Steinmeier, współwinny tej polityce, dodatkowo budzi niesmak. ©℗

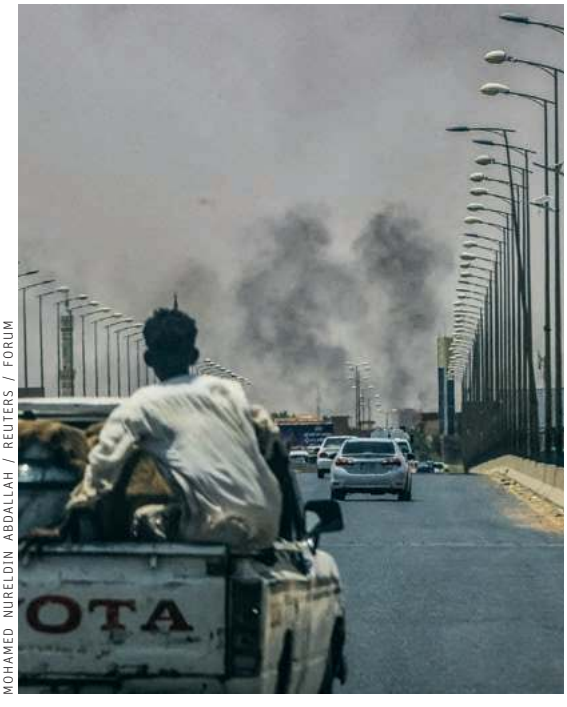

MOHAMED NURELDIN ABDALLAH / REUTERS / FORUM

OSTRE WALKI wybuchły w Chartumie między sudańską armią a paramilitarną milicją RSF. Po dwóch dniach starć, w których zginęło lub odniosło rany kilkaset osób, armia zdawała się przejmować kontrolę nad głównymi punktami stolicy. Konflikt wojsko-RSF trwa od 2019 r., gdy obie strony obaliły dyktatora Omara al-Baszira i powołały rząd tymczasowy. Jednak w 2021 r. żołnierze dokonali puczu i objęli pełnię władzy. Przywódcy RSF twierdzą, że chcą zaprowadzić w Sudanie demokrację. Na zdjęciu: most na Nilu, łączący stolicę z miastem Omdurman, 15 kwietnia.

©℗ WP / REUTERS

Mniej bukmacherów w angielskim futbolu

NIEKTÓRZY WZRUSZAJĄ ramionami: stać ich, to mogą sobie zakazywać, mówimy wszak o najbogatszej i najchętniej oglądanej lidze świata, której kluczowe podmioty przebierają w ofertach reklamowych. Sam gest i sygnał jest jednak mocny: oto władze angielskiej Premier League, w porozumieniu z występującymi w niej klubami i po konsultacjach z ministerstwem kultury, mediów i sportu, postanowiły usunąć z centralnego miejsca na koszulkach piłkarzy reklamy firm bukmacherskich. Zakaz wejdzie w życie od sezonu 2025/26; dziś instytucje organizujące zakłady są głównymi sponsorami aż ośmiu drużyn.

Sygnał jest mocny, bo potentaci sportowego przemysłu przyznają w ten sposób, że reklama hazardu nie jest niewinna, samo zjawisko zaś prowadzi do uzależnienia. A tytułem kontekstu wypada dodać, że w Polsce firmy bukmacherskie są oficjalnym partnerem reprezentacji i sponsorują 7 klubów ekstraklasy, nie mówiąc o licznych celebrytach świata okołopiłkarskiego.

©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

Historyczna zmiana

INDIE to najludniejszy kraj świata: 14 kwietnia ich populacja wyprzedziła populację Chin. Choć data tej zmiany w globalnym porządku demograficznym jest umowna – wyznaczyła ją opublikowana kilka miesięcy temu prognoza ONZ (wcześniej ONZ ogłosiła 15 listopada 2022 r. dniem, w którym światowa populacja przekroczyła 8 mld). Według danych World Population Review liczba mieszkańców Indii osiągnęła zatem 1,43 mld, a Chin wynosi 1,42 mld (i po raz pierwszy od 60 lat zaczęła spadać).

Tymczasem Indie nie mogą się doliczyć dokładnej liczby mieszkańców. Planowany na 2021 r. spis (pierwszy od dekady) nie odbył się z powodu pandemii. Nierówności, z którymi boryka się kraj, odzwierciedla nawet demograficzna geografia: podczas gdy zajmujący Nizinę Gangesu stan Uttar Pradeś zamieszkuje na ponad 240 tys. km2 niemal 240 mln ludzi, w czterokrotnie mniejszym górzystym Ladakhu żyje ich prawie tysiąc razy mniej.

Naukowcy podchodzą do demograficznych danych z Indii z rezerwą. Faktyczna zmiana lidera rankingu populacji mogła nastąpić już pod koniec 2022 r. albo nastąpi dopiero w lipcu. Niemniej kanon wiedzy, w którym Chiny od trzech pokoleń uznawano za najludniejszy kraj świata, można już skorygować. Na kolejne trzy pokolenia. Oczywiście według szacunków demografów. © BARTEK DOBROCH

Świeccy w Paderborn nie wybiorą biskupa

WATYKAN ZABLOKOWAŁ udział świeckich w wyborach biskupa archidiecezji Paderborn. To jedna z 15 (na 27) niemieckich diecezji, w których na mocy konkordatu pruskiego najpierw kapituła katedralna tworzy listę kandydatów, z której papież wybiera trzech, a następnie z tych trzech kanonicy wybierają nowego biskupa, którego papież zatwierdza, jeśli władze państwowe nie mają zastrzeżeń. Procedura objęta jest tzw. tajemnicą papieską, której ujawnienie zagrożone jest karami kanonicznymi.

W Paderborn po ustąpieniu w październiku 2022 r. abp. Hansa-Josefa Beckera zgodnie z wytycznymi niemieckiej Drogi Synodalnej oprócz 14 kanoników utworzono grupę 14 świeckich, którzy razem z kapitułą katedralną sporządzili listę kandydatów. Watykan nie zgodził się jednak na dalszy udział świeckich w procedurze. „Z odpowiedzi z Rzymu wynika jasno, że objęcie świeckich tajemnicą papieską, a tym samym udział w wyborze arcybiskupa, jest niezgodny z postanowieniami konkordatu pruskiego i zagraża legalności wyboru biskupa" – poinformowała archidiecezja. Warunkiem dopuszczenia świeckich byłaby renegocjacja konkordatu z krajem związkowym.

To wyraźny sygnał dla innych niemieckich diecezji. W diecezji Osnabrück po marcowej rezygnacji bp. Franza-Josefa Bodego 9-osobowa kapituła katedralna poprosiła Radę Katolicką o wskazanie 9 świeckich. Ich udział w wyborach biskupa sformułowano ostrożnie: „Grupa rozważy pytania dotyczące osobistego profilu przyszłego biskupa i wymieni się pomysłami na temat konkretnych nazwisk".

Dotychczas kapituły katedralne przed sporządzeniem listy kandydatów odbywały niesformalizowane konsultacje ze świeckimi. Konkordat pruski (podpisany w 1929 r.) po II wojnie światowej został przyjęty przez diecezje z byłego Państwa Pruskiego, które znalazły się w granicach RFN, a po zjednoczeniu także z terenów byłego NRD. Obowiązuje w Berlinie, Hamburgu, Kolonii, Paderborn, Akwizgranie, Erfurcie, Essen, Fuldzie, Görlitz, Hildesheim, Limburgu, Magdeburgu, Münsterze, Osnabrücku i Trewirze. ©℗ ASK

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

OBSERWATORIUM

„Rzekome przesłania powodują zamęt, szerzą niepokojące apokaliptyczne wizje lub nawet oskarżenia pod adresem papieża i Kościoła" – tak Papieska Międzynarodowa Akademia Maryjna tłumaczy potrzebę utworzenia Obserwatorium ds. objawień i zjawisk mistycznych związanych z postacią Matki Bożej.

GOŚĆ

Czeski teolog ks. Tomáš Halík będzie głównym mówcą na wrześniowym 13. zgromadzeniu Światowej Federacji Luterańskiej w Krakowie. „Pochodząc z jednego z najbardziej zsekularyzowanych krajów Europy, jest on mocnym głosem nadziei na przyszłość chrześcijaństwa – powiedziała sekretarz generalna Federacji ks. Anne Burghardt. – W swoich książkach podkreśla, że religia naprawdę martwa to taka, która nie podlega zmianom".

PRZEPROSINY

Prawosławny arcybiskup Jerzy przeprosił luteranów za incydent ze stycznia, kiedy do modlitwy ekumenicznej przed Pomnikiem Bohaterów Getta nie dopuszczono ks. Wiktorii Matloch. Zwierzchnik luteranów bp Jerzy Samiec zadeklarował, że skoro Kościół prawosławny jako gospodarz wydarzenia nie życzy sobie udziału kobiet księży, nie będą one delegowane na uroczystości w cerkwiach. Więcej na powszech.net/incydent.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA"
co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w Radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

Układ zamknięty

ARTUR SPORNIAK

„Moje ręce są za krótkie, a władza nade mną silna i skuteczna" – napisał dominikanin Marcin Mogielski, informując o swoim przejściu do Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego. Przez trzy dekady zakonnik walczył o sprawiedliwość dla osób wykorzystanych seksualnie przez szczecińskiego duchownego ks. Andrzeja Dymera, sam będąc jego ofiarą. Mimo kościelnego wyroku uznającego winę nieżyjącego już kapłana, archidiecezja szczecińsko-kamieńska do dziś nie uznaje swojej odpowiedzialności wobec ofiar. Mogielskiego spotykały szykany i pomówienia. W rozmowie z „Tygodnikiem" powiedział, że w końcu musi zatroszczyć się o siebie.

Dzięki determinacji dominikanina, metropolicie szczecińskiemu abp. Andrzejowi Dziędze wytoczono kościelny proces o tuszowanie pedofilii. Sprawa utknęła w Watykanie – wygląda na to, że po wizycie *ad limina* polskich biskupów w 2021 r. wydawanie wyroków na hierarchów zostało wstrzymane.

W sytuacji kryzysowej system kościelny uruchamia antyreformatorskie mechanizmy. Wezwania do nawrócenia nie wystarczają – potrzebne są zmiany strukturalne. Kto nie jest przekonany, niech spojrzy na archidiecezję szczecińsko-kamieńską. ©℗

Watykańska szkoła zawodowa

KAMIENIARSTWA, SZTUKATORSTWA I STOLARSTWA będzie można się uczyć w Watykanie. Fabryka św. Piotra, założona pięć wieków temu do budowy największej bazyliki na świecie, gdzie do fachu przysposabiali tacy mistrzowie jak Michał Anioł czy Rafael, otwiera – po 250 latach przerwy – warsztaty rzemiosła artystycznego metodami tradycyjnymi.

W potocznym języku „fabryka św. Piotra" stała się co prawda synonimem niekończących się prac, zwłaszcza w budownictwie, jednak nauka w nowej szkole nie będzie długa. Sześciomiesięczny kurs zdominują zajęcia praktyczne pod okiem szefów watykańskich pracowni, z niewielkim dodatkiem historii sztuki i liturgiki.

Szkoła jest bezpłatna, zaprasza do rekrutacji absolwentów techników, niekoniecznie najmłodszych – także już pracujących w zawodzie lub studiujących. Na pierwszy semestr przyjęto 20 kandydatów z Włoch, Peru, Niemiec i Białorusi. Jest wśród nich 8 kobiet – Fabryka św. Piotra szczyci się, że od pierwszych lat istnienia dbała o równość płci, a panie osiągały mistrzowski poziom nie tylko w sztuce witrażu czy ceramiki, ale także w rzeźbie w kamieniu i drewnie, murarstwie czy kowalstwie artystycznym. ©℗ EDWARD AUGUSTYN

KULTURA W SKRÓCIE

UPIÓR JUŻ NIE STRASZY

W niedzielę 16 kwietnia w Nowym Jorku po raz ostatni zagrano musical Andrew Lloyda Webbera „Upiór w operze". Było to najdłużej grane przedstawienie w historii Broadwayu – utrzymywało się na scenie ponad 35 lat. Radio NPR obliczyło, że od premiery zagrano „Upiora" 14 tys. razy dla ponad 20 mln widzów. Reżyserem spektaklu był Hal Prince.

LUPA WYSTAWIA SEBALDA

Premiera najnowszego spektaklu Krystiana Lupy „Wyjechali" odbędzie się 1 czerwca w Genewie. Sztuka na podstawie słynnej książki W.G. Sebalda będzie także prezentowana od 14 do 22 lipca na festiwalu teatralnym w Awinionie.

PAWEŁ CZERNICKI / MATERIAŁY PRASOWE MNK

KRAKÓW OGLĄDA NOWOSIELSKIEGO

Wystawa przygotowana w krakowskim Muzeum Narodowym z okazji setnej rocznicy urodzin Jerzego Nowosielskiego przedstawia trzy wątki twórczości artysty: pejzaż, ciało i abstrakcję. Zbiory można oglądać do 15 października. Na zdjęciu: „Wschód słońca", 1965 r.

BIAŁYSTOK NAGRADZA POEZJĘ

Marcin Mokry za tom poetycki „Żywe linie nowe usta" oraz Anouk Herman za debiut „Right into pod tramwaj" otrzymali tegoroczne Nagrody Literackie Prezydenta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego.

CLAUDIO CONTRERAS / BE&W

CHIMERYCZNE MRÓWKI *Anoplolepis gracilipes* (na zdjęciu) są ucieleśnieniem konfliktu między rodzicami. Organizmy rozmnażające się płciowo mają taki sam zestaw genów w każdej komórce ciała: połowę odziedziczyły od ojca, drugą – od matki. Ale samce *A. gracilipes* są wyjątkiem w świecie zwierząt, ponieważ podczas zapłodnienia nie dochodzi u nich do wymieszania się materiału genetycznego rodziców. W efekcie ich ciała składają się z dwóch garniturów komórek: jeden zawiera wyłącznie DNA ojca, drugi – wyłącznie DNA matki. Jak donoszą Hugo Darras i współpracownicy w „Science", oba typy komórek rywalizują o to, który zestaw genów zostanie przekazany potomstwu. ©℗ ŁK

Komu zawdzięczamy oko

MOŻLIWOŚĆ ROZEJRZENIA SIĘ, dostrzeżenia niebezpieczeństwa i lokalizowania pożywienia z oddalenia ułatwiły życie naszym przodkom. Tak złożony narząd zmysłu jak oko nie mógł jednak pojawić się nagle – musiał wyłaniać się stopniowo, a wystąpienie kilku etapów wciąż trudno wyjaśnić.

Zespół Matthew Daugherty'ego z Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Diego porównał geny odpowiedzialne za działanie oka u różnych grup zwierząt. I doniósł w „PNAS", że białko IRBP, kluczowe dla działania fotoreceptorów kręgowców, miało swój początek w genie należącym do bakterii.

Do przejęcia genu bakterii przez jednego z przodków wszystkich żyjących kręgowców mogło dojść ponad 500 mln lat temu w procesie tzw. poziomego transferu genów. Mówi się o nim, gdy część materiału genetycznego organizmu przeskakuje do genomu innego osobnika (nawet pochodzącego z innego gatunku), np. przy okazji infekcji (bakterią, wirusem czy grzybem). Wiedzieliśmy już, że różne niefunkcjonalne fragmenty DNA to pozostałości po takich transferach – okazuje się jednak, że możemy im zawdzięczać także kluczowe innowacje.

© KATARZYNA DZIADOWICZ

Nowy mechanizm starzenia się organizmu

ZBYTNIA SZYBKOŚĆ skraca życie. Przynajmniej jeśli chodzi o kopiowanie genów. Bo nadmierny pośpiech prowadzi do powstawania kosztownych błędów.

W opisanym przez „Nature" badaniu zespół Andreasa Beyera z Uniwersytetu Kolonii wykazał, że z wiekiem rośnie prędkość, z jaką zachodzi transkrypcja DNA – czyli przepisywanie genów na RNA, służące np. jako wzorzec produkcji białek. Proces zachodzi szybciej, bo odpowiadający za niego enzym znany jako polimeraza RNA II (Pol II) coraz szybciej porusza się wzdłuż nici DNA. Jednocześnie jednak rośnie liczba błędów w skopiowanym genomie. To samo zjawisko zaobserwowano u muszek, nicieni, szczurów, myszy i ludzi.

W młodych organizmach DNA jest ciasno owinięte wokół białek zwanych histonami, by zajmowało mniej miejsca (DNA w każdej z komórek naszego ciała miałoby, po wyprostowaniu, ok. 2,5 m długości). Z wiekiem takich zawiniątek ubywa, DNA jest luźniej upakowane, a Pol II może poruszać się szybciej. Gdy naukowcy zwiększyli liczbę histonów w komórkach, Pol II zwolniło, a czas życia muszek owocowych wydłużył się o 10 do 20 proc. Kluczem do długowieczności może być więc... sprzątanie w komórce. Podobny, spowalniający ów enzym efekt ma też m.in. dieta niskokaloryczna czy hamowanie szlaku sygnalizacyjnego insuliny.

© MICHAŁ GIKOWSKI

TEMAT TYGODNIKA

GDZIE SĄ LUDZIE OD POSTĘPU

Uciekła na lepiej płatne posady, wypchnięto ją z polityki, oddała własne bastiony, wybrała seksowniejsze etykiety: profesjonalistów, klasy średniej. Czy państwo bez inteligencji może być inteligentne?

RAFAŁ MATYJA

Nikt już nie pyta o inteligencję. Nie słychać nawet, żeby ktoś za nią tęsknił albo się z nią otwarcie identyfikował. Co się stało? Czy niepostrzeżenie zniknęła cała klasa ludzi? Jedno jest pewne: żyjemy już w innej, pointeligenckiej Polsce.

Nasze społeczeństwo ma słabe elity gospodarcze i administracyjne oraz słabe instytucje określające interes publiczny (w dodatku niezdolne do stania na jego straży). Sektor publiczny ulega degradacji, samorządy tracą finansowy grunt pod nogami. A agenda polityczna? Jest martwa, choć tak gorączkowo dyskutowana. Martwa – czyli bez znaczenia dla naszego życia.

Każdy element tego wyliczenia należał kiedyś do inteligenckich wyzwań, podejmowanych w imię postępu i nowoczesności. Trudno więc nie zapytać o to, kto dziś przejmuje rolę inteligencji.

Dwie energie

Inteligencja była w Polsce ważnym współtwórcą nowoczesności. Trochę dziedzicząc tę rolę po dawnych elitach, trochę przyjmując rolę państwa. I – co ważne – zawsze pozostając wobec tych elit, tego państwa i nawet samej siebie odrobinę krytyczna. Odrobinę, a nie bardzo – bo też inteligencja powielała liczne błędy każdej innej nieźle urządzonej grupy społecznej. Czasem była zbyt pewna siebie i egoistyczna, czasem uważała się za wyłącznego depozytariusza idei postępu, lekceważąc ducha demokracji. Innym jeszcze razem czuła się zaszczuta i marginalizowana przez populizm. Nagonki na inteligencję były bowiem skutecznym narzędziem jego społecznej legitymizacji.

Teraz inteligencja schodzi ze sceny pod naporem toksycznej mieszanki kapitalizmu i populizmu na technologicznych sterydach. Zanikają nie tylko resztki jej etosu, ale i rozumienia kultury – zdolności do skupionego i wytrwałego przyglądania się światu, czytania i słuchania. A także respektu dla szkoły, w której przyjaznym cieniu rozwijały się przez ostatnie sto kilkadziesiąt lat europejskie społeczeństwa.

Śmierć polskiej inteligencji jest powolnym, prawie niedostrzegalnym odchodzeniem – długo będziemy się spierać o to, czy jeszcze daje jakieś oznaki życia. To błąkanie się między „jeszcze tak" a „już nie" zabija z czasem każdą ciekawą dyskusję. Dlatego ważniejsze jest to, czy inteligencja umrze bezpotomnie, czy też „zreprodukuje się" w jakiś istotny sposób. Optymistyczny scenariusz zakłada powstanie innej grupy zdolnej do krytycznego spojrzenia i racjonalizowania społecznych relacji. A także zdolnej do wychodzenia poza prostą logikę interakcji między dwiema miotającymi naszym światem energiami: kapitalistycznej akumulacji i populistycznie podkręconej demokracji.

Obie te energie często ze sobą współgrają. Podobnie wykorzystują ludzkie zachowania, wpływając na decyzje konsumenckie i wyborcze. Istnienie grupy, która nie jest ściśle poddana logice tych żywiołów, byłoby pożądane. Jednak musiałaby ona być impregnowana na presję kapitalizmu jako dostarczyciela sensów życia, często wchodzącego wręcz w rolę religii. Nie mogłaby też podlegać duchowi anarchicznie nastrojonego populizmu, który w istocie nie ufa już państwu i jego instytucjom, ale wykorzystuje publiczne pieniądze do budowania doraźnej przewagi w sondażach.

Na razie żyjemy w przeświadczeniu, że oba zagrożenia są przejściowe. W kapitalizmie chętnie dostrzegamy przemijającą właśnie neoliberalną przesadę, a w populizmie – zaledwie efekt parady potworów podobnych do Trumpa i równie jak on „przypadkowych". Realiści widzą w tym jednak trwałe zjawiska, na które trzeba mieć lepszą odpowiedź niż tylko przeczekanie.

Westybul w Muzeum Archeologicznym w Neapolu.

FRANCESCO GUSTINCICH / ALAMY / BE&W

Ten podział wydaje się ważniejszy od wszystkich innych różnic. Pierwsza prognoza daje nadzieję na to, że w końcu zdarzy się coś, co przywróci dawne porządki. Druga – realistyczna, więc uznawana za pesymistyczną – mówi, iż trzeba poszukiwać nowych recept. Innego kształtu postępu.

Tylko gdzie?

Ćwiczenia z przystosowania

W XX w. inteligencja była czymś więcej niż tylko elementem klasowej układanki. Dawała także możliwość wypełniania istotnych dla całości społeczeństwa funkcji. W Polsce – państwie, które nie wpisało się w logikę funkcjonowania europejskiego centrum, nie miało silnych elit finansowych, administracyjnych i politycznych – inteligencja stanowiła nie tylko naturalną bazę rekrutacji obywateli na wysokie stanowiska publiczne. Formułowała też kulturowe i polityczne strategie.

To dlatego, jak opisują w „Inteligenckim totemie" Rafał Smoczyński i Tomasz Zarycki, tak chętnie przejęła dziedzictwo arystokracji jako elity państwowej dawnej Rzeczypospolitej, a zarazem elity kulturalnej pierwszych dekad porozbiorowych. Tyle tylko, że z roli tej w końcówce XX w. po prostu się wycofała, zajmując nowe pozycje w różnicującym się społeczeństwie.

Wielu już w latach 90. wolało etykietkę „profesjonalisty" od terminu „inteligent" – pretensjonalnego, brzmiącego nad wyraz staroświecko, wikłającego w nieprzyjemne rozterki i, co gorsza, sugerującego wspólnotę z gorzej płatnymi zawodami dawnej inteligencji. W rzeczy samej elita prawników, lekarzy czy ekspertów instytucji publicznych mało ma wspólnego ekonomicznie z nauczycielami czy młodszą kadrą akademicką. Nie byłoby w tym niczego złego, gdyby nie fakt, że komercjalizacja lub biurokratyzacja zawodów inteligenckich zmieniły szersze reguły gry i eliminowały inteligencję z jej tradycyjnej roli. Działo się to także w sektorze publicznym, którego instytucje, owładnięte pasją cięcia kosztów, mierzenia efektywności i konkurencyjności, traciły swoją obywatelską specyfikę.

> Sygnałem „śmierci inteligencji" nie są pohukiwania propagandystów PiS, lecz brak solidarności z walczącymi o lepsze płace nauczycielami i zlekceważenie antypaternalistycznej wymowy Strajku Kobiet.

Szybko okazywało się zresztą, że ta konkurencyjność jest urojona. Chodziło tylko o wzmocnienie czysto formalistycznych kryteriów oceny i kontroli. W zamian dawano nadzieję na zarobki z tego sektora. Świetnie było to widać w nadziejach części środowiska akademickiego związanych z reformą Jarosława Gowina. Sam mechanizm parametryzacji działał motywująco. Nie trzeba było wiązać z nim konkretnych i wymiernych nagród. Fakt, że coś liczymy i zmuszamy do wykonania norm, podziałał na uczelniane administracje wystarczająco silnie.

I tak właśnie ostatnie dwie dekady stworzyły mechanizm osłabiania krytyki społecznej, wypchnęły ją na ideologiczne marginesy. Nie mieściła się ona ani w jałowym intelektualnie sporze między PO a PiS, ani w szerszych mechanizmach „refleksyjnego państwa" podpowiadanych nam przez logikę działa-

Algorytm inteligencki. 10 instrukcji na czas przyszły

0001 Przyszłość zaczęła się wczoraj. Przestań rozpamiętywać. Zacznij się rozglądać.

0010 Nie ma już przykazań, są algorytmy. Dobro i zło nadal istnieją, ale nie ma już jednego przepisu na właściwe życie. Nie ufaj mapom, ale dbaj o swój kompas.

0011 Prawda i fałsz nadal są ważne. W końcu kod jest ciągiem zer i jedynek. Ale ludzie to nie maszyny. Żeby ich przekonać, potrzebujesz nie tylko danych, ale też opowieści. A najlepsze opowieści zaczynają się od słuchania.

0100 Otaczaj się ludźmi, którzy mówią ci, że się mylisz. Czytaj autorów, którzy cię denerwują.

0101 Możesz się nazywać inteligentem/inteligentką, jeżeli sprawia ci to przyjemność. O ile nie uznajesz się przez to za osobę gorszą ani za lepszą od innych. Każdego dnia jesz i mieszkasz pod dobrym dachem wyłącznie dlatego, że są na świecie ludzie, którzy inteligentami nie są. Łatwo się dostrzega wszystko, na co się zapracowało samemu. Skup się na tym, co zawdzięczasz innym. Taka świadomość rodzi wdzięczność. Wdzięczność rodzi wzajemność. Najpewniej urodziłeś/aś się po właściwej stronie muru. Nierówności przynoszą ci korzyść. Miej odwagę to przyznać. Zrób wszystko, by były jak najmniejsze, albo spędzaj każdy dzień w udręce wyrzutów sumienia.

0110 „Elity" to brzydkie słowo. Czytanie poezji nie musi (choć może) uczynić cię lepszym człowiekiem. Za to oglądanie seriali i granie w gry może (choć nie musi) uczynić cię człowiekiem nieco bardziej uśmiechniętym.

0111 Twoim domem jest przestrzeń publiczna. W świecie, w którym wszystko będzie prywatne, skończysz na tułaczce, nawet posiadając willę z basenem.

1000 Co jakiś czas sprawdzaj, czy wciąż jesteś człowiekiem. Jeżeli myślisz jak maszyna – zastąpią cię maszyny.

1001 Narzekanie jest twoją supermocą. Używaj jej mądrze.

1010 Tym razem nie będzie żadnej arki, żadnego wielkiego muru ani schronu. Albo ocalejemy wszyscy, albo nie uratuje się nikt.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

PS. Tak, to żart. Ale pamiętaj, niewiele jest dziś spraw poważniejszych niż żarty.

nia Unii Europejskiej. Mantra o tym, że Polska nie dorosła do standardów Brukseli, rozbijała się o dalekie od doskonałości realia funkcjonowania Unii. Ale w to miejsce nie powstała żadna nowa myśl „europejska", lepiej określająca polską strategię i wychodząca poza logikę „przystosowania".

To właśnie w biurokratyzacji rozumienia procesu integracji widać jak na dłoni skutki braku optyki inteligenckiej, zdolnej do wyjścia poza prosty pragmatyzm „absorpcji środków". Dla części tradycyjnej inteligencji sam ten proces wiązał się zresztą z nowymi ofertami – zwykle profesjonalizacji w zamian za zaniechanie krytycznego spojrzenia. I to profesjonalizacji wyposażonej w zachęty finansowe (lepiej płatną pracę przy projektach unijnych), a także prestiżowe (wyższą pozycję od innych segmentów administracji). Dla części stanowił też szansę (lub tylko obietnicę) kariery w instytucjach unijnych w Brukseli.

Nie mówimy tu o jakimś „warszawskim zjawisku". Pracy przy projektach europejskich było dużo w całym kraju. Przemysł szkoleniowy pochłaniał ogromne środki i energię tych, którzy w poprzedniej dekadzie kombinowali, jak dorobić do skromnych pensji w sektorze publicznym. Był też czynnikiem zmiany pokoleniowej, tworząc perspektywę karier równoległych do politycznych i naukowych. Ktoś w końcu napisał te kilometry strategii, wniosków, diagnoz, planów rewitalizacji, restrukturyzacji i czego tam jeszcze wymagała logika absorpcji unijnych środków. W tej aktywności tkwi zapewne tajemnica słabej reprezentacji dzisiejszych czterdziestolatków w życiu politycznym i intelektualnym.

Ruch w kierunku profesjonalizacji kadry urzędniczej i wzmocnienia jej poziomu merytorycznego, także przez mechanizmy selekcji do pracy przy projektach unijnych, mógł wytworzyć nową grupę zdolną do przejęcia części funkcji wypełnianych przez inteligencję. Jednak zamiast ją wzmocnić, dokonano po roku 2015 jej pacyfikacji, zarzucając, iż nie rozumie celów działania rządu, definiowanych przez elitę partyjną PiS.

Jeżeli zatem mamy poważnie myśleć o jakiejś formie częściowego zachowania wartościowych funkcji i postaw dziedziczonych po inteligencji, trzeba określić zasadniczy ich sens. Byłaby nim zdolność do formułowania korekt mechanizmów kapitalistycznych i logiki dostosowującego się do ich realiów państwa oraz – częściowego ich wdrażania. Dotyczy to przede wszystkim reformy systemu edukacji, funkcjonowania samorządu lokalnego czy dostrzegania roli instytucji kultury wykraczającej poza prosty mecenat nad życiem artystycznym.

Twórczy niepokój

Najsilniejsze przejawy czegoś, co nawiązuje do specyficznie inteligenckiej koncepcji etosu życia publicznego, pojawiały się daleko od mainstreamu. Np. w politycznej inicjatywie tworzenia Partii Razem (co bardziej pałkarsko nastawieni przedstawiciele głównego nurtu chętnie etykietowali ją jako radykalną czy wręcz komunistyczną). Pojawiły się też w miejskim aktywizmie, który tak uroczo drażni niektórych pławiących się w komplementach otoczenia prezydentów. A także w obronie humanistyki czy uczelni regionalnych przed logiką reformy Gowina, stawiającą wszystkich wykładowców w blokach startowych urojonego wyścigu o światową rozpoznawalność.

> Najsilniejszymi negatywnymi skutkami ideowego akcesu inteligencji do klasy średniej była pogarda dla zwykłych zawodów i neoliberalne podejście do terytorium „poza metropoliami".

Ani miejscy aktywiści, ani Partia Razem nie odniosły jednak większego sukcesu. Ruchy miejskie wymusiły korektę zachowań wielu mniej lub bardziej zachowawczo myślących prezydentów, podobnie jak lewica uprawomocniła w mainstreamie hasło o prawie do mieszkania, równym traktowaniu kobiet i osób LGBT. Ale najmocniejszy punkt tej historii to protesty przeciw zaostrzeniu prawa aborcyjnego z końca 2020 r., których środowiska dziedziczące role dawnej inteligencji nie potrafiły podjąć w żaden twórczy sposób. Antypaternalistyczny wydźwięk był dla nich zbyt ryzykowny i zagrażał wszystkim wewnętrznym hierarchiom. Podobnie zresztą jak feministyczny, bo czym innym jest respektować prawo kobiet do protestu, a czym innym uznać ich polityczną podmiotowość na poziomie realnie decydujących elit. Ta rewolucja nie zatrzymała się jednak nawet w pół drogi, ale została utopiona w słodkich zapewnieniach solidarności.

Sygnałem „śmierci inteligencji" nie są zatem pohukiwania propagandystów PiS, lecz brak solidarności z walczącymi o lepsze płace nauczycielami czy zlekceważenie antypaternalistycznej i feministycznej wymowy Strajku Kobiet, a także koncentrowanie się na aspektach antykościelnych i antyklerykalnych oraz kwestii aborcji.

Twórczy niepokój, jaki zasiały wspomniane tu grupy w zdominowanych przez status zadowolonej klasy średniej elitach życia publicznego, określa jedną z możliwych strategii. Klasą średnią i tak się stajemy, na tyle, na ile pozwalają realia kapitalizmu w naszym półperyferyjnym kraju i strategie podszytego anarchistyczną mentalnością państwa. Mentalnością, do której tak łatwo przyklejają się egoizmy partyjne, religijne, zawodowe. Ale przecież treść etosu owej klasy średniej podlega negocjacji i jest pochodną ścierania się postaw.

Klasa kreatywna

Najsilniejszymi negatywnymi skutkami ideowego akcesu inteligencji do klasy średniej była pogarda dla zwykłych i niekreatywnych zawodów oraz neoliberalne podejście do terytorium „poza metropoliami". Było ono i jest traktowane jak ciężar, który ciągną za sobą „centra-lokomotywy". Podejście to, wzmocnione przez większe poparcie dla PiS poza obszarem metropolii, tworzyło przekonanie o silniejszym związku wielkich miast z globalizującym się światem niż z własnym „interiorem". Musimy to sobie uprzytomnić: tylko dzięki unijnym strategiom zrównoważonego rozwoju uniknęliśmy wynikającej z tego zaburzenia perspektywy katastrofy cywilizacyjnej.

Jeszcze bardziej spektakularny przejaw przemiany inteligencji w klasę średnią pojawił się podczas dyskusji

↦

↦ wokół koncepcji „klasy kreatywnej" Richarda Floridy. Entuzjastycznej reakcji na perspektywę stania się klasą kreatywną towarzyszyło rozczarowanie, że Florida zaliczył do niej także nauczycieli. Dobrze wyglądająca kreatywność informatyków czy speców od reklamy została skontrastowana z wyobrażeniem o zawodzie traktowanym jak banalna repetycja sztampowych treści. Z pracą, której nie doceniają nawet ci, którym udało się dotrzeć na szczyt edukacyjnej hierarchii i zająć pozycje profesorów uniwersyteckich.

W polskiej narracji nauczyciele i szkoły nie odgrywają żadnej istotnej roli – cały rozwój intelektualny zawdzięczamy sobie, no czasami może jakimś wybitnym mistrzom, do których przyznanie się opromienia dodatkowym blaskiem naszą karierę. Praca, którą wykonali w tej mierze rodzice i tysiące anonimowych belfrów, jawi nam się co najwyżej jako asystowanie przy naturalnym rozwoju talentów.

Jednak tym, co wyklucza nauczycieli z gry o kreatywne społeczeństwo, nie jest stan szkoły, tylko logika nowego kapitalizmu, w tym kształcie, w jakim pojawił się on w Polsce w latach 90. Ów kapitalizm traktuje karierę dzieci jako przestrzeń szczególnej troski rodziców, silnie różnicując zresztą – jak pokazał w książce „Państwo, szkoła, klasy" Przemysław Sadura – zachowania klasy średniej i ludowej. Zarówno w ideologiach inspirowanych katolicyzmem (dziecko pod opieką rodziców, chroniących przed zepsuciem), jak i liberalizmem (dziecko jako utalentowany skarb, którego nikt nie ma prawa zepsuć) lekceważy się uspołecznienie jako zadanie szkoły i traktuje jej działalność skrajnie nieufnie. Jej wad się nie naprawia, ale raczej przyjmuje strategie ochrony własnego dziecka, jeżeli to możliwe – choćby przez posłanie go do szkoły płatnej lub dobrze płatnej.

Umacnia to (znane z retoryki „ochrony przedsiębiorców") podejście do państwa, traktujące je jako zło konieczne, bo nie poddane i nie poddające się do końca regułom wolnego rynku. Łączy to zaniedbania intelektualne lat 90. z nawykami społeczeństwa ukształtowanego przez nawyki trwania poza państwem lub wbrew państwu. Nie przepracowaliśmy ani doświadczenia PRL, wad i zalet tamtego państwa i porządku społecznego, ani – symetrycznie – przewag Zachodu. Uznaliśmy, że odpowiadają za nie kapitalizm i wolny rynek, a nie dokonane przez państwa europejskie daleko idące korekty logiki kapitalistyczno-rynkowej, składające się na „państwo dobrobytu".

Nic więc dziwnego, że etos wykonującej tradycyjne zawody inteligenckie klasy średniej też nie wyraża się w woli kontynuacji tego modelu. I to nawet wtedy, gdy stoi za nim – jak w świecie akademickim czy szerzej: edukacyjnym – własny interes grupowy. Być może skazuje to „stare" bastiony inteligencji na szybszy, niż się spodziewamy, rozpad. Widać to po zbyt chętnym porzuceniu priorytetu zadań dydaktycznych wyższych uczelni na rzecz formalno-naukowych (projekty, publikacje). Anarchokapitalizm ostatniej reformy nie był narzucony przemocą, ale współbrzmiał z oczekiwaniami znaczącej części emancypującej się z inteligenckiej tradycji „wspólnoty akademickiej". Stało za nim marzenie o uczelni przekształconej w korporację, w której nie wykonuje się już tradycyjnych czynności nauczycielskich, ale wytwarza nowoczesne produkty składające się na „gospodarkę opartą na wiedzy".

Ten ostatni przykład pokazuje zmianę, jaka zachodzi w instytucjach będących kiedyś bastionami inteligencji. Nie tylko tracą one pożyteczne dla społeczeństwa funkcje, ale formatują swoje kadry w iście antyinteligenckim duchu. Zniechęcają do społecznego zaangażowania, intelektualnego nonkonformizmu, otwartości na inne punkty widzenia. Obrona tego, co w tradycji inteligencji wartościowe, musi zatem być polemiczna wobec panujących porządków instytucjonalnych, krytyczna wobec trendów społecznych i gotowa do odrzucenia tego, co w etosie inteligenckim anachroniczne lub negatywne. Obecne porządki polityczne, ekonomiczne i społeczne będą dalej obumierać, jeśli będą pozbawione tej twórczej energii. I w tym, zapomnianym sensie należy rozumieć użyte w tytule słowo „postęp". © RAFAŁ MATYJA

WOJCIECH PACEWICZ / PAP

Chełmska Biblioteka Publiczna im. Marii Orsetti. Styczeń 2015 r.

Co się robi w bibliotece

SĄ W POLSCE liczne miejsca, które niesłusznie wciąż kojarzą się z jakąś zaprzeszłą, przykurzoną inteligencką misją. Tymczasem kipi w nich zupełnie nowoczesne, niepokorne życie obywateli i wymiana społecznej energii. Polskie biblioteki publiczne to sieć, która z wypożyczalni książek zmieniła się w nowoczesne ośrodki kultury.

NAWET JEŚLI do najbliższego teatru jest kilkadziesiąt kilometrów, a miejscowa księgarnia sprzedaje głównie podręczniki, biblioteki są miejscem, w którym politycy mogliby się dowiedzieć, „jakie są problemy zwykłych ludzi". I – dodajmy – ich aspiracje. Z ostatnich danych GUS (za rok 2021) wynika, że w Polsce działały 7693 biblioteki publiczne, z których 4,8 mln czytelników wypożyczyło ponad 89 mln książek, i w których odbyło się 134 tys. imprez stacjonarnych i 21 tys. online (gromadząc odpowiednio: 3,5 mln oraz 1,9 mln uczestników). A był to, pamiętajmy, rok pandemiczny – dwa lata wcześniej w 275 tysiącach bibliotecznych imprez wzięło udział blisko 7 mln Polaków. Raczej nienarzekających na śmierć inteligencji, o ile się z nią w ogóle identyfikują.

NA PEWNO – tu opinie bywalców są zgodne – wyjątkowa jest klasa osób (przeważnie kobiet), które prowadzą te nowoczesne instytucje. Ostatnio byłem w jednej z nich na szafingu, żona na spotkaniu i dyskusji z pisarzem, a dzieci spędzają tam wieczory grając w planszówki.
©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY

najprościej

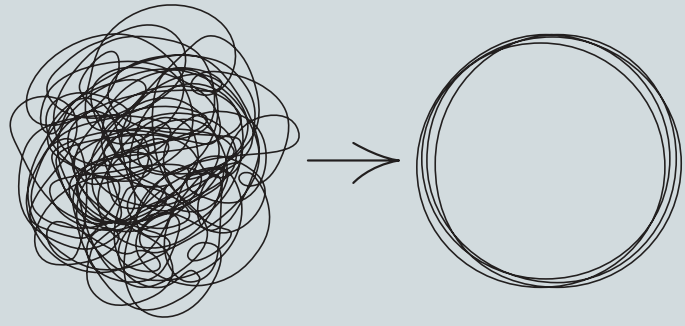

Zamów prenumeratę, a „Tygodnik” sam trafi w twoje ręce.

Prenumeratę wydania drukowanego można zamówić przez:

- internet na **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate**
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Nr konta Bank Pekao SA 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Dyrcz w godz. 11–15 od poniedziałku do piątku pod nr. tel. **668 479 075** lub adresem e-mail: **prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

W sprawie prenumeraty elektronicznej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Chmielowski w godz. 10–14 pod nr. tel. **660 692 099** lub adresem e-mail: **kontakt@TygodnikPowszechny.pl**

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

RODZAJ PRENUMERATY	OKRES	CENA Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	CENA Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
13 wydań	3 m-ce	160 zł	200 zł
52 wydania	rok	550 zł	680 zł
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne	**rok**	**640 zł**	**770 zł**
4 Wydania Specjalne – kwartalniki	rok	90 zł	
52 wydania – w ofercie POKOLENIA*	rok	480 zł	
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne – w ofercie POKOLENIA	rok	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów oraz posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Zapraszamy na stronę: **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate**

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY SALESmanago marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY ▪ **www.TygodnikPowszechny.pl**

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska,
Rozwój cyfrowy: Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Piotr Wójcik
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA

S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Krew

Jest niezbędnym składnikiem naszego organizmu. To w niej tkwi życie (Rdz 9, 4), bądź ona sama jest z nim utożsamiana (Pwt 12, 23). Zamiast przypłacić życiem nasze grzechy, w czasach świątynnych mieliśmy możliwość złożenia w ofierze zwierząt. Ich krew była przebłaganiem za nasze życie (Kpł 17, 11). Stąd duża waga przywiązywana do tego, co dzieje się z krwią składanych w Przybytku, a potem w Świątyni, zwierzęcych ofiar. Wedle biblijnego pouczenia, podczas niektórych rytuałów należy spryskać nią ołtarz (Kpł 3, 2) lub pokropić nią przed zasłoną miejsca Świętego (Kpł 4, 6 i 17). Jednak najczęściej kapłan smaruje nią rogi ołtarza, i wylewa pozostałość u jego podstawy (Kpł 4, 34). Zdarzyło się też, że „krwią przymierza" pokropiony został lud. Podczas przyjmowania Tory przez dzieci Izraela składano Bogu ofiary. Połową ich krwi Mojżesz spryskał ołtarz, i połową skropił Izraelitów (Wj 24, 6-8).

Krew – siedlisko życia – chroni przed śmiercią. Ostatniej nocy przed wyruszeniem z Egiptu Dzieci Izraela posmarowały odrzwia swych domów krwią baranka pesachowego. Dzięki temu uniknęły śmierci swoich pierworodnych. Samarytanie do dziś odprawiają na górze Gerizim rytuał pesachowy, podczas którego smarują czoła i ręce uczestników krwią baranka. Czy to konsekwencja dosłownej interpretacji wersu z Księgi Wyjścia (13, 9)?

„Każdy, który spożyje jakąkolwiek krew, zostanie wykluczony ze swojego narodu" (Kpł 7, 27). Żydów obowiązuje zakaz spożywania nie tylko samej krwi (też Kpł 17, 12), ale również mięsa, które jest nią przesycone. Przed spożyciem – poucza Kpł 17, 13 – krew należy wylać na ziemię i przykryć. Dotyczy to tylko krwi ssaków i ptaków. Współcześnie koszerujemy mięso soląc je, dzięki w czemu krew z niego wypływa. W Pierwszej Księdze Samuela znajdujemy opis, jak wygłodzeni wojownicy króla Saula rzucili się na mięso zawierające krew. Ich postępek został uznany za grzech i król podjął starania, żeby więcej się nie powtórzył (14, 32-34).

Krew ofiarnych zwierząt znajduje również zastosowanie przy oczyszczaniu z nieczystości rytualnej. Kapłan używa m.in. krwi gołębia przy oczyszczaniu Izraelity dotkniętego chorobą zwaną *caraat* (zwykle błędnie tłumaczoną jako trąd; zob. Kpł 14, 4-7 oraz 25) i zainfekowanego nią domu (Kpł 14, 49-52). Podczas rytuału wprowadzania na urząd kapłański Aarona i jego synów Mojżesz używa m.in. krwi ofiarnego baranka (Wj 29, 20-21).

Rozlew krwi (hebr. *szfichat dam*) należy do skarbnicy frazeologii biblijnej. Przelana krew – krew zamordowanych, także w Państwie Izraela, jest „przykrywana". Skrwawione chodniki posypuje się piaskiem. Czy krew naszych braci, jak w przypadku Abla (Rdz 4, 10), „woła ku nam z ziemi"? ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Awers i rewers istnienia

W opowiadaniu o spotkaniu w Emaus czytamy, że idący doń dwaj uczniowie, ale nie apostołowie, tak mocno dyskutowali o tym, co się ostatnio wydarzyło w Jerozolimie, tak byli skupieni na sobie, że zapomnieli o bożym świecie. Nie zauważyli nawet, że ktoś do nich doszedł. Wspominając wydarzenia z poprzedniego tygodnia, tak zażarcie dyskutowali, że oderwali się od teraźniejszości. Jezus stał się dla nich już tylko postacią z przeszłości i na dodatek osobą przegraną, niemającą żadnego znaczenia. Spodziewali się po nim wszystkiego, tylko nie haniebnej śmierci. Dopiero gdy zauważyli, że nie są sami, że jest ktoś inny i chce też włączyć się do rozmowy, sprawy przybrały inny obrót. Co prawda rzecz nadal dzieje się w drodze, ale dla jej opisu Łukasz, w sposób dla nas mało czytelny, nawiązuje do „łamania chleba", czyli tego, co nazywamy Eucharystią – Dziękczynieniem, mszą.

Mamy więc najpierw liturgię słowa. Słyszymy mszalne czytania z obydwu Testamentów. Zjawia się Mojżesz, prorocy, pozostałe Księgi i piszący się dopiero Nowy Testament. Nauczyciel, jeszcze nie rozpoznany, postrzegany jako zwykły podróżny, przypominając dzieje Izraela, usiłuje uczniom wykazać, że wszystko, co spotkało Jezusa, nie jest li tylko tragicznym wydarzeniem, ale stoi za tym Bóg. Takie podejście mocno zaciekawiło uczniów, skoro wprost przymusili nieznajomego do pozostania z nimi na noc. W tym momencie zmienia się miejsce akcji.

Po wejściu do zajazdu i zajęciu miejsc przy stole Jezus „wziął chleb, odmówił modlitwę dziękczynną, połamał i dawał im. Wtedy otworzyły się im oczy i rozpoznali Go. Lecz On stał się dla nich niewidoczny". Znamienne: w ten sposób kończą się wszystkie pozostałe spotkania tego typu. Jezus zjawia się jakby znikąd i nie wiadomo dokąd odchodzi. Ale to tylko pozór, a fakt nagłego zjawiania się i znikania niesie ze sobą istotne dla nas informacje. W ten sposób Jezus podaje nam adres, pod którym należy Go szukać, albo inaczej – powiadamia nas o miejscu stałego pobytu, gdzie zawsze można Go zastać. O czym też i nam przypomina, a zwłaszcza w pierwszy dzień tygodnia, gdy uczestniczymy w łamaniu chleba, gdy sprawujemy Dziękczynienie.

Zauważmy – dopiero gdy uczniowie przestali zajmować się sobą i strachem przed tym, co jeszcze może się wydarzyć, i zainteresowali się innym człowiekiem, dopiero wtedy, gdy wspólnie zasiedli do stołu, odkryli, że świat wygląda zupełnie inaczej, niż myśleli. Odkryli, że ten, który umarł, żyje, że życie i śmierć to awers i rewers istnienia. Zrozumieli, że Boga nie ma co szukać w jakimś bliżej nieokreślonym niebie, ale w tym tu świecie, pośród ludzi. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Poznać Zmartwychwstałego

Niektóre pokusy wywołują przyjemność, niektóre – przygnębienie.

EWAGRIUSZ Z PONTU

Wprawdzie dziś jestem zdrowy i syty, i nic mi teraz nie zagraża, ale życie jest ulotne i zdradliwe...

ŚANTIDEWA

„Uczniowie opowiadali, co ich spotkało w drodze i jak poznali Jezusa przy łamaniu chleba" (Łk 24, 35). W greckim tekście Ewangelii według św. Łukasza czytamy *en te klásei* – dosł. „w łamaniu chleba" (i tak też na łacinę tłumaczy św. Hieronim w Wulgacie: *in fractione panis*). Został więc rozpoznany nie tyle w samym Chlebie, co w znaku Jego łamania. Zanim ich zostawił z Chlebem na stole i w dłoniach, najpierw się objawił w geście miłości.

Oczywiście wiemy, że sformułowanie „łamanie chleba" jest u św. Łukasza niemal synonimem Eucharystii; niemniej ten fragment Ewangelii wyraźnie nam uświadamia, iż Eucharystia nie jest wyłącznie liturgicznym aktem i celebracją; jest też – o czym wyraźnie przypomina nam Wielkoczwartkowe *mandatum* – wezwaniem do czynu miłości: na pierwszej – i na każdej – Eucharystii Jezus nie tylko przemienia chleb i wino w swoje Ciało i Krew, ale także umywa swoim uczniom nogi. Jedno i drugie objęte jest Jezusowym poleceniem: „To Czyńcie na Moją pamiątkę".

Tak więc Jezusa Zmartwychwstałego rozpoznajemy najpierw w każdym czynie miłości. To bardzo ważna lekcja. Przede wszystkim dlatego, że Kościół nie ma tak naprawdę innej misji jak prowadzenie i otwieranie każdego z nas na spotkanie z Żyjącym Panem. Wszystko inne jest w stosunku do tego wtórne i albo potrzebne, albo nie...

W perykopie, którą czytamy (Łk 24, 35-43), podpowiedziane są nam przez Jezusa dwa konkretne czyny miłości, które w szczególny sposób mogą otwierać na Jego obecność.

Pierwszy z nich to pokazanie ran: „zobaczcie moje ręce i moje stopy (...) dotknijcie i zobaczcie" (w. 39). Oswoiliśmy bardzo ten tekst, wydaje nam się taki prosty. Nie jest jednak proste ani oglądanie, ani dotykanie czyichś ran, ani ich pokazywanie. Pokazując rany, masz pewnie nadzieję, iż zostaną one nie tylko dostrzeżone, lecz że spotkają się z dyskretną wrażliwością i delikatną miłością. Pokazanie ran jest znakiem wielkiego zaufania – zawierzenia – i umiejętności przyjęcia miłości. Gotów jestem nie tylko dawać, ale także przyjąć.

Drugi podpowiadany (bo praktykowany) przez Jezusa czyn miłości to wspólny posiłek: „Macie tu coś do jedzenia? Oni podali Mu kawałek ryby. Wziął i jadł wobec nich" (w. 41-43). Wspólnota stołu to wielki znak miłości – równie konkretny, co zaniedbany przez nas. Nie jadamy razem ani w rodzinach, ani na plebaniach. Nie mamy na to czasu – jest tyle „ważniejszych" rzeczy do zrobienia. A przecież jest oczywiste, że nie chodzi tu o to, by zjeść, lecz o to, by zjeść razem. W poranek wielkanocny siedziałem przy stole z ponad setką osób bezdomnych i ubogich. Kiedy wychodzili ode mnie z domu, nie chwalili jakości jedzenia; dziękowali za możliwość spotkania i rozmowy. Ludzie, którzy na co dzień naprawdę wiedzą, co to głód. Stół jest przestrzenią spotkania – uwagi, słuchania, skupienia się na drugim. We wszystkich tych postawach objawia się Zmartwychwstały. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (23 – 30 IV)

3. niedziela wielkanocna: Dz 2, 14. 22b-32; Ps 16; 1 P 1, 17-21; Łk 24, 13-35;
Poniedziałek, uroczystość św. Wojciecha: Dz 1, 3-8; Ps 126; Flp 1, 20c-30; J 12, 24-26;
Wtorek: 1 P 5, 5b-14; Ps 89; Mk 16, 15-20;
Środa: Dz 8, 1b-8; Ps 66; J 6, 35-40;
Czwartek: Dz 8, 26-40; Ps 66; J 6, 44-51;
Piątek: Dz 9, 1-20; Ps 117; J 6, 52-59;
Sobota: 1 J 1, 5 – 2, 2; Ps 103; Mt 11, 25-30;
4. niedziela wielkanocna: Dz 2, 14a. 36-41; Ps 23; 1 P 2, 20b-25; J 10, 1-10.

Wybrał PIOTR SIKORA

KRAJ

MŁODSI PANOWIE U BRAM

Konfederacja złapała wiatr w żagle dzięki schowaniu starych i postawieniu na nowych liderów. Już za jedno pokolenie mogą wyprowadzić Polskę z Unii Europejskiej.

JACEK GĄDEK

Kim pan jest, panie Mentzen? – TikTokerem – odpowiada w rozmowie z „Tygodnikiem".

– A politykiem też?

– TikTokerem brzmi poważniej. Ludzie bardziej ufają TikTokerom niż politykom.

Sławomir Mentzen: lat 37. Biznesmen, doradca podatkowy. Doktor ekonomii, z wykształcenia także fizyk teoretyczny. Najpopularniejszy polski polityk na TikToku. Odbił partię Januszowi Korwin-Mikkemu i nazwał ją Nową Nadzieją. Marzy o tece ministra finansów i chce startować na prezydenta.

Krzysztof Bosak: lat 40, od 18. roku życia w Młodzieży Wszechpolskiej, były poseł Ligi Polskich Rodzin, dziś szef koła Konfederacji w Sejmie. Studiował wiele kierunków, ale ich nie kończył. Występował w „Tańcu z gwiazdami" w TVN.

Tych dwóch panów to współprzewodniczący Rady Liderów Konfederacji, partii-czapy nad trzema składowymi: Nową Nadzieją Mentzena i Ruchem Narodowym, którego prezesem jest Robert Winnicki, a twarzą Bosak. Trzeci najmniejszy puzzel to Konfederacja Korony Polskiej Grzegorza Brauna. Środowiska radykalne i różne, które samodzielnie pewnie sczezłyby pod progiem, ale wspólnie weszły w 2019 r. do Sejmu, a dziś marzą, by na gruzach PiS dokonać „rekonwalescencji" pojęcia prawicy i być tam hegemonem.

Wygryźć Mordor

Konfederacja powstała pod koniec 2018 r., a pół roku później, tuż przed wyborami do Parlamentu Europejskiego, Mentzen przedstawił podczas wykładu technologię montowania nowej partii. Po pierwsze: ludzie w wyborach kierują się emocjami, a nie racjonalną oceną. Po drugie: nowych projektów nie można uruchamiać w centrum, ale na skrajach polityki, bo wielcy gracze odpuszczają flanki i tylko tam da się przetrwać bez mediów, milionów na koncie i struktur. Po trzecie: należy pozyskać radykałów. Jak? „Trzeba im przekazać wielką radykalną ideę. Porwać po to, aby nam organizowali kampanię wyborczą. Podpisy same się nie zbiorą". Dziś mówi o tamtych czasach: – Ideą było pokonanie Mordoru.

Po czwarte: lider musi być ekstremalnie rozpoznawalny, by partia grała w pierwszej lidze. Tu akurat sporo mu jeszcze brakuje, ale wśród najmłodszych wyborców bryluje, reszta zaś go nie interesuje. No i ma obok siebie Bosaka, którego zna 80 proc. Polaków. Mentzen nęci młodszych i ludzi biznesu, a Bosak nieco starszych.

„Osiągnęliśmy maksimum w sondażach. Idziemy ze skraja, na wielkich emocjach. To działa – konkludował Mentzen cztery lata temu. – W sposób naukowy wyszło nam pięć naszych postulatów. Nazwałem je »piątką Konfederacji«: nie chcemy Żydów, homoseksualistów, aborcji, podatków i UE". I precyzował: „Trzeba mówić ludziom, że Żydzi dostaną naszą polską ziemię. To bardziej chwyci. Myślicie, że jak już dostaną (...), to będą sami ją uprawiać? Oni zatrudnią Polaków, założą Polakom chomąto i będą nimi uprawiać pole". Sala rechotała.

Dziś odżegnuje się od „piątki". Twierdzi, że jedynie tłumaczył, „co należy mówić, by chwytało". W wykładzie pada jednak wyraźnie: „pięć naszych postulatów".

Wtedy jeszcze nie chwyciło. Choć *exit poll* dawał Konfederacji 6,1 proc. i mandaty w Brukseli, a w sztabie strzelały korki, do rana słupek zwietrzał do 4,55 proc. Mimo porażki Mentzen szedł dalej drogą wytyczoną przy prawej ścianie. Na krótko przed wyborami do Sejmu w 2019 r. ogłosił pakiet „100 ustaw Mentzena", proponując m.in. wprowadzenie możliwości zawarcia nierozerwalnego małżeństwa, przywrócenie kary śmierci, dozwolenie bicia dzieci („uprawnienie tradycyjnie zakorzenione w polskiej kulturze") oraz 10 lat więzienia dla kobiety za aborcję. Dziś mówi, że to „prehistoria", a projektów nie pamięta. Większości rzekomo nie pisał, jednak skutek osiągnął. W wyborach partia (w zasadzie koalicja) zdobyła 6,8 proc. poparcia. To i dużo, i mało – w Sejmie są, ale pionkami. Choć mandatu nie zdobył, Mentzen uważa ten wynik za jedno z największych osiągnięć życia.

Schować Korwina

Wiele zmieniło się 24 lutego 2022 r., po pełnoskalowym ataku Rosji na Ukrainę. Starzejący się i schorowany Korwin-Mikke wszedł w rolę rzecznika Kremla, a Braun dokładał antyukraińskie tyrady. W deklaracji programowej można było przeczytać: „Nie godzimy się na to, by nasi rządzący czuli się bardziej »sługami narodu ukraińskiego«, niż stali po stronie Polski".

Narracja była ryzykowna, ale z czasem stała się jednym z motorów popularności Konfederacji, choćby przez palącą sprawę zalewania Polski zbożem z Ukrainy. Z drugiej strony – klejenie się do Putina ciągnęło ją na dno. Ugrupowanie przez rok dołowało w sondażach, przeszło też rozłam. – Zamiast ukryć Brauna i Mikkego, co nie jest możliwe, spróbowaliśmy ich przyćmić promocją Mentzena i Bosaka. To był wyraz pragmatyzmu – mówi „Tygodnikowi" jeden z polityków Konfederacji.

Brauna uprosili, by nie szkodził projektowi, więc się trochę samoograniczył, a Korwina zrzucili z tronu (obiecując na osłodę miejsce na liście do europarlamentu). Dziś jest już tylko honorowym prezesem-emerytem Nowej Nadziei Mentzena.

Konfederacja przysłoniła Korwina, a jednocześnie dwóch młodych polityków – Mentzen i Bosak – stało się liderami projektu. W ugrupowaniu dokonał się przełom – to już nie jest performance starego ekscentryka, ale projekt partyjnej młodzieży, która może przesądzić, kto w Polsce będzie miał władzę. Projekt coraz bardziej profesjonalny i pragmatyczny.

Być pierwszym w sieci

Z Mentzena można drwić, że to, co robi w polityce, wygląda niepoważnie. Na stronie swojej kancelarii doradztwa podatkowego pisze: „Kolegom z partii mówi, że nie ma czasu na politykę, bo prowadzi firmę. W kancelarii mówi, że nie ma czasu na firmę, bo zajmuje się polityką. W domu mówi, że nie ma na nic czasu, bo zajmuje się polityką i firmą. Wyjątkowy nierób, nie chciało mu się nawet przygotować swojego opisu na tę stronę".

Gra rolę zgrywusa, ale jest drapieżnym biznesmenem. Aktywność w polityce to dla niego doskonała promocja biznesu w doradztwie – *de facto* w części za pieniądze z subwencji od państwa dla partii.

Na TikToku ma kosmiczne zasięgi; żaden polityk do tej pory nie mógł się z nim równać. W marcu jego filmy obejrzano 23,9 mln razy. Hitem okazał się m.in. odcinek „Jak trzeba żyć – lekcja nr 1". ↦

Sławomir Mentzen (Nowa Nadzieja) i Krzysztof Bosak (Ruch Narodowy) podczas konwencji wyborczej Konfederacji. Warszawa, luty 2023 r.

ADAM CHELSTOWSKI / FORUM

↦ „Najpierw płatki, potem mleko. Zastanawiacie się, dlaczego? A mówicie »mleko z płatkami« czy »płatki z mlekiem«?" – pyta. I notuje 2,3 mln wyświetleń.

W tej kampanii to Donald Tusk uczy się od Mentzena. Szef PO publikuje nagrania, na których radzi jeść kluski bez skwarków z boczku albo „łączy, a nie dzieli" majonez Kielecki i Winiary. Są tego efekty. Tuska w marcu „wyświetlono" 17,2 mln razy i wskoczył na drugie miejsce, spoza pierwszej dziesiątki.

Lider PO zapewne nie skopiuje pomysłu „Piwa z Mentzenem". Można się z niego śmiać, ale na spotkania przychodziły tysiące osób, a Mentzen promował siebie, ale też swój browar (ma też pub na Rynku w Toruniu). Zwłaszcza w oczach niektórych młodych mężczyzn jest atrakcyjnym towarem: radykalny, czasami ordynarny, bezpośredni, bywa błyskotliwy. Teraz, korzystając z popularności, organizuje, jak twierdzi, największą konferencję dla przedsiębiorców w Polsce – na tysiąc osób – i sprzedaje bilety po 2-3,5 tys. zł.

Po wyborach Konfederacja celuje w minimum 40 posłów – i jest to realne. Robert Winnicki mówi nawet o setce, ale to śpiewka na potrzeby narracji o wschodzącej potędze. Faktem jest, że w sondażach Konfederacja staje się trzecią siłą. A przy takich jak dziś wynikach w Sejmie bardzo trudno będzie sformować większość bez jej posłów. Pokazuje to ostatnie badanie Ipsos: PiS – 34 proc., KO – 27, Konfederacja – 11, co daje 49 mandatów. W innych badaniach Konfederacja ociera się nawet o 14 proc.

Tyle liczby, w Sejmie będą zaś ludzie. Układanie list stało się więc jedną z najważniejszych rzeczy dla tej formacji, bo nie chce ona podzielić losu innych trzecich sił (Kukiza, Petru i Palikota), które okazały się efemerydami. W jej łonie zawarto deal: na 41 jedynek Nowa Nadzieja weźmie 20, narodowcy 15, a Braun 6. O lojalność przyszłych posłów są jednak obawy – niektórzy trzęsą się przed PiS-em, bo ten może rozszarpać Konfederacji narodową nogę. Bosak ma wręcz traumę po pierwszych rządach PiS, gdy partia ta rządziła w koalicji z LPR i Samoobroną. Widział, jak Kaczyński ich niszczy.

Tusk przekonuje, że Konfederacja to przybudówka PiS i projekt Kaczyńskiego. To nieprawda. Konfederacja to koszmar PiS, a lęk prezesa przed tym, że coś wyrośnie między PiS a prawą ścianą, jest już legendarny. Za to, że Konfederacja zdołała wejść do Sejmu w 2019 r., w sztabie PiS leciały głowy. Partia sama chce mieć narodową wypustkę, ale obecnie jest ona dość skromna. To pojedynczy politycy: minister Adam Andruszkiewicz czy wiceminister Tomasz Rzymkowski.

> Donald Tusk przekonuje, że Konfederacja to przybudówka PiS. Ale ona jest koszmarem Kaczyńskiego. **Jego lęk, że coś wyrośnie na prawo od PiS, jest mityczny.**

W Konfederacji dobrze wiedzą, że PiS na nich dybie, ale niszczenia z całą mocą wciąż nie wdraża. Podjęto jednak próbę – delikatną jak na obóz Kaczyńskiego – połamania narodowej nogi Konfederacji poprzez wykreowanie własnych ludzi. PiS-owskim Wallenrodem miał być Robert Bąkiewicz, były już prezes Marszu Niepodległości. Obóz władzy zasypywał go milionowymi dotacjami, by przejąć za jego pomocą elektorat. Skończyło się klęską. Narodowcy po batalii sądowej pozbyli się Bąkiewicza. – To, co się dzieje wokół Marszu, jest przejawem zamiarów wobec nas – mówi mi jeden z konfederatów. Inny przypomina: TVP ich nie zaprasza i nie zauważa.

Poskromić ambicje

PiS, który ostatnio złapał wiatr w żagle i znowu wierzy w zwycięstwo, pragnie uniknąć koalicji z całą Konfederacją. Scenariusz bazowy rozważany na Nowogrodzkiej jest taki: wygrana, ale brak samodzielnej większości, więc PiS „dobiera" (czyli kupuje) posłów z PSL i Konfederacji, by zgromadzić 231 szabel.

Wyrwanie pojedynczych posłów może się udać. Jest też pytanie, czy wspomniane już nogi – narodowa i korwinowa – po wyborach się nie rozjadą, a frakcja Brauna będzie sterowalna. Słowem: to żer dla PiS.

– Naszym największym wrogiem staną się ambicje naszych posłów – potwierdza jeden z konfederatów. Pokusa wejścia do obozu władzy i stania się sytym składnikiem systemu może przerosnąć lojalność wobec sklejki antysystemowców.

Konfederacja też rozważa różne scenariusze. – Rząd mniejszościowy jest najbardziej prawdopodobny – mówi mi jeden z wpływowych polityków ugrupowania. Dlaczego? Bo to daje możliwość szachowania rządu i stawiania mu ultimatów, a w końcu uśmiercenia gabinetu. – My w tym czasie będziemy rosnąć kadrowo i poszerzać poparcie – dodaje inny z ważnych polityków formacji.

Prof. Jarosław Flis, socjolog z UJ i analityk polityczny, nie wróży Konfederacji sukcesu przy takim scenariuszu: – Ludzie mają głosować na Konfederację po to, by rząd Morawieckiego dłużej zdychał? Do tej pory takie strategie nie dawały sukcesu. Jeśli partia opozycyjna startuje w wyborach, to po to, aby wywrócić układ władzy.

Kolejny rozmówca z Konfederacji zdaje sobie sprawę z tego problemu: – Jak ktoś chce przestać istnieć, to idealnym rozwiązaniem jest poprzeć nie swój rząd, a nawet do niego wejść, jak to było w 2005 r., by potem łazić po mediach z żalami, że nie realizuje programu. Albo się rządzi, albo się jest w opozycji i atakuje rząd. Jeśli w polityce chce się coś zrobić, to tylko własnymi rękami – mówi i wspomina, jak PiS w czasie koalicji PiS-LPR-Samoobrona wydzielił dla Rafała Wiecheckiego z LPR Ministerstwo Gospodarki Morskiej: – Przez pół roku się użerał, by dostać komputery i pokoje. Ale jak się już wejdzie do rządu, to trudno z niego wyjść cało.

Konfederacja jest pragmatyczna, więc koalicji z PiS nie można na sto procent wykluczyć. Antyestablishmentowi prawicowcy nie mogą przed wyborami powiedzieć, że z partią władzy współrządzenie jest możliwe, bo straciliby swój magnetyzm. Mentzen przysięga więc, że nie ma żadnych rozmów o koalicji. A Bosak dodaje, że pod przywództwem Jarosława Kaczyńskiego PiS jest niekoalicyjne.

Konfederacja puszcza jednak oko do swoich wyborców. Z ich badań wynikać ma, że elektorat nie chce, by byli wieczną opozycją. Liderzy twierdzą więc, że koalicje mogą zawierać, ale na własnych warunkach. Wobec PiS ultimatum jest takie, by... przestał być PiS-em i zrezygnował z Kaczyńskiego, Morawieckiego, ale i z Ziobry. Wobec PO warunek jest analogiczny: Platforma bez Tuska. To zabiegi czysto marketingowe.

Zastąpić PiS

Konfederacja chce być hegemonem na prawicy. Wie, że 73-letni Kaczyński słabnie – i politycznie, i zdrowotnie. Operację kolana przeszedł z powikłaniami i wciąż nie wrócił do formy, na co jest wściekły. Erozja partii ze słabnącym prezesem musi uruchamiać ambicje pretendentów do schedy i rozsadzać obóz władzy. W Konfederacji dziarsko przekonują, że „po Kaczyńskim" ich formacja może się uplasować wręcz jako centroprawica, by w ten sposób stać się największą siłą.

Szef Nowej Nadziei też ma ambicje: chce startować w wyborach na prezydenta w 2025 r. Poprzednio nie miał wymaganych konstytucją 35 lat. Mówił też wtedy osobliwe rzeczy, więc dziś zarzeka się, że niewiele pamięta z tego, co firmował swoim nazwiskiem jako wschodzący polityk. Albo odpowiada – jak na pytanie o przykłady ukrainizacji Polski – że nie jest ekspertem. Jego współpracownicy przedstawiają to jako dojrzałość; nie zgrywa wszechwiedzącego.

Wbrew temu, co się wydaje, Konfederacja na razie nie ma na sztandarach polexitu. Bezwzględnie jednak wykorzystuje realne zagrożenia czy też ambitne cele, które wynikają z polityk UE dla polskiej gospodarki. A tych nie brakuje: dyrektywa metanowa, która uśmierci kopalnie; zakaz rejestrowania po 2035 r. aut spalinowych. Każdą taką rzecz liderzy Konfederacji skrzętnie wyłapują.

Bosak w rozmowie z „TP" mówi: – Zaciskamy zęby widząc, jak większość Polaków akceptuje, aby metodą salami przekazywać naszą suwerenność do Brukseli w zamian za fundusze. Jeszcze nie możemy tego zatrzymać, ale nastroje społeczne stopniowo zaczynają się odwracać. Za ileś lat sytuacja może być inna.

Długoterminowy cel narodowej nogi Konfederacji jest oczywisty – wyjście z Unii. Już kilka lat temu narodowcy wprost pisali, że zobowiązują się do „podejmowania działań zmierzających do wyprowadzenia Polski z Unii, niszczącej suwerenność naszego kraju". Dziś uważają, że muszą przeczekać jedno pokolenie, by nastrój społeczny się zmienił. Z kolei Mentzen pytany o wyjście z UE odpowiada: – Teraz nie. Nie ma tego tematu. Polacy chcą być w UE.

Ale wcześniej mówił, że „wyjść z Unii po to, by wywalić te narzucone podatki i regulacje, to już byłby właściwy kierunek". Nic nowego w tym środowisku. Korwin setki razy twierdził, że Unię Europejską należy zniszczyć, a dla Brauna UE to „dzieło szatana".

> Konfederacja rośnie także dlatego, że Platforma stała się ślepa na prawe oko. Nie pamięta już, że jej sukcesy **opierały się na wyborcach konserwatywno-liberalnych.**

Na razie dokumenty programowe Konfederacji są skąpe i ogólnikowe. To celowe: by się nie pożreć i dopiero w przyszłości wypełnić je treścią. Główne hasła brzmią jednak chwytliwie: likwidacja składek na ZUS albo paliwo za 3 zł. Jest też obrona przed rzekomą inwazją „ideologii LGBT". Co prawda retoryka została oszlifowana, ale Konfederacja i tak jest najbardziej antyunijną z dużych formacji w Polsce, najbardziej antyukraińską, jak też najbardziej konserwatywną, choć wyborcy Konfederacji nie są nawet religijni, a wielu jest za aborcją na żądanie – w sprawach obyczajowych są wręcz w kontrze do liderów formacji. I trzeba się z nimi liczyć.

Z takim bagażem Konfederacja wróciła, i to z naddatkiem, do poparcia sprzed najazdu Rosji na Ukrainę. Korzystny dla niej sondaż Ipsos pokazał też, kto na partię głosuje: aż 37 proc. mężczyzn przed czterdziestką (druga jest tu Koalicja Obywatelska z raptem 18 proc.). Co ciekawe, wśród kobiet przed 40. rokiem życia Konfederacja notuje 11 proc. Za to wyborcy 50+ w zasadzie ją pomijają.

Fenomenem ugrupowania jest wolnorynkowość granicząca z darwinizmem społecznym. Platforma ściga się z PiS na socjal, a Konfederacja prowadzi kampanię „My vs socjaliści". Jej wyborcy dobrze zarabiają, niejednokrotnie jako przedsiębiorcy, i nie chcą, by państwo rozdawało biedniejszym pieniądze z ich podatków. Konfederacja nie ma tu konkurencji.

Skorzystać z przechyłu PO

Droga Konfederacji od pionków w dzisiejszym Sejmie do kingmakerów w kolejnym jest jednak daleka. Zdaniem prof. Flisa zwyżka notowań przyszła za wcześnie, a podstawy wzrostów są kruche i do tego niezależne od partii: słabość PiS, słabość PO i kryzys wokół ukraińskiego zboża albo szerzej: zmęczenie wojną.

– Na tysiąc sposobów wyborcy PiS mogli się do tej formacji zrazić, ale jednak jest to olbrzymia machina, która ma bazę społeczną i przywiązanych wyborców, którzy już wiele razy głosowali na PiS. Mogą się przemóc, by zrobić to jeszcze jeden raz – podkreśla socjolog.

Wedle Flisa Konfederacja rośnie także dlatego, że PO mocno przechyliła się w lewo: – Platforma jest ślepa na prawe oko. Nie dostrzega już, że jej sukcesy w latach 2007 i 2011 opierały się na wyborcach konserwatywno-liberalnych. Proces ich zanikania wcale nie jest zakończony, oni stanowili wciąż około jednej trzeciej wyborców PO w 2019 r. To były pierwsze wybory, w których Platforma miała więcej wyborców lewicowych niż prawicowych, ale notowania PO od tego nie wzrosły. Wyborców prawicowych jest w Polsce wciąż o połowę więcej niż lewicowych – podkreśla socjolog.

Do słabości Platformy, jego zdaniem, przyłożyli się m.in. fałszywi przyjaciele, a więc media jej sprzyjające. – Starają się przekonać wyborców, że PO jest partią lewicowo-liberalną. Media te chcą mieć swoją ukochaną partię i przekształcają PO w Unię Wolności, czyli partię wyróżniającą się poczuciem wyższości, ale nie poparciem większości – mówi Flis.

Konfederaci patrzą na to i się cieszą. Pamiętajmy jednak, co mówił sam Mentzen: że tworzy radykalną Konfederację – na prawo od PiS. A jak elektorat tej formacji sam się identyfikuje?

– Konfederacja wciska się w szczelinę między PO a PiS. I korzysta z ich słabości. Chce zagarniać wyborców z prawych skrzydeł PiS i PO, ale w momencie wielkiej polaryzacji oni wcale nie muszą zagłosować na Konfederację, choć teraz deklarują to w sondażach – podkreśla prof. Flis.

Szczelinę między największymi partiami Mentzen porównał do frontu zachodniego z I wojny światowej. Między okopami nikt nie przetrwa. Chyba że któraś ze stron odda pole – a to właśnie się dzieje.

© JACEK GĄDEK

Autor jest dziennikarzem Gazeta.pl

AGATA SZYMAŃSKA-MEDINA

Polonistka **ANNA TOMCZYK** *chowa się w szafie podczas warsztatów teatralnych. Szczecin, 12 kwietnia 2023 r.*

Drugie piętro jest trzecie

ULA IDZIKOWSKA

Nasze szkoły stają się wielokulturowe. Proces integracji nie przebiega jednak gładko. Między uczniami dochodzi do konfliktów, niektóre dzieci pozostają na uboczu.

Ławki zniknęły, pośrodku klasy powstał krąg z krzeseł. Większość uczniów zajęła już miejsca. Za chwilę pojawi się jeszcze kilkoro spóźnionych.

– Niespodzianka! Zamiast lekcji polskiego i geografii macie dzisiaj zajęcia z psychoedukacji – oznajmia polonistka, po czym zabiera się za sprawdzanie wypracowań, oddając klasę trenerkom fundacji Polskie Forum Migracyjne.

To pierwsze takie warsztaty po ukraińsku w warszawskiej podstawówce, do której uczęszcza tysiąc uczniów i uczennic, w tym 40 z doświadczeniem uchodźstwa. W dwudziestoosobowej grupie są trzy nieśmiałe Białorusinki. Reszta to Ukraińcy i Ukrainki. Od roku uczą się w oddziale przygotowawczym – łączonej klasie dla dzieci nieznających języka polskiego. Trenerki fundacji – Maria Sobol i Natalia Marczenko – zaczynają rozgrzewką. Psycholożka Natalia obraca się wokół własnej osi i wypowiada formułkę: „Wiatr wieje na tego, komu podoba się w polskiej szkole". Osoby, które odnajdują się w tym stwierdzeniu powinny wstać i przesiąść się na inne krzesło. Połowa grupy nie rusza się z miejsca.

– Minął ponad rok, ale uczniom z Ukrainy wciąż trudno się odnaleźć. Tęsknią za przyjaciółmi, dziadkami, zwierzakami, pierwszymi sympatiami. Wielu uczniów pozostaje w stanie zawieszenia: nie wiedzą, czy wrócą, czy zostaną na dłużej, czy pojadą do innego kraju. Brak stabilności i poczucia bezpieczeństwa utrudnia integrację – wyjaśnia pedagożka Anna Piecha.

W polskich szkołach uczy się około 26 tys. dzieci i nastolatków z Białorusi i prawie 200 tys. z Ukrainy – w rzeczywistości w Polsce mieszka ich nawet cztery razy więcej. Nie jest jednak jasne, ilu kontynuuje naukę zdalnie w ukraińskiej szkole. – Nie wiadomo, co się dzieje z tymi dziećmi. Jeżeli dochodzi do przemocy, nikt nie zostaje poinformowany. W końcu to głównie szkoły inicjują procedurę Niebieskiej Karty – ostrzega Karolina Czerwińska, członkini zarządu Polskiego Forum Migracyjnego.

„Wracaj do tej swojej Ukrainy"

Gdy jest jej smutno, Masza tańczy. Nastia w takich chwilach gotuje, ma nawet swoje własne przepisy. Trenerka Maria podsuwa grupie jeszcze kilka pomysłów na to, jak lepiej się poczuć: napierać rękami na ścianę, by potem poczuć przyjemne odprężenie, albo przywołać trzy miłe wspomnienia.

Nastolatki otwierają się powoli. Nieśmiało opowiadają o przykrościach, które ich spotkały. Dasza wspomina sytuację w sklepie: – „Spier... do Moskwy". Tak powiedział jeden pan, jak usłyszał, że rozmawiamy po ukraińsku. Przestraszyłyśmy się, nawet nie tłumaczyłyśmy, że nie jesteśmy z Rosji.

W szkole Daszy nie dochodzi do takich incydentów, co nie znaczy, że w ogóle nie mają miejsca. Luba ze Lwowa, która od marca zeszłego roku mieszka w Szczecinie, słyszy regularnie, że powinna „wrócić do tej swojej Ukrainy". Lubie jest przykro, ale jej mama nie bierze tego na poważnie. – W tym wieku to normalne. Chłopaki gadają po prostu głupoty. Dzieci się kłócą.

Anna Tomczyk, polonistka ze szczecińskiej podstawówki nr 68, rozlicza polskie dzieci z takiego zachowania. – Rozmawiamy z uczniami i rodzicami, często nie chodzi tylko o jedną przykrą wypowiedź. Polscy uczniowie myślą, że traktujemy dzieci z Ukrainy ulgowo, czują się przez to pokrzywdzeni. Nie do końca rozumieją kontekst sytuacji i odreagowują frustracje agresją.

Czasami dochodzi do przemocy fizycznej. Tomczyk przyznaje, że zdarza się, iż w trakcie przerw dzieci łapią i popychają koleżanki i kolegów z Ukrainy. – Od razu reagujemy, wzywamy rodziców, są też spotkania z psychologiem – wylicza. – Niektórzy ukraińscy rodzice nie rozumieją, dlaczego muszą się stawić w szkole, skoro ich dziecko nie jest niczemu winne. Wychodzą z założenia, że jak posyłają dziecko do polskiej szkoły, to ono powinno być tam bezpieczne.

Uczniom Anna Tomczyk wyjaśnia, że nie może wymagać tego samego od Maksyma, który dopiero zaczyna się uczyć polskiego alfabetu; że nie wstawi jedynki Artemowi, który drze kartki na małe kawałeczki, bo przyjechał z kraju ogarniętego wojną; że również Julia, która rozwiązała mniej zadań, zasługuje na piątkę, bo takie były wobec niej wymagania w tym tygodniu. – I tak w kółko. Staramy się też ćwiczyć empatię: pytamy polskie dzieci, jak one by się czuły, gdyby wyjechały do Francji czy Niemiec bez znajomości języka. Niektóre są w stanie wczuć się w sytuację ukraińskich dzieci, do innych nic nie trafia.

Frustracje i szacunek

Raport Centrum Edukacji Obywatelskiej z sierpnia 2022 r. wspomina, że dzieci aklimatyzują się szybciej w szkołach, które miały już doświadczenie w pracy z uczniami spoza Polski. Zdaniem Anny Chełmińskiej, dyrektorki Społecznego Zespołu Szkolno-Przedszkolnego w Kudowie-Zdroju, to nie jedyny czynnik, który pozytywnie wpływa na integrację: – Dużo zależy od kultury szkoły: czy jest otwarta na świat, zaangażowana społecznie? Wszystko jedno, czy chodzi o zachęcanie do wolontariatu w schronisku dla zwierząt, czy pomagania osobom z niepełnosprawnościami. Ważne, by uczyć otwartości na różnorodność. To trudne w tak spolaryzowanym społeczeństwie.

Nauczyciele coraz częściej poruszają te kwestie, ale czasami w zbyt ogólny, teoretyczny sposób. Takie wrażenie odnosi Paulina, mama 10-letniego Adasia, który uczy się w szczecińskiej podstawówce. – Te lekcje powinny mieć przełożenie na realną sytuację. Zamiast patetycznie mówić o szacunku, dzieci powinny się nauczyć szacunku do kolegi z ławki. Przecież część z nich tu zostanie!

Szacunek to słowo klucz. – Jako nauczyciele musimy się kontrolować, by nie wyładowywać frustracji na dzieciach i pilnować, by przestrzegały zasad. Jeżeli trudne sytuacje nie są rozładowywane na bieżąco i uczniowie nie doświadczają szacunku w szkole, to wyżywają się na najsłabszych. Nieważne, czy to będzie dziecko z niepełnosprawnością, czy dziecko z innego kraju – uczula Chełmińska.

W klasie pani Moniki, polonistki i wychowawczyni z warszawskiej podstawówki, narasta irytacja. – Czasami przerywam lekcję, żeby wytłumaczyć coś dziecku z Ukrainy. I wtedy polscy uczniowie się denerwują, bo chcą już robić coś innego. Wydaje mi się, że wynika to z zazdrości. Każde dziecko potrzebuje uwagi, a teraz jej część skupia się na dzieciach z Ukrainy, które mają większe potrzeby ze względu na barierę językową bądź różnice programowe.

Podczas zebrań z rodzicami Monika słyszy, że ukraińskie dzieci spowalniają pracę, obniżają wymagania i sprawiają problemy wychowawcze. – To pierwsze się częściowo zgadza – dynamika jest dziś inna. Ale dwa pozostałe argumenty? Polskie i ukraińskie dzieci zachowują się podobnie. Są pewne różnice, ale wynikają z tego, że Ukraina to jednak inny kraj niż Polska.

I tak w ukraińskich szkołach można używać telefonów, w polskich na ogół nie. Monika za każdym razem zwraca uczniom uwagę. – Ciągle walczymy. A dzieci nie rozumieją, że na przerwie nie wolno grać w Minecrafta. Pozwalamy wprawdzie na korzystanie z tłumacza na telefonie w trakcie lekcji, ale czasami uczniowie nie sprawdzają słówek, tylko oglądają filmiki. Dzieci polskie to widzą i komentują.

Paweł Rybak, pedagog z krakowskiego Zespołu Szkół Budowlanych „Chemobudowa", zauważa jeszcze jeden punkt zapalny – inne podejście do poszanowania wspólnej własności. – Niektórzy nie dbają o sprzęt komputerowy, ławki czy szafki. Może to ma coś wspólnego z pozostałościami sowieckiej mentalności? Polscy uczniowie to od razu komentują. Gdy wchodzą do klasy, pytają, dlaczego oni zostawiają taki bałagan. To oczywiście nie sprzyja integracji.

Niektóre charytatywne akcje jeszcze pogarszają sytuację. Rybak opowiada o wyprawkach, które UNICEF przygotował dla uczniów z Ukrainy. – Dzieci dostały plecaki ze szkolnym wyposażeniem i tablety z klawiaturą. To świetny pomysł, ale nie organizujmy tego w szkołach. Przy takim rozdawaniu jest zawsze sporo zamieszania, organizacje proszą o zdjęcia, które zostaną wysłane donatorom. A później przychodzą do mnie dzieci z Polski i pytają, dlaczego one tego nie dostają. W ten sposób tworzymy między dziećmi mur.

Lepiej ze swoimi

W wielu szkołach ten mur i tak powstał z uwagi na barierę językową. Gdy trenerka podczas warsztatów psychoedukacyjnych w Warszawie pyta, kto dobrze mówi po polsku, wstaje tylko Masza. Nie pomaga, gdy polscy uczniowie śmieją się z błędów – niektóre dzieci zamykają się wtedy w sobie, wstydzą się rozmawiać. Część wybiera towarzystwo rosyjsko- lub ukraińskojęzycznych rówieśników. W klasie Adasia rosyjskojęzyczni uczniowie rozmawiali na przerwach tylko między sobą. – Polonistka to zauważyła – mówi Paulina, mama Adasia. – Wpadła na rewelacyjny pomysł, żeby połączyć dzieci w pary i rozdzielić zadania, które przez dwa tygodnie mieli wykonywać na przerwach – w ten sposób uczniowie mogliby rozwijać kompetencje językowe i poznać siebie nawzajem. Ten projekt był nastawiony na integrację całej klasy.

I tak Sasza nauczył Adasia dwudziestu ukraińskich słówek: nazw części ciała i czasowników związanych z grą w piłkę nożną. Chłopcy ćwiczyli też ↦

↦ polskie odpowiedniki. Inna para trenowała układanie kostki Rubika, a jeszcze inna odbijanie piłki kolanem. Rezultaty eksperymentu miały być zaprezentowane reszcie klasy. – Niestety część rodziców się sprzeciwiła. Uznali, że nauczycielka ogranicza wolność dzieci i że przerwy mają służyć odpoczynkowi – dodaje Paulina.

Mimo przedwczesnego zakończenia inicjatywa przyniosła efekty. Sasza stał się częścią klasowej paczki Adasia. Grają w jednej drużynie – okazało się, że Sasza jest świetnym piłkarzem, razem też wracają po szkole do domu.

W klasie Adasia co trzeci uczeń jest spoza Polski. W klasie, w której uczy polonistka Monika, prawie co drugi. Wtedy integracja przebiega trudniej, bo tworzą się „grupki językowe". Zdaniem pedagożki Anny Piechy to naturalne zjawisko. – Dzieci szukają kontaktu z rówieśnikami, którzy podobnie postrzegają rzeczywistość. Czują się bezpiecznie w gronie, w którym mogą się swobodnie wypowiedzieć. Nawet dzieci, które dobrze opanowały język polski, nie są w stanie porozmawiać o wszystkim z polskimi kolegami i koleżankami.

Choć Luba swobodnie wypowiada się po „polsko-ukraińsku", to i tak nie rozumie wszystkiego. – Czasami tylko twierdzi, że rozumie, ale gdy ją pytam o znaczenie, patrzy zakłopotana – mówi Ksenia Borodin, mama Luby, i z rozbawieniem opowiada o pierwszym dniu w szkole: – Nauczycielka wyjaśniała Lubie, jak trafić do klasy na drugim piętrze. Szepnęłam wtedy, że chodzi o trzecie piętro, bo w Ukrainie parter jest nazywany pierwszym piętrem. A pani nauczycielka popatrzyła na mnie ze zdziwieniem, że co ja gadam za głupoty. Dodała jeszcze, że trzeba iść prosto. Luba myślała, że droga na basen nie jest trudna. Bo w języku ukraińskim „prosto" oznacza „łatwo".

AGATA SZYMAŃSKA-MEDINA

KSENIA BORODIN Z CÓRKĄ. *„Luba czasami twierdzi, że rozumie po polsku, ale gdy ją pytam o znaczenie słów, patrzy zakłopotana", mówi. Szczecin, 12 kwietnia 2023 r.*

Na początku Luba uczestniczyła w dodatkowych zajęciach z języka polskiego. Po zmianie planu (basen o 6.30, potem szkoła, później znowu basen, w piątek po lekcjach dodatkowy polski) zrezygnowała. Nie traci jednak motywacji do nauki. Chce zostać w Polsce. Twierdzi, że tu jej lepiej. – Polskie szkoły organizują znacznie więcej wycieczek. Nauka opiera się na doświadczeniu: np. na geografii dzieci wychodzą w teren i rysują mapę – wyjaśnia Ksenia. – W Ukrainie uczą się wszystkiego w teorii, a tutaj na chemii bucha ogień.

Luba się ożywia: – Tak, pani wlała płyn do pudełka z wodą, potem jakiś gaz i ten gaz się zapalił. To była najpiękniejsza lekcja!

Zobaczyć szansę

Początkowo mama Luby myślała, że w maju 2022 r. wrócą do Ukrainy. Przez chwilę zastanawiała się nad przeprowadzką do Niemiec – latem dojeżdżała do pracy na uniwersytecie w Greifswaldzie. Ale doszła do wniosku, że „nie zrobi tego dzieciom". – Dziewczyny w końcu znalazły swoje miejsce: Kasia uczy się w liceum, najstarsza córka na ASP w Szczecinie. W Niemczech musiałyby zaczynać od nowa.

Ksenia Borodin wciąż pracuje zdalnie na lwowskim uniwersytecie. Planuje jednak zostać w Polsce, by córki mogły się tu dalej uczyć. Wiele Ukrainek nie podjęło jeszcze ostatecznej decyzji.

– Życie w niepewności powoduje spadek motywacji do nauki i utrudnia integrację – zauważa pedagog Rybak. – I tak 16-letni Dima nie chodzi już do szkoły, ale w niej „bywa", jak to określa Rybak. A na początku mu zależało: pod koniec października przeniósł się z klasy o profilu budowlanym do klasy programistów, nadrobił materiał z pomocą kolegów, marzył o karierze informatyka.

Również polonistka Monika mówi o spadku motywacji: – Dzieci przestały się uczyć i nie do końca wiemy dlaczego. Asystentki międzykulturowe zgłaszają, że część realizuje program szkół w Ukrainie. Może myślą, że wrócą i dlatego się nie przykładają. Gdy mówimy rodzicom, że dziecko nie zda, niektórzy tylko wzruszają ramionami. Najważniejsze jest dla nich to, że można mu jakoś zająć czas.

Ten zaś płynie. Szkoły wciąż radzą sobie jak mogą, bo rozwiązań systemowych brakuje. Polonistka Anna Tomczyk korzysta z materiałów Uniwersytetu Dzieci i z oferty CEO – bierze udział w szkoleniu „Pracuję w szkole w czasach migracji". Chełmińska posiłkuje się materiałami dydaktycznymi Polskiej Akcji Humanitarnej.

Anna Tomczyk ze Szczecina potwierdza, że takich opcji jest multum. Sama rozważa podjęcie studiów podyplomowych w zakresie nauczania języka polskiego jako obcego. – Trzeba tylko znaleźć czas i zobaczyć w tych zmianach szansę na rozwój – zaznacza. Szkoły, podobnie jak miejsca pracy, stają się w Polsce wielokulturowe. © ULA IDZIKOWSKA

Niektóre imiona dzieci i rodziców zostały na ich prośbę zmienione.

Tekst powstał dzięki wsparciu Journalismfund Europe.

POŻEGNANIE

Żannie Słoniowskiej

serdeczne wyrazy współczucia z powodu śmierci

Mamy

składają

Przyjaciele z Wydawnictwa Znak

Pieniądze to nie wszystko

MATERIAŁY PRASOWE BIURA RPO

DR HAB. PAWEŁ KUBICKI jest ekonomistą SGH. Specjalizuje się m.in. polityce państw wobec osób z niepełnosprawnościami.

DR HAB. PAWEŁ KUBICKI, EKONOMISTA:

Osoby z niepełnosprawnościami zniknęły z mediów, ale problem nie zniknął. Najbliższe tygodnie zdecydują, czy władzy uda się prawdziwa transformacja systemu wsparcia tej grupy.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Rząd przyjął projekt ustawy o tzw. wspierającym świadczeniu dla osób z niepełnosprawnościami, odmawiając równocześnie podwyższenia renty socjalnej, czego domagali się protestujący do niedawna w Sejmie. Władza ich wykiwała?

PAWEŁ KUBICKI: Przejęła ich postulaty, przerobiła i uzupełniła o swoje. Gdyby więc chcieć to wszystko analizować wyłącznie z punktu widzenia politycznej gry, to tak, władza wykiwała protestujących. Trzeba jednak dodać zastrzeżenie: ta rozgrywka trwa. Zakończył się sejmowy protest, ale manifestują – choć już bez rozgłosu – inne grupy, np. opiekunowie osób z niepełnosprawnościami. Z kolei rząd przyjął projekt ustawy, ale reszta procesu legislacyjnego przed nami.

Jak się ma renta socjalna do nowego świadczenia, które obiecał rząd?

W sensie formalnym – nijak. Renta, wynosząca obecnie 1445 zł netto, przysługuje osobom, których niepełnosprawność powstała w dzieciństwie lub w czasie edukacji oraz mają orzeczenie o niezdolności do pracy. Tymczasem nowe świadczenie wspierające jest obok systemu. Wprowadza też nową grupę świadczeniobiorców – tych o najwyższych potrzebach.

I to wedle nowej skali potrzeb – od 0 do 100 – przy czym świadczenie dostaną ci z górnej trzydziestki. Mieszczący się między 70. a 80. punktem otrzymają równowartość połowy renty socjalnej, ci z drugiej dziesiątki niecałe 1500 zł, a najbardziej potrzebujący, wpadający w przedział od 90 do 100, czyli np. niebędący w stanie wykonać żadnej codziennej czynności – dwukrotność renty, a więc niemal 3 tys. na rękę.

Nie tracąc przy tym uprawnień do pobieranych dotychczas świadczeń, w tym do renty socjalnej. Choć prawdą jest też, że przynajmniej część osób, które protestowały w Sejmie, nie załapie się na nowe świadczenie – stąd niezadowolenie tej grupy, ale i sporej części innych przedstawicieli środowiska.

Jest też tutaj pewna niedopowiedziana obawa: być może wspomniana skala oceny potrzeb od 0 do 100 jest początkiem budowy całkiem nowego systemu wsparcia – bardziej precyzyjnego, ale też oznaczającego, że w dalszej przyszłości mniejsza niż teraz grupa będzie dostawała najwyższe wsparcie. Wedle obecnych kryteriów mamy w Polsce milion osób z tzw. znaczną niepełnosprawnością. Tymczasem ci z górnej trzydziestki nowej skali to zgodnie z wyliczeniami ministerstwa nie więcej niż pół miliona Polaków, a górna dziesiątka punktacji – ledwie około 50 tys.

Władza powtarza jak mantrę jedno zdanie: żaden wcześniejszy rząd nie przeznaczył takich środków na wsparcie osób z niepełnosprawnościami. Prawda czy fałsz?

Tak to wygląda w liczbach, ale pamiętajmy o czynniku inflacji: te same kwoty dzisiaj i prawie dekadę temu oznaczają co innego. No i pieniądze nie są jedynym ani nawet najważniejszym kryterium oceny systemu wsparcia.

A co jest najważniejsze?

Temat osób niepełnosprawnych zniknął z mediów, bo zniknął z sejmowych korytarzy, przez co trudno go już opisywać chwytliwymi, zero-jedynkowymi tezami. Ale nie zniknął ze specjalistycznych portali czy forów internetowych. Tam wszyscy zastanawiają się, czy otrzymają wsparcie, ale też zadają sobie jedno pytanie: czy to nowe świadczenie i nowa skala potrzeb jest tylko reakcją na kryzys, czy początkiem budowy nowego systemu.

Nowego, czyli jakiego?

Przestawionego ze starego paradygmatu na nowy, zgodny z ratyfikowaną w Polsce w 2012 r. Konwencją o prawach osób niepełnosprawnych. Upraszczając, wedle starego paradygmatu niepełnosprawność, będąca przede wszystkim problemem medycznym, wymaga głównie opieki państwa. Wedle nowego to stan będący elementem życia codziennego, które powinno być możliwie niezależne.

Ta transformacja trwa od dawna, ale obecna władza ma szansę posunąć ten proces mocno do przodu. A nawet powinna, bo to wielokrotnie obiecywała.

By tak się stało, musi wprowadzić ustawową gwarancję asystencji osobistej, czyli stałej pomocy kogoś, kto ułatwia osobie niepełnosprawnej niezależne funkcjonowanie – wychodzenie z domu, robienie zakupów, wykonywanie pracy.

Najbliższe tygodnie zdecydują, czy to się uda. Bo jeśli obiecywana od dawna, a tworzona w Kancelarii Prezydenta ustawa nie ujrzy światła dziennego do końca maja, to już w obecnej kadencji nie da się jej wprowadzić. W ogóle jest trudna do wprowadzenia: asystencja, do której byłby szeroki dostęp dla dużej grupy osób, byłaby bardzo droga.

W dodatku mniej spektakularna niż świadczenie, więc możemy chyba uznać jej temat – przynajmniej przed wyborami – za przegrany.

Może tak być. Ale nie musi. ©℗

Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

BARTŁOMIEJ KUDOWICZ / FORUM

Po termomodernizacji – ulica Lisia w Zielonej Górze, 2019 r.

Drogo, by było tanio

PIOTR WÓJCIK

Czeka nas masowa termomodernizacja budynków. Opłaci się każdemu z nas, ale będzie niezwykle kosztowna. Czy Polskę na nią stać?

W starych, nieocieplonych i ogrzewanych węglem mieszkaniach żyje się źle i drogo. Dla milionów Polaków termomodernizacja może być więc skokiem cywilizacyjnym, dzięki któremu warunki mieszkaniowe w naszym kraju bardzo się zmienią, a rachunki za energię znacznie spadną. Odpoczną też nasze płuca.

Od G do A

Parlament Europejski przyjął projekt nowelizacji dyrektywy EPBD (*Energy Performance of Buildings Directive*), której celem jest zmniejszenie zużycia energii w budynkach mieszkalnych i publicznych. Państwa członkowskie zobowiązano do wprowadzenia klas energetycznych budynków od A do G, co zrobiła już większość państw UE – Polska jeszcze nie. Według Ministerstwa Rozwoju i Technologii nastąpi to w przyszłym roku.

– Te klasy będą instrumentem porządkującym. Do klasy G zaliczonych zostanie 15 proc. najmniej efektywnych energetycznie budynków w kraju – tłumaczy Aleksander Śniegocki, prezes think tanku Instytut Reform, monitorującego polityki publiczne w Polsce i Europie.

Budynki, które zostaną sklasyfikowane jako G, powinny zostać zmodernizowane w pierwszej kolejności. Klasa ta nie będzie jednak określona twardym wskaźnikiem, takim samym dla całej UE, tylko posłuży do wyselekcjonowania największych wampirów energetycznych w danym kraju. Kryteria kwalifikacji będą inaczej wyglądać w Holandii i Francji, a inaczej w Bułgarii czy w Polsce. To samo będzie dotyczyć klas B-F, do których równomiernie trafi kolejne 10-15 proc. krajowych budynków. Ujmując to najprościej, klasy F i G łącznie powinny obejmować 30 proc. najbardziej energochłonnych budynków w Polsce. Według raportu Instytutu Reform należy do nich ok. 2 mln budynków mieszkalnych (w sumie jest ich prawie 7 mln), które odpowiadają za połowę zużycia energii przez gospodarstwa domowe w Polsce.

– Dzięki uporządkowaniu wiedzy o stanach budynków w państwach członkowskich łatwiej będzie zarządzać ich modernizacją. Rządy zostaną zobowiązane do stworzenia warunków i źródeł finansowania – wyjaśnia Aleksander Śniegocki.

Do końca dekady wszystkie budynki powinny spełniać standardy cechujące krajową klasę E. Tak więc do 2030 r. powinniśmy zmodernizować 30 proc. budynków w Polsce (klasy G i F). Nie znamy jeszcze dokładnej specyfikacji klas w Polsce, ale bazując np. na niemieckiej można założyć, że w efekcie zużycie energii pierwotnej w pierwszej puli modernizowanych budynków powinno spaść o jedną trzecią. Docelowo, czyli do połowy wieku, wszystkie powinny osiągnąć klasę A, wspólną dla całej UE, która co do zasady oznacza obiekty neutralne klimatycznie.

– Dokładna definicja budynków neutralnych klimatycznie będzie jeszcze doprecyzowana. Na pewno fundamentalnym kryterium klasy A będzie zakaz spalania paliw kopalnych na miejscu. Budynki podpięte do systemu ciepłowniczego powinny więc zostać uznane za zeroemisyjne, pod warunkiem że ten system jest zmodernizowany – mówi prezes Instytutu Reform.

Co więcej, już od 2028 r. wszystkie nowe budynki mieszkalne będą musiały spełniać wyśrubowaną klasę A. W przypadku budynków użyteczności publicz-

nej termin ten będzie nawet o dwa lata krótszy. Oznacza to, że już za pięć lat wszystkie nowo stawiane mieszkania i domy w Polsce powinny korzystać z ciepła sieciowego lub energii elektrycznej do ogrzewania – w tym drugim przypadku najpopularniejszym rozwiązaniem jest pompa ciepła. Możliwe będzie również wykorzystanie źródeł ogrzewania opartych na biomasie, z projektów znikną jednak kotłownie gazowe.

Nawet bilion to za mało

Obraz wyzwania, które stoi przed Polską w najbliższych dekadach, dobrze przedstawia rządowa „Długoterminowa strategia renowacji budynków", przyjęta przez Radę Ministrów w lutym zeszłego roku. Chociaż termomodernizacja będzie stopniowa i rozciągnięta na prawie trzy dekady, to zadanie stojące przed nami i tak jest bardzo poważne.

Efektywność energetyczna budynków w ogromnej mierze zależy od ich wieku. Te oddane w latach 2019-2020 statystycznie mają trzykrotnie mniejsze zapotrzebowanie na energię pierwotną niż wybudowane przed 1994 r. Tymczasem w Polsce mamy 1,2 mln mieszkań wybudowanych jeszcze przed 1918 r. W latach 1945-70 powstało przeszło 3 mln lokali, które wciąż są w użytku, zaś w epoce gierkowskiej – kolejne 2 mln mieszkań. Łącznie prawie 12 mln lokali będących w użytku to te sprzed 2002 r. Jako że w sumie mamy w Polsce niecałe 16 mln mieszkań, trzy czwarte z nich to konstrukcje rodem z zeszłego wieku.

Widać wyraźnie, że w najbliższych latach Polska stanie się wielkim placem budowy. Według scenariusza zawartego w strategii rządowej, w obecnej dekadzie powinniśmy zrealizować 2,4 mln termomodernizacji, w tym pół miliona głębokich. Nie odpowiada to dokładnej liczbie budynków, gdyż w niektórych trzeba będzie przeprowadzić więcej niż jedną inwestycję. Żeby do 2050 r. osiągnąć klasę A w całej Polsce, w następnych dwóch dekadach liczba projektów musi być podobna.

Skumulowane koszty są gigantyczne. „Całkowite wydatki inwestycyjne na renowację budynków w latach 2021-2050 r. (w zakresie termomodernizacji i wymiany źródeł ciepła) wyniosą ok. 1,54 bln PLN" – czytamy w rządowym dokumencie. To ponad dwukrotność rocznego budżetu polskiego państwa, więc nawet jeśli założone półtora biliona złotych będzie rozłożone na wiele lat, koszty roczne i tak będą bardzo wysokie. Co roku powinniśmy wydawać na ten cel ok. 40 mld zł (czyli 400 mld do końca tej dekady, licząc od 2021 r.). To równowartość wydatków na program 500 plus. Trzeba jednak pamiętać, że od kilku lat już częściowo modernizujemy polskie domy i urzędy, tylko bez przesadnego rozgłosu. Głośną akcję w tej sprawie przeprowadził w ostatnich latach np. Kraków.

– Najbardziej energochłonne budynki to przede wszystkim te opalane węglem. Inaczej mówiąc, budynki określane mianem wampirów energetycznych to najczęściej te same, w których są tak zwane kopciuchy. A przecież Polska sama chce do 2030 r. wyeliminować spalanie węgla w budynkach miejskich, a do 2040 r. – w całym kraju. To w dużej mierze pokrywa się z celami dyrektywy. Tak więc nie ma konfliktu między tym, co sami chcemy robić i co już robimy w interesie własnego zdrowia, a tym, co proponuje Unia Europejska – przekonuje Aleksander Śniegocki.

Cel: zniknąć z mapy

Sztandarowym programem rządowym, który zapewnia finansowanie działań termomodernizacyjnych, jest „Czyste powietrze" (obok niego funkcjonują też liczne programy gminne). Według najnowszych danych złożono już przeszło pół miliona wniosków, na ponad 10 mld złotych. „Czyste powietrze" kojarzone jest głównie z wymianą pieców węglowych na nowoczesne, ale finansuje ono także działania poprawiające efektywność energetyczną w szerszym zakresie. Według analizy Instytutu Reform, w latach 2018-2021 jedna dziesiąta złożonych wniosków obejmowała wyłącznie termomodernizację, czyli na przykład ocieplenie przegród budowlanych czy wymianę stolarki okiennej i drzwiowej. Kolejne 40 proc. wniosków obejmowało zarówno termomodernizację, jak i wymianę źródła ciepła. Jednak pod względem samych kwot to termomodernizacja dominuje – 60 proc. wartości wsparcia z „Czystego powietrza" zostało przeznaczonych właśnie na ten cel.

– Polskie budynki już i tak są remontowane. To nie jest tak, że one stoją i niszczeją. Chodzi o to, żebyśmy zaczęli inwestować jeszcze więcej, by osiągnąć wysoki standard energetyczny. Dzięki temu więcej zaoszczędzimy na paliwach kopalnych i energii elektrycznej. Cała logika, na której opiera się dekarbonizacja, sprowadza się do tego, że im więcej zainwestujemy, tym potem mniej wydamy na bieżące opłaty. W długim okresie te wszystkie inwestycje same się spłacą – twierdzi Śniegocki.

Oszczędności pochodzące z termomodernizacji są niebagatelne. Według rządowej strategii renowacji budynków, przeciętna termomodernizacja w Polsce w latach 2010-16 zapewniała spadek zużycia energii o ponad jedną trzecią. Wiele też zależy od rodzaju remontowanego budynku. Według danych GUS z 2019 r., termomodernizacja mieszkań komunalnych, które najczęściej są w złym stanie technicznym, przyniosła (średnio) redukcję zużycia energii o przeszło połowę. W przypadku wspólnot mieszkaniowych mowa o oszczędności rzędu 40 proc. Renowacja budynków należących do państwa dała spadek zużycia energii aż o dwie trzecie.

Pozostaje pytanie, czy na to wszystko starczy nam pieniędzy. Potencjalnych źródeł finansowania jest kilka. Działania termomodernizacyjne znalazły się wśród zadań zawartych w Krajowym Planie Odbudowy, z którego pieniędzy wciąż nie otrzymaliśmy. Na szczęście najbardziej zagrożone kosztami dekarbonizacji regiony – Małopolska i Śląsk – otrzymają wsparcie z Funduszu na rzecz Sprawiedliwej Transformacji, który łącznie da nam 20 mld złotych.

– Wpisaliśmy do KPO finansowanie „Czystego powietrza" i renowacji budynków publicznych. Kluczowy będzie jednak unijny Społeczny Fundusz Klimatyczny, który przyniesie nam 10 mld złotych rocznie w latach 2026-2032. Powstanie on dzięki wprowadzeniu opłat za emisję CO_2 od budynków i transportu, które będą redystrybuowane do mniej zamożnych państw UE, takich jak Grecja czy Polska – zaznacza Śniegocki.

Pewną część pieniędzy będzie można przeznaczyć na wsparcie dochodów ludzi najbiedniejszych, gdyż do pewnego stopnia to od nas zależy, w jaki sposób będziemy zarządzać funduszem. Na przygotowanie się do niego mamy jeszcze dwa lata, ale warto się postarać. Być może dzięki temu Polska zniknie wreszcie z map Europy jako czołowy jej (i siebie) truciciel. ©

W Sądzie Rejonowym dla Warszawy Pragi-Północ w Warszawie II Wydział Cywilny pod sygnaturą II Ns 39/23 toczy się postępowanie z wniosku Spółdzielni Mieszkaniowej „Bródno" z siedzibą w Warszawie o stwierdzenie nabycia spadku po Jadwidze Anieli Walczuk, córce Stanisława i Janiny, urodzonej 8 stycznia 1944 r. w Warszawie, zmarłej 21 września 2020 r. w Siennicy, ostatnio stale zamieszkałej w Warszawie przy ul. Łabiszyńskiej 15 m. 2.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postępowaniu o stwierdzenie jego nabycia.

W Sądzie Rejonowym w Przysusze pod sygn. akt I Ns 407/22 toczy się postępowanie z wniosku Jerzego Olaka o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie własności niezabudowanej nieruchomości położonej w miejscowości Zychorzyn, gmina Rusinów, woj. mazowieckie, złożonej z działek oznaczonych numerami ewidencyjnymi: 1581, 1614, 1750, 2104, 2265, 2369, 2431, 2620, 2621, 2622, 2808, 2896 i 3747 o łącznej pow. 3,6900 ha, a przedstawionej na mapie wydanej przez Starostę Przysuskiego za numerem kancelaryjnym GK.I.6621.2221.2022.

Wzywa się wszystkie osoby zainteresowane, by w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły się i wykazały swoje prawa do tej nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi nabycie własności przez posiadacza samoistnego – zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

W Sądzie Rejonowym w Sanoku pod sygn. akt I Ns 389/22 toczy się postępowanie z wniosku Janiny Pelc i Zbigniewa Pelca o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie prawa własności nieruchomości położonej w Sanoku, obręb Dąbrówka, składającej się z działki oznaczonej numerem ewidencyjnym 1128/2 o powierzchni 0,0186 ha, której odpowiada działka nr 5155/6, dla której prowadzona jest zamknięta księga wieczysta Ldz. 198 Gm. kat. Dąbrówka Polska.

Sąd wzywa osoby zainteresowane, a w szczególności Stanisława Wołoszczak bądź jego spadkobierców oraz spadkobierców Marii Skoroszewskiej c. Michała i Bronisławy, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili swój udział w sprawie i wykazali własność, gdyż w przeciwnym wypadku Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie udowodnione.

Sąd Rejonowy w Gnieźnie Wydział I Cywilny zawiadamia, że pod sygn. akt I Ns 107/23 toczy się sprawa z wniosku PROTEGAT 1 Niestandaryzowany Sekurytyzacyjny Fundusz Inwestycyjny Zamknięty z siedzibą w Krakowie o stwierdzenie nabycia spadku po Henryku Henzel, urodzonym 24 stycznia 1940 r., synu Michała Henzel i Józefy, z domu Henschl, zmarłym 6 października 2022 r. w Gnieźnie, mającym ostatnie miejsce zwykłego pobytu we Wronczynku przy ul. Maślakowej 9.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu, podali swoje miejsce zamieszkania i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku po Henryku Henzel.

Przed Sądem Rejonowym w Gliwicach pod sygn. akt I Ns 871/22 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Marianie Hawro, urodzonym 19.08.1919 roku, zmarłym w dniu 18.11.2003 roku w Londynie, ostatnio stale zamieszkałym w Londynie. W skład spadku wchodzi udział w nieruchomości położonej w Pyskowicach przy ulicy Traugutta 62, dla której Sąd Rejonowy w Gliwicach prowadzi księgę wieczystą.

Sąd wzywa spadkobierców Mariana Hawro, aby zgłosili swój udział w postępowaniu i udowodnili nabycie spadku w terminie 3 miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Sąd Rejonowy w Mysłowicach, Wydział I Cywilny informuje, iż pod sygnaturą I Ns 575/21 w tutejszym Sądzie toczy się postępowanie z wniosku Gminy Sosnowiec - Miejskiego Zakładu Zasobów Lokalowych z siedzibą w Sosnowcu w sprawie o stwierdzenie nabycia spadku po Ewie Tyl, córce Stanisława i Janiny, zmarłej w dniu 31 stycznia 2019 roku w Sosnowcu, mającej ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Mysłowicach. Skład spadku nie jest znany.

Wzywa się spadkobierców Ewy Tyl, aby w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym dla Warszawy - Mokotowa w Warszawie w II Wydziale Cywilnym pod sygnaturą akt II Ns 433/22 toczy się postępowanie z wniosku Międzyzakładowej Spółdzielni Mieszkaniowej „Energetyka" w Warszawie o stwierdzenie nabycia spadku po Annie Ludmile Jastrzębskiej, córce Władysława i Teodory, zmarłej 8 marca 2004 roku w Warszawie, ostatnio stale przed śmiercią zamieszkałej w Warszawie przy ul. Korsykańskiej 3 m. 99.

Wzywa się, aby spadkobiercy wskazanej osoby w ciągu trzech miesięcy od dnia dokonania ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego dla Warszawy-Mokotowa w Warszawie i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Chełmie I Wydziale Cywilnym w sprawie o sygnaturze akt I Ns 476/22 z wniosku Alior Bank Spółki Akcyjnej z siedzibą w Warszawie toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Grażynie Marii Śliwińskiej, nazwisko rodowe Wilhelm, córce Eugeniusza i Janiny z domu Malec, zmarłej w dniu 11 stycznia 2019 roku w Chełmie, ostatnio stale zamieszkałej w Chełmie.

Wzywa się spadkobierców, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się do Sądu i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie zostaną pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

TOMASZ

Stawiszyński: *Aaaaautentyczność sprzedam/kupię*

Nowe trendy w Stanach Zjednoczonych to mają do siebie, że po niedługim czasie stają się trendami ogólnoświatowymi (co trafnie wyraził ongiś zespół Rammstein pamiętną frazą „*We're all living in America*"). Dlatego właśnie postanowiłem poświęcić kilka zdań jednemu z takich trendów, szeroko ostatnio komentowanemu i opisywanemu. Chodzi mianowicie o specjalnie organizowane, płatne „kolacje z przyjaciółmi", które – ściśle rzecz ujmując – nie są wcale kolacjami z przyjaciółmi, lecz z nieznajomymi, mającymi wszakże potencjał, żeby przyjaciółmi się stać.

Pomysł wziął się z pandemicznego osamotnienia i poczucia, że i tak już poważnie nadwątlone sieci społeczne uległy kompletnemu demontażowi. A także z przeświadczenia, że odgórnie organizowane spotkania, na które się idzie właśnie po to, żeby kogoś poznać – niekoniecznie w porządku matrymonialnym, ale w pierwszej kolejności przyjacielskim – są do znośnego życia koniecznie potrzebne.

Przy czym formuła takich kolacji jest dalece niejednolita. Od zupełnie konwencjonalnej, gdzie organizator lub organizatorka po prostu zapraszają do wspólnej biesiady wstępnie wyselekcjonowane osoby, aż po takie, na których obowiązuje rygorystyczny *dress code:* do stołu zasiada się wyłącznie bez ubrania. Nagość ma być w tym przypadku – tak przynajmniej twierdzą entuzjaści kolacyjnego nudyzmu – gwarancją prawdy i otwartości, niemożliwych rzekomo do osiągnięcia przy pełnej, a nawet częściowej garderobie. Wraz ze strojem pozostawia się ponoć w przedpokoju wszelkie zniewalające struktury imputowane ciału przez pracujących pod dyktando mód i interesów projektantów odzieży, patriarchalne uprzedmiotowienia i pozostałe kulturowe zbroje. Wchodząc w relacje bez tych obciążeń, jest się przeto istotą czystą i nieskażoną – i taką też może być więź, jaką, niewykluczone, zadzierzgnie się z równie uwolnionymi tym sposobem ciałami. Obietnica jest więc następująca: za niecałe sto dolarów możesz się wreszcie spotkać z drugim człowiekiem w sposób głęboko autentyczny, bo wszędzie indziej autentyczności jest jak na lekarstwo.

Powiem krótko: nie wierzę w takie rzeczy. Abstrahując już od tego, że skoro ktoś obiecuje mi za opłatą doświadczenie prawdziwe, czyste, autentyczne i niezwykłe, a niemożliwe jakoby do osiągnięcia *gratis*, oddalam się jak najprędzej – coś innego jeszcze rzuca się tutaj w oczy. A mianowicie – specyficzne zjawisko, charakterystyczne w ogóle dla współczesności (są na ten temat stosowne badania), polegające na tym, że, z jednej strony, bliskie więzi między ludźmi systematycznie się rozpadają, z drugiej natomiast niektóre związane z nimi jakości ulegają coraz dalej idącemu urynkowieniu. Czy mówiąc jeszcze inaczej: w miarę pogłębiającego się kryzysu realnych, długotrwałych relacji rodzinnych, przyjacielskich i miłosnych pojawiają się oferty, które obiecują odzyskanie pewnych aspektów tego, co utracone, za pośrednictwem takich czy innych usług albo poradników.

Zachodzi tu jednocześnie zastanawiające sprzężenie zwrotne. Otóż im mniej w naszym życiu realnej bliskości oraz wszystkich pośrednich korzyści, które się z nią wiążą – także ściśle zdrowotnych, bo samotność to również m.in. gorsza kondycja (na co od lat zwracają uwagę badacze tematu, np. Noreena Hertz czy John Cacioppo) – tym większa zewnętrzna podaż jej rozmaitych substytutów. I na odwrót: im większa zewnętrzna podaż, tym mniejsza realna bliskość. Widać to choćby w dynamice rozwoju tego osobliwego rynkowego segmentu – aplikacji do nawiązywania znajomości regularnie przybywa, a równocześnie wskaźniki samotności, depresji, rozpaczy, poczucia beznadziei i bezsensu równie regularnie rosną.

Być może – to tylko robocza hipoteza – dzieje się tak m.in. dlatego, że kontrast pomiędzy wyidealizowanymi fantazjami o doskonałych relacjach miłosnych czy przyjacielskich (generowanymi przez twórców tej rynkowej oferty) a rzeczywistością przyprawia ludzi o jeszcze większą frustrację. Zasadniczym składnikiem opowieści reklamujących podobne usługi jest przecież zapewnienie, że algorytm albo czujny organizator wyeliminują ryzyko porażki, pozwolą na błyskawiczne dopasowanie i zagwarantują uniknięcie niepotrzebnych dyskomfortów. Ostatecznie wystarczy tylko zdjąć ubranie, żeby zniknęła sztuczność i zapanowała niczym niezakłócona autentyczność...

Tyle że to właśnie ryzyka, próby i błędy, bolesne konfrontacje z własną i cudzą ciemną stroną, porażki i wyciągane z nich wnioski, mozolne niekiedy przełamywanie ograniczeń, długa i niełatwa nauka funkcjonowania z innymi, którzy nie zawsze spełniać chcą i mogą nasze pragnienia – otóż to wszystko, ni mniej, ni więcej, jest faktycznym budulcem głębokich i trwałych więzi. Bez tych składników one po prostu nie zaistnieją.

Nie chcę przez to powiedzieć, że z nowojorskich „kolacji" nie narodzą się żadne bliskie relacje, chcę tylko powiedzieć, że nie da się tych ostatnich systematycznie wytwarzać za opłatą i wedle przepisu. I że wskaźnik społecznej samotności z pewnością nie zmniejszy się od przesiadywania na golasa w towarzystwie nieznajomych. A nawet – być może – wzrośnie. Jest bowiem w obrazie siedzących przy stole obcych nagich ludzi, którzy przyszli tam w poszukiwaniu bliskości i więzi – przynajmniej dla mnie – jakaś bezbrzeżna, nieukojona samotność. ©

WIARA

JEŚLI BOGA NIE MA

PROF. TOMASZ POLAK, TEOLOG:

System kościelny zneutralizował impuls Jezusa, który odwracał hierarchie społeczne, a relacje między ludźmi naznaczał prostotą.

ZDJĘCIA GRAŻYNA MAKARA

WOJCIECH BONOWICZ, MICHAŁ OKOŃSKI: Jak Panu Profesorowi minęła Wielkanoc?

TOMASZ POLAK: My jej nie obchodzimy. Nie mamy potrzeby wyróżniania tego momentu w jakikolwiek sposób.

Niczego Państwu nie brakowało?

Nie. Ja mam zwyczaj, że w niedzielę świąteczną odsłuchuję, jak zaśpiewali w tym roku „Exsultet". Niezależnie od treści religijnej jest to piękna pieśń, wykonywana właśnie w tym czasie. Wędrowałem więc po YouTubie i w końcu znalazłem dominikanina, który zaśpiewał dobrze.

To dobry punkt wyjścia do naszego spotkania: 20 lat temu, jeszcze jako teolog i ksiądz, przeprowadzał nas Pan przez sens tych świąt.

Kiedyś tak.

Z tamtych rozmów powstała książka „Pascha Jezusa". Chcielibyśmy chyba sprawdzić, co z tego zostało.

Jako teolog miałem zawsze „skłon paschalny". Kiedy teraz na to patrzę, widzę, że korzystałem z paradoksalności i napięcia obecnego w tym wydarzeniu. Miałem też przekonanie, że takie napięcie jest istotnym wymiarem każdej dostępnej nam rzeczywistości. W związku z tym chętnie pracowałem na kontraście paschalnym i w wielu moich książkach są paschalne odnośniki. To jedna z cech teologii i dogmatu chrześcijańskiego, że są zbudowane z niesprowadzalnych do siebie nawzajem elementów, które trzeba widzieć, opisywać, ale się ich kurczowo nie czepiać.

W sumie w ostatniej książce też Pan tak pracuje.

O każdej rzeczy można mówić z dystansu, nie bojąc się pytań. Także o systemie kościelnym. Teraz wielu używa tego pojęcia mówiąc o Kościele i o tym, jak jego instytucje oddziałują na ludzi. Jednak w mojej analizie system kościelny jest czymś bardziej podstawowym.

Czyli?

Czyli pewnym układem wyobrażeń i wynikających z nich działań, który powstał dość szybko i spontanicznie po śmierci Jezusa. Kluczem stało się uznanie Boga za tego, który Jezusa wskrzesił – „Bóg go podniósł", „Bóg go posadził po swojej prawicy" to formuły, które pojawiły się na długo przed listami Pawłowymi. Ci, którzy tego dokonali, to ludzie, którzy Jezusa znali wcześniej i których jego śmierć dotknęła również dlatego, że przy nim wówczas nie wytrwali.

Ale system kościelny to nie tyle ich opowieść o zmartwychwstaniu, czyli przekucie osobistej i religijnej klęski w wyznanie wiary. To także uznanie, że z racji tego, że są świadkami tej sprawy – bo przecież nie zmartwychwstania w sensie fizycznym – ich miejsce w rodzącej się społeczności wyznawców jest z zasady wyższe.

Powołują diakonów, żeby samemu nie musieć zajmować się obsługiwaniem stołów.

Tak. I tworzy się hierarchia. Ci od modlitwy i głoszenia słowa są lepsi niż ci, którzy obsługują stoły. To wszystko pojawiło się w pierwszych 20-30 latach po śmierci Jezusa. I ukształtowało niezmienne jądro systemu.

To jądro przemawia przez powłoki – metafora informatyczna, ale tu ma sens. Powłoki mogą być różne, zależnie od czasu i okoliczności – to sposoby myślenia i postępowania, estetyki, relacje społeczne, instytucje itd. Właśnie za sprawą powłok jądro „neutralizuje" coś, co nazwano impulsem Jezusa, na rzecz tego, co teraz głosi się o Jezusie jako Mesjaszu i Panu. To trochę tak, jak w tej cytowanej przeze mnie opowiastce Brechta, w której pan K, kiedy kocha jakiegoś człowieka, tworzy sobie jego koncept i stara się, by był podobny. Zapytano: „koncept do tego kogoś?", a pan K odpowiedział: „ten ktoś do konceptu". Twórcy i uczestnicy systemu w zasadzie nie negują ani nie tłumią impulsu Jezusa – tyle że wmontowują go w nową sytuację.

Jezus pokazywał, że Bóg jest bliski, a relacja z nim może być wręcz czuła. Mówił o nim „Abba".

Trudno odróżnić to, co rzeczywiście pojawiło się w ustach Jezusa i jaki miało wtedy dla niego sens, od tego, co zostało później przekazane jako spontaniczna interpretacja. Podkreślam: tam nie próbowano niczego fałszować. Oni po prostu tak go rozumieli.

No i teraz jest kwestia tego, jak impuls Jezusa wmontowano w dwa chrześcijańskie koncepty tożsamościowe. Pierwszy jest anarchiczny (czego nie należy mylić z anarchizmem politycznym w dzisiejszym rozumieniu), bo Jezus odwracał zastałe hierarchie społeczne, a relacje między ludźmi naznaczył prostotą i bezpośredniością. Drugi z kolei jest archiczny – umacnia i uzasadnia władzę hierarchiczną, której korzeń jest „święty" lub wprost boski.

Nie brzmi to jasno.

Ale tłumaczy m.in. zachowania dzisiejszych hierarchów. Oni z jednej strony często powołują się na to, że są ojcami, kochającymi pasterzami dbającymi o owieczki itd. Ale z drugiej strony są, w imię własnej świętości i wynikającej z niej pozycji, twardymi przemocowcami. I gdy się tylko któraś z owieczek spróbuje sprzeciwić, przekonuje się szybko, z kim ma do czynienia.

Nam się wydaje, że można rozróżnić między kurią i pracującymi w niej biurokratami a wciąż pojawiającymi się w Kościele charyzmatycznymi odnowicielami, odwołującymi się do tego – mówiąc Pana językiem – anarchicznego konceptu. Kimś takim był np. Franciszek z Asyżu.

A ja chciałem zwrócić uwagę na podwójność tego konceptu, wpisaną w każdego biskupa i każdego duchownego. Z jednej strony mają głosić dobrą nowinę Jezusa, z drugiej tak zarządzać wspólnotą, żeby ci niżej w hierarchii nie mieli nic albo prawie nic do powiedzenia.

Zawsze tak było. I zawsze przychodzili ludzie, którzy mówili, że trzeba inaczej. W Pańskich „Wielkich kryzysach tradycji chrześcijańskiej" pierwszy kryzys wydarza się jeszcze przed narodzeniem Chrystusa, gdy Chaldejczycy burzą świątynię. Drugim jest sama sprawa Jezusa. Ecclesia, jak widać, semper reformanda...

Ostatnie zdanie „Systemu kościelnego" mówi jednak, że ten system jest niereformowalny, bo wszystkie zmiany i reformy odbywają się na poziomie powłok. Samo jądro jest nienaruszalne.

Pokazuję to choćby na przykładzie wspomnianego Franciszka z Asyżu. Jasne: był radykałem pierwszej wody, ale jego uczniowie dwadzieścia parę lat po jego śmierci postawili ogromną bazylikę ↦

↦ ku jego czci. Przecież on by zwariował, gdyby ją zobaczył.

Tylko czy to jest o systemie kościelnym, czy o ludziach po prostu? Bo przecież oprócz bazyliki mamy jeszcze wielu takich, którzy wciąż żyją ubogo jak Franciszek.

Owszem. W książce przytaczam też historię tego, jak w klasztorze ojca Pio wstawiono, wbrew jego oporom, windę, po czym Pio oświadczył: „a to dobre!". W żadnych warunkach nie da się utrzymać radykalnego charyzmatu. Zawsze trzeba się dostosować. To po prostu cecha systemu.

Dla rozwoju chrześcijaństwa – i tego wczesnego, i późniejszych prób odnowy – ważne jest coś, co Stefan Czarnowski, socjolog okresu międzywojennego, opisał jako dowartościowanie ludzi zbędnych. To właśnie, jego zdaniem, zrobili Hitler, Mussolini czy Stalin, organizując tłumy młodych ludzi, którzy po I wojnie światowej nie mogli sobie znaleźć miejsca w społeczeństwie, i którzy usłyszeli nagle, że są ważni, a nawet najważniejsi. W historii chrześcijaństwa takie dowartościowanie ludzi zbędnych lub niedocenianych, dokonywało się wielokrotnie.

Dla nas impuls Jezusa faktycznie dowartościował ludzi zbędnych. Ale podkładamy pod to pojęcie np. słabszych, wykluczonych, niepełnosprawnych. W dyskusji o Pana książce Zbigniew Mikołejko mówi, że chrześcijaństwo stanęło po stronie cierpiącego ciała, które nie miało znaczenia u Greków i Rzymian.

Nie neguję tego. Ale mam na myśli raczej proces klerykalizacji. Współcześnie młody mężczyzna, który trafia do seminarium, szybko podlega sakralnemu wywyższeniu. Dla swojego dotychczasowego otoczenia staje się kimś lepszym. Starsze kobiety całują go w rękę. A on zaczyna myśleć, że jemu to się właściwie należy, nawet jeśli rozsnuwa się wokół tego taką psychologiczno-teologiczną mgłę, że to forma szacunku wobec kapłaństwa Pana Jezusa.

Żeby było jasne: jeśli system kościelny obumrze, jak Pan przepowiada, tego akurat nie będzie nam żal. Ale jest coś jeszcze, o czym w wielkanocnym „Tygodniku" pisał Ryszard Koziołek – że obchodzi go przyszłość Ewangelii jako lekcji o bezwarunkowej miłości bliźniego i o sensie śmierci. Z systemem kościelnym była związana jakaś nowina – i to nie była, naszym zdaniem, zła nowina.

To prawda. Z tym, że ona była, że tak powiem, obciążona grzechem pierworodnym tego, co się zapisało w jądrze systemu kościelnego. Widząc wszystkie dobre pierwiastki w takim kontekście musimy pytać, o co tak naprawdę chodzi.

Odwołam się do przykładu niedawnego, bardzo poruszającego – Marcina Mogielskiego. Przecież to był człowiek, który walczył o to, żeby poważnie potraktować coś, co wprost wynika z moralności chrześcijańskiej. I co? I nic. Został zmielony przez instytucję.

PROF. TOMASZ POLAK jest teologiem, współtwórcą działającej w ramach Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza Pracowni Pytań Granicznych, autorem książki „System kościelny, czyli przewagi pana K". Wcześniej – jako ks. Tomasz Węcławski – był m.in. autorem wielu książek i podręczników teologicznych, rektorem poznańskiego seminarium duchownego, a w latach 1997-2002 członkiem Międzynarodowej Komisji Teologicznej działającej przy Kongregacji Nauki Wiary. W 2002 r. na łamach „Tygodnika" opisał swoje zaangażowanie w rozwiązanie sprawy molestującego poznańskich kleryków abp. Juliusza Paetza. W 2007 r. dokonał apostazji z Kościoła katolickiego.

Marcin Mogielski, dominikanin, który upominał się w Szczecinie o prawdę i sprawiedliwość dla ofiar dygnitarza miejscowego Kościoła, ogłosił w Wielką Sobotę, że „po ciężkich latach domagania się od instytucji kościelnej stanięcia po stronie skrzywdzonych i wykluczonych, odkrył, że ten system nie chce zmian. Że jego ręce są za krótkie, a władza nad nim silna i skuteczna". I przeszedł do Kościoła ewangelicko-augsburskiego.

Przecież to się komentuje samo.

Ofiary są najważniejsze. O nich się mówi za rzadko. Ale chcielibyśmy powiedzieć przy okazji, że w naszym prywatnym akcie oskarżenia systemu kościelnego jest i to, że zmielił takiego teologa jak Pan. Już pomijamy to, że zmielił biskupa Jędraszewskiego, który próbował coś wskórać u nuncjusza w sprawie Paetza i ten nuncjusz złamał mu kręgosłup.

Szkoda tylko, że to nieprawda.

Nieprawda?

Wiem, że nuncjusz tak twierdzi i że napisał to w książce, ale według mojej wiedzy biskupi pomocniczy z Poznania nic dla rozwiązania sprawy Paetza nie zrobili.

Cały czas zostajemy z niepokojem o drugą stronę. Jak Pan napisał w „Wielkich kryzysach tradycji chrześcijańskiej": „Krzyż Jezusa pozostaje prawdą nieskompromitowaną i nie do skompromitowania". Stoi nawet wtedy, gdy przewraca się świat.

To jest prawda. Tylko teraz myślę, że nie należy się starać sprasowywać wszystkiego w jedną rzeczywistość. Pisząc „System kościelny" chciałem pokazać ten świat z wielu perspektyw i różnymi metodami. Bez ocen. Wiem, że niektórzy mówią, że to książka ostro antykościelna, ale moim zdaniem tam w ogóle nie ma antykościelności. Jeśli już, to Kościół sam się, że tak powiem, oskarża, a ja tylko pokazuję jak.

Znamy opisaną przez Pana logikę instytucji Kościoła, nakazującą milczeć o dokonującym się w jego obrębie złu ze względu na troskę o jego

dobro. Chcemy jednak wrócić do tego niepokoju, co będzie, jeśli ona obumrze. Skąd ludzie będą czerpać przesłanie, które my czerpaliśmy z Ewangelii? I kto zbierze ludzi, których opuścił Kościół?

Ci ludzie zbierają się sami. Widzę, jak to się dzieje wśród młodych, z którymi mam do czynienia. Oni najczęściej nie chcą związków z Kościołem, nie poczuwają się do żadnej wywodzącej się od niego tradycji, a przecież tworzą więzi społeczne, w których nie chodzi o wymianę lajków, tylko o wspólną pracę ku jakiemuś dobru. Pomagając innym, pomagają sobie. I tworzą jakiś rodzaj duchowości. To jest nadużywane słowo, ale mowa rzeczywiście o duchowości.

Leszek Kołakowski w „Jezusie ośmieszonym" pisze, że nie interesuje go wiara religijna, tylko wiara w obrębie kultury. Jeśli usuniemy Jezusa z jego problematyką – z pytaniem, jak się zmierzyć z końcem ludzkiego życia, z apokalipsą, z problemem winy itd. – ta kultura może się rozsypać.

Ja w to nie wierzę.

Nie boi się Pan, że zniknie metafizyczny dreszcz pojawiający się w tylu dziełach kultury?

Nie boję się. Gdy jedno zniknie, pojawi się następne, nowe. Ludzie są tak skonstruowani, że zawsze próbują spojrzeć na siebie, na swoje życie i na innych sponad tego, co na co dzień. Czy mają podpowiedzi w postaci chrześcijaństwa, buddyzmu lub czegokolwiek innego, czy nie mają żadnych podpowiedzi, i tak będą szukać.

Ryzyko leży w czymś innym: że może powstać kakofonia. Że nie będzie wspólnego języka. Ale w to też nie wierzę i myślę, że on się znajdzie, bo chcemy jednak siebie dla innych i innych dla siebie. W jakikolwiek sposób – nieważne, czy dozwolony przez chrześcijaństwo kościelne. Niedawno pewien biskup niemiecki powiedział, że nie widzi powodu, żeby nie błogosławić małżeństw homoseksualnych, skoro to są ludzie, którzy się kochają. Oczywiście został skarcony przez Watykan, ale przecież Watykan jest już wobec takich postaw bezsilny.

System trzeszczy w posadach nie pierwszy raz.

To się szybko nie rozsypie. Będzie jeszcze długo funkcjonować. Natomiast coraz mniej ludzi się tym przejmuje. Co nie znaczy, że nie przejmuje się niczym. Albo że żyje w jakiejś magmie bez wartości.

Odpowiedzią na rozgadaną kulturę poszukiwań może być totalitarna przemoc. Nie płynąca z systemu kościelnego, w który jest jednak wpisany również pierwiastek nauczania o wolności.

To jest, niestety, możliwe, bo najwięcej do powiedzenia w tym świecie mają przemocowi cynicy, tacy jak Putin. Kiedy w Pracowni Pytań Granicznych zastanawiamy się nad perspektywami rozwoju cywilizacyjnego, widzimy, jak wielu ludzi ma poczucie niesprawiedliwości i oczekuje czegoś innego. Niestety może się okazać, że powtórzy się historia, w której dopiero wojna lub katastrofa zrujnuje pewien system wyobrażeń o życiu publicznym, społecznym czy gospodarczym. Pytanie tylko, czy powtórzy się również historia powojenna, czyli czy znajdzie się grupa ludzi z różnych biegunów politycznych, od Churchilla do Schumana i de Gasperiego, którzy zrozumieją, co trzeba w tej sytuacji zrobić.

Schuman i de Gasperi byli chrześcijanami...

Ale ich pomysł nie polegał na powrocie do chrześcijaństwa, tylko na przekonaniu, że niczego się nie zbuduje dążąc do uzyskania bezwzględnej hegemonii jednych nad drugimi. Ten pomysł jednak także się przekształcił i niestety w Unii Europejskiej mamy lepszych i gorszych.

Tak czy inaczej próbę odbudowy życia w Europie po nieszczęściu wojny podjęli ludzie, którzy rozumieli, że nie można powtarzać tego samego. Że trzeba pomyśleć inaczej. Tacy ludzie się zawsze znajdują.

Nie jest tak, że Wasz bunt przeciwko Paetzowi był, oprócz stanięcia po stronie ofiar molestowania, próbą obrony Kościoła przed dokonującym się w jego obrębie złem?

To nie miało znaczenia. Znaczenie miało to, że rektor seminarium przyszedł do mnie, jako do swojego poprzednika, kiedy się dowiedział od kleryków, jak zachowuje się wobec nich Paetz. Ci klerycy udali się najpierw do swojego ojca duchownego, który odesłał ich do rektora. Rektor z kolei przyszedł do mnie, po części dlatego, że byłem członkiem Międzynarodowej Komisji Teologicznej i słusznie przypuszczał, że będę miał większe możliwości dotarcia z tym do Rzymu.

My wiemy, jak to było na poziomie faktów. Pytamy o motywację.

To była kwestia przyzwoitości. Poczucia, że nie można zostawić na pastwę losu ludzi w ten sposób traktowanych.

Rektor szybko się zresztą zorientował, że są klerycy, którzy chętnie przyjmują umizgi biskupa. Bo dostają różne obietnice, apanaże, jakieś złote pióra. Nie był w stanie wszystkich rozpoznać, bo Paetz długo dbał o dyskrecję. W końcu jednak rektor nie wytrzymał i zabronił Paetzowi przychodzenia do seminarium. To było właściwie horrendum – podwładny biskupa zabrania przełożonemu przychodzenia do podległej mu instytucji!

A co do motywacji: mnie wykreowano na jakąś szczególnie moralną postać, ale to nie tak. I było coś, co nazwał kiedyś podczas rozmowy ze mną kard. Macharski: „Myśmy się spodziewali, że jak się go przesunie do Poznania, to księża poznańscy nie pozwolą się tak wodzić za nos jak łomżyńscy". Niezależnie od tego, że to była w większym stopniu odpowiedzialność Macharskiego, który był potężną figurą w Episkopacie, a nie nasza, tu miał rację: w poznańskim środowisku jest jednak pewna naturalna dbałość o właściwy porządek rzeczy.

I jeszcze jedno: kiedy ta historia się zakończyła, zaprosiła mnie grupa młodych księży. Podziękowali mi, ale równocześnie powiedzieli, co mówią o mnie ich proboszczowie. „Zaatakował biskupa! Jak tak można?!".

Sprawa Marcina Mogielskiego pokazuje, że takie myślenie wciąż ma się świetnie.

No właśnie.

Ale chcieliśmy zapytać jeszcze o coś. Bo przecież Pan był przez tyle lat w takim miejscu – jako członek watykańskiej komisji, rektor seminarium, sekretarz arcybiskupa – że widział Pan niejedno także przed aferą Paetza. Jak Pan to wytrzymywał?

Widziałem niejedno jeszcze przed wstąpieniem do seminarium. I pamiętam, jak ↦

↦ po wstąpieniu przegadałem pierwszą noc z pewnym kolegą właśnie o znanych nam trudnych sprawach Kościoła. Rano mieliśmy pójść na modlitwy i któryś z nas zapytał: „To co, wychodzimy?”. Odpowiedzieliśmy: „zostajemy”, bo uważaliśmy, że mimo wszystko Kościół jest Kościołem.

Dzisiaj sądzę, że lepiej by było wtedy powiedzieć: „wychodzimy”. Ale to łatwo mówić teraz, z zupełnie innej perspektywy.

Lepiej by było powiedzieć: „wychodzimy”? Mimo wszystkiego, co Pan zrobił później w tej instytucji i w jej imieniu? Przecież to nie były tylko książki i teksty, które uformowały sporą część inteligencji katolickiej w Polsce, ale także sakramenty.

Tak.

Tam coś przecież działało, w tych sakramentach.

Działało. Tyle że od wewnątrz także sakramenty są zazwyczaj traktowane „oczywistościowo” i nie krytycznie.

Powiem tylko tyle, że ja wiele rzeczy robiłem inaczej niż inni. I to, że sobie na to pozwalałem, wynikało z mniej sztywnego zaangażowania w struktury instytucji albo w formuły teologiczne. Ja te formuły rozwijałem na różne sposoby.

No i chyba dobrze, bo się dzięki temu okazywało, że te formuły są żywe. Tak jak w tej Pana opowieści o pustym miejscu, na które wszyscy przynoszą swoje wyobrażenie Boga, znajdując tam siebie samych i siebie nawzajem.

Działałem w takim kontekście, w którym nie wyobrażałem sobie, że mógłbym robić to inaczej. W paru moich wypowiedziach z tamtego czasu, np. w tekście „Protestanci chodzą po granicach”, pojawiły się rzeczy, które coś z tego odkrywały – pamiętam, że Adam Boniecki natychmiast to zrozumiał. Napisałem tam m.in., że to nie jest tak, jak nam mówią o Bogu – że jest zupełnie inaczej. I że rozsądni chrześcijanie o takich sprawach nie mówią, choć bardzo wielu wie, że tak jest.

Jeden z moich kolegów powiedział mi wtedy: ja się ciebie boję. W pewnym sensie miał rację. Bo to, co robiłem, zachwiało jego wyobrażeniami.

Hierarchowie często mówią, **że są ojcami i pasterzami dbającymi o owieczki.** Ale z drugiej strony są w imię własnej świętości i wynikającej z niej pozycji twardymi przemocowcami.

Czuliśmy żar bijący z tych wychodzących poza formuły tekstów i kiedy wracamy do nich po latach, ten żar wciąż w nich jest.

Byłem przekonany o istnieniu powodu, żeby tak mówić i pisać. Mniej się przejmowałem tym, czego ode mnie oczekują, zwłaszcza w środowisku teologicznym. Miałem zresztą w związku z tym kłopoty z profesurą.

A Pańskie przejście z „jest” do „nie ma”?

W Pracowni Pytań Granicznych posługujemy się często słowem „fantazmat”. Dla kogoś, kto w nim tkwi, fantazmat wypełnia w zasadzie wszystkie elementy jego świata. Kiedy ktoś żyje fantazmatem, to odpowiada z jego wnętrza. Natomiast zachodzą takie sytuacje, że fantazmat się rozsypuje. Dla wielu ludzi tak jest właśnie z fantazmatem kościelnym. Po części dlatego, że on sam się rozpada, po części dlatego, że w nich samych pojawiają się pęknięcia i dystans do oczywistościowej teologii i kościelności.

Ten dystans nas pociągał.

Wiem. Ale w pewnym momencie to było coś takiego, jak wypłynięcie z wąskiego kanału na szerokie morze. Tak się kończą fantazmaty. Oczywiście niektóre kończą się boleśnie, w tym sensie, że to, w co ludzie wierzyli, zostaje im zabrane. Ale inni zostają uwolnieni albo się uwalniają.

Ja przecież nie deprecjonuję tego, co było. I w ostatniej książce też się staram to pokazać. Tylko że to jest widziane nie od wewnątrz, lecz z zewnątrz. I to „z zewnątrz” jest lepszą perspektywą, bo pozwala patrzeć z różnych stron, porównawczo, inaczej. Właśnie słowa „inaczej” bym się trzymał, jako klucza do tej rozmowy.

System kościelny niewątpliwie potrafiłby to „inaczej” zassać.

Podczas zajęć, które prowadzę w tym semestrze, mówimy m.in. o tym, jak Kościół negatywnie zareagował na Kopernika i Galileusza. Tylko że sto lat przed Kopernikiem podobne rzeczy głosił Mikołaj z Kuzy, który został biskupem, i nikt mu złego słowa nie powiedział. Po prostu myślący ludzie w pewnym momencie zaczynają pewne sprawy widzieć. Od różnych okoliczności zależy, czy kiedy o nich powiedzą, zostanie to przyjęte, czy dostaną po łapach. System kościelny to tak rozbudowana struktura – a coś, co nazywam powłokami, tak obszerne i wielowątkowe – że tam się naprawdę wiele zmieści. Czasem się mieszczą rzeczy, które nie powinny się mieścić w jednej osobie, przykładem sprawa Jeana Vaniera. Ale jedną z najgorszych rzeczy w tym systemie jest to, że on podpowiada swoim eksponentom, jak sobie radzić z winą. Że staje się azylem dla winnych, a zarazem miejscem uporczywej obrony własnej systemowej świętości, czytaj: niewinności.

Jeden z moich kolegów opowiadał mi, że wyznał spowiednikowi, że znów popełnił ten sam grzech. I że ten spowiednik mu powiedział, że to tak właśnie jest: że będziemy grzeszyli, a potem się będziemy spowiadali, i tak w kółko. Na co mój kolega: „Kurde, przecież ja tak nie chcę! Ja chcę wreszcie coś zmienić!”.

Filozof Jacek Filek pisał kiedyś, że główną linią podziału w dzisiejszym świecie nie jest linia oddzielająca wierzących i niewierzących, lecz „z jednej strony, orientacja na siebie, koncentracja Ja na Ja, na swym szczęściu, swym zbawieniu, zaś z drugiej, orientacja na Innego, koncentracja na jego biedzie. Teizm-Ja i ateizm-Ja są jednakowo zgubne”.

To się bardzo zgadza z moim przekonaniem. Uwierzcie: nawet jak się rozpadnie instytucjonalna postać chrześcijaństwa, problem nie będzie polegał na tym, czy jakaś treść jest teistyczna, czy ateistyczna, tylko na tym, jaki ludzie będą mieli stosunek do samych siebie i do innych.

©℗ Rozmawiali WOJCIECH BONOWICZ i MICHAŁ OKOŃSKI

THOMAS DWORZAK / MAGNUM PHOTOS / FORUM

W katedrze Notre Dame, Paryż, kwiecień 2019 r.

Doktryna z kapelusza

ZUZANNA RADZIK Z BRUKSELI

Coraz więcej biskupów dopuszcza możliwość kapłaństwa kobiet. Czy czeka nas w Kościele rewolucja?

Niedawno abp Luksemburga kard. Jean-Claude Hollerich ostrożnie wyraził wątpliwość co do nieomylności papieskiego nauczania na temat święceń kapłańskich kobiet, przy czym zapewnił, że nie zamierza sprzeciwiać się papieżowi. Właściwie to nie jest zwolennikiem kapłaństwa kobiet i chce tylko powiedzieć, że nauczanie jest potencjalnie zmienne, a zatem dyskusja nie jest zamknięta. W końcu to, co Jan Paweł II napisał w „Ordinatio sacerdotalis" o niemożliwości wyświęcania kobiet, może podlegać zmianom, podobnie jak „Syllabus errorum" Piusa IX, który zignorowaliśmy po stu latach, wprowadzając na Soborze do nauczania Kościoła treści wcześniej zakazane, jak dialog międzyreligijny, wolność religijna, prawa człowieka.

Hollerich to nie pierwszy lepszy biskup. Był do niedawna przewodniczącym Konferencji Episkopatów Wspólnoty Europejskiej (COMECE), a obecnie jest głównym koordynatorem prac synodu o synodalności oraz członkiem Rady Kardynałów. Zatem jak rozumieć to, że ważna w Watykanie osoba przebąkuje o zmienności nauczania? Czy zwolenniczki święceń dla kobiet mogą już otwierać szampana, a przeciwnicy szykować się do schizmy?

Po zdjęciu cenzury

To, że kard. Hollerich wypowiada się na łamach chorwackiego tygodnika katolickiego „Glas Koncila" tak swobodnie, to duża sprawa. Pontyfikat Franciszka tym się wyróżnia, że o ile sam papież nie jest zwolennikiem kapłaństwa kobiet, to obecnie przyszła odwilż po epoce lodowcowej, jaką dla tego tematu były pontyfikaty Jana Pawła II i Benedykta XVI, gdy wobec osób kwestionujących nauczanie stosowano kary. Przykładem irlandzki redemptorysta ks. Tony Flannery, który dekadę temu po opublikowaniu felietonu, w którym wspierał kapłaństwo kobiet, został suspendowany, a Kongregacja Nauki Wiary wciąż oczekuje, że wycofa się ze swojego błędu.

Tymczasem coraz częściej pojawiają się głosy biskupów, które brzmią podobnie. Już w 2015 r., tuż przed wizytą Franciszka w USA, na łamach „New York Timesa" emerytowany biskup Francis A. Quinn napisał, że Kościół powinien rozważyć zmianę obowiązkowego celibatu, kapłaństwo kobiet oraz dopuszczenie do Eucharystii katolików rozwiedzionych i żyjących w ponownych związkach. Bp Quinn przyznał, iż zdecydował się powiedzieć szczerze, co sądzi od dziesięcioleci, bo papież wprost mówi, że biskupi nie powinni się cenzurować. Tłumaczył: „Osobiście uważam, że Duch Święty powołuje kobiety do diakonatu i kapłaństwa, nie poinformował jednak o tym Kościoła nauczającego".

Quinn był pewnie jednym z pierwszych hierarchów, którzy złamali tabu. Teraz tej drużynie zdają się przewodzić Niemcy. Urzędujący w diecezji Rottenburg-Stuttgart bp Gebhard Fürst o swoim poparciu dla święceń kobiet mówił już od dawna. Podobnym głosem wypowiada się przewodniczący niemieckiego episkopatu bp Georg Bätzing z Limburga, który mówi o rozbudowanej argumentacji za kapłaństwem kobiet i o tym, że obrona wyłącznie męskiego kapłaństwa z czasem robi się coraz mniej przekonująca. Z kolei nowy przewodniczący komisji ds. wiary, bp Franz-Josef Overbeck, we wrześniu 2021 r. zauważył: „Dla ludzi głęboko przekonanych o równości wszystkich istot ludzkich obecne podejście do posług kościelnych i dostępu do nich jest już faktycznie niezrozumiałe".

Nie jest zatem dziwne, że temat pojawił się także podczas przygotowań do najbliższego synodu o synodalności. Dokument roboczy dla etapu kontynental- ↦

↦ nego „Rozszerz przestrzeń twego namiotu (Iz 54, 2)", który powstał jesienią 2022 r. i podsumowuje postulaty spływające z całego świata, potwierdza, że problem miejsca kobiet w Kościele pojawia się właściwie we wszystkich raportach. Czytamy zatem o powtarzającym się apelu, by docenić kobiety jako ochrzczone i równe członkinie Ludu Bożego. Na pytanie, jak zagwarantować tę równość, nie ma jednak jednej odpowiedzi. Choć kobiety są bardziej zaangażowane w życie Kościoła, to decyzje podejmuje męska mniejszość. Wiadomo zatem, że trzeba do Kościoła przyciągnąć mężczyzn, a kobietom zagwarantować pełniejszy udział w decyzjach na wszystkich poziomach życia kościelnego.

Czy zatem wraz z synodem o synodalności nadchodzi jakaś rewolucja? Niedawna historia Kościoła uczy, że to nie głos ludu ma znaczenie, lecz ci, którzy są u władzy i postulaty uwzględniają albo nie. A u władzy są wyłącznie mężczyźni, w dodatku przyzwyczajeni do swojego monopolu.

Harde początki

Zanim papieże zaczęli rozstrzygać negatywnie kwestię kapłaństwa kobiet, w latach 70. XX wieku takie postulaty pojawiały się w odważniejszej formie. W 1970 r. większość synodu pastoralnego w Holandii opowiedziała się za kapłaństwem kobiet, podobnie jak kanadyjscy biskupi w 1971 r. W 1974 r. siostry miłosierdzia poinformowały biskupów, że jako zgromadzenie przyjęły dokument popierający święcenia kobiet. Przykłady wypowiedzi zbiorowych i jednostkowych w latach 70. można mnożyć. W 1976 r. światło dzienne ujrzał raport Papieskiej Komisji Biblijnej na temat kapłaństwa kobiet zamówiony przez Kongregację Nauki Wiary, który stwierdzał: „Nie wydaje się, by sam w sobie Nowy Testament pozwolił nam rozstrzygnąć w jasny sposób i na zawsze problem możliwego włączenia kobiet do prezbiteratu". Tymczasem katoliczki na całym świecie zakładały organizacje działające na rzecz takiej zmiany.

Na niewiele się to wszystko zdało. W 1977 r. – ignorując opinię Papieskiej Komisji Biblijnej – Kongregacja Nauki Wiary wydała podpisaną przez Pawła VI deklarację „Inter insigniores. O dopuszczeniu kobiet do kapłaństwa urzędowego". Bezpośrednio powodem pośpiechu był nie tyle ruch wewnątrz katolicyzmu, co decyzje innych Kościołów dopuszczających kobiety do roli pastorek. Dokument wprost stwierdza, że zagadnieniem tym teologia właściwie dotąd się nie zajmowała, ojcowie Kościoła negatywnie wypowiadali się o rolach kobiet w Kościele, zabrano na ten temat głos jeszcze w średniowieczu, a potem Tradycja była przez wieki zgodna i urząd nauczycielski nie musiał interweniować. Aż do teraz.

Mając władzę, nie trzeba mieć mocnych argumentów.

Definiując, co jest ortodoksją w teologii, można dowolnie długo upierać się przy swoim.

Zanim zajmiemy się konkretnymi argumentami, przypomnijmy dalszy przebieg wydarzeń. Po tym, jak w marcu 1994 r. anglikanie ordynowali pierwsze kobiety, Jan Paweł II wydał 22 maja dokument „Ordinatio sacerdotalis", w którym stwierdzał stanowczo: „Oświadczam, że Kościół nie ma żadnej władzy udzielania święceń kapłańskich kobietom oraz że orzeczenie to powinno być przez wszystkich wiernych Kościoła uznane za ostateczne". Kategoryczna próba zamknięcia dyskusji wywołała reakcję przeciwną, tak że po roku Kongregacja Nauki Wiary wydała „Responsum ad dubium", potwierdzając, że decyzja papieża jest wiążąca i ostateczna.

Zaczęto jednak podważać autorytet Kongregacji, kpiąco pytając: czy jest nieomylna, stwierdzając papieską nieomylność? W praktyce jednak, jeśli ktoś chciał wykładać na katolickiej uczelni czy robić karierę jako katolicki teolog i nie wpaść w tarapaty, musiał milczeć. Dyskusja o kapłaństwie kobiet została zepchnięta na dysydencki margines Kościoła.

Ważkość argumentów

Pierwszym argumentem przeciw kapłaństwu kobiet ma być fakt, że Jezus nie powołał żadnej kobiety do grona dwunastu. Zanim został użyty, wspomniana Papieska Komisja Biblijna podważyła go, wyjaśniając, że „dwunastu" miało odpowiadać dwunastu patriarchom odnowionego Ludu Bożego. Tę symbolikę należy więc czytać w świetle tradycji biblijnej, a nie jako ustanowienie „protokapłanów" Nowego Przymierza. Przeciwnicy święceń kobiet posługują się nim jednak do dziś.

Drugi argument stwierdza, że zawsze tak było. Mamy do czynienia z Tradycją, a w odniesieniu do sakramentów władza kościelna napotyka granicę. Z tym argumentem można się spierać, odwołując się do historii rozwoju teologii. Wiemy przecież, że sakramentologia rozwijała się i zmieniała, a okrzepła dopiero w średniowieczu.

Trzeci argument używany w „Inter insigniores" wskazuje na rolę podobieństwa: tylko mężczyźni mogą być kapłanami ze względu na ich naturalne podobieństwo do Chrystusa. Sprowokował on ironiczne reakcje katolickich feministek i chyba do dziś właśnie na takie traktowanie zasługuje, choć przytaczany jest wciąż zupełnie serio. Elisabeth Schüssler Fiorenza, wschodząca wtedy gwiazda teologii feministycznej, uznała, że ten argument jest teologicznym punktem zwrotnym: „Po raz pierwszy kościelny dokument uzasadnia wykluczenie kobiet z kapłaństwa nie na bazie antropologii, lecz teologii i chrystologii. Chrystologia stała się androlatrią (kultem mężczyzny), a zatem idolatrią (kultem bożków). Kiedy oficjalny Kościół ryzykuje herezję, by wykluczyć kobiety z sakramentalnego kapłaństwa, oznacza to, że uważa kwestię kapłaństwa kobiet za sprawę teologicznej i strukturalnej wagi".

Czwarty argument odwołuje się do obrazu oblubieńczej miłości Boga i jego ludu, Chrystusa i Kościoła. Żeby spełnić warunki tej oblubieńczej metafory, prezbiter reprezentujący Chrystusa musi być mężczyzną. Co już mniej zrozumiałe – oblubienica, czyli Kościół, może być kolektywem ponad miliarda osób różnych płci. Po metaforę małżeńską chętnie sięga papież Franciszek, mówiąc, że Kościół jest oblubienicą i kobietą.

Piątym obecnym w debacie argumentem jest stała tradycja powszechna na Wschodzie i Zachodzie chrześcijaństwa, która ma odzwierciedlać zamiar Boga. To argument, w którym wyraża się troskę o dobro relacji ekumenicznych z chrześcijańskim Wschodem. Przywołuje go np. kard. Hollerich, mówiąc: „W przypadku tak wielkiej zmiany powinniśmy szukać zgody Kościoła prawosławnego. Nigdy nie moglibyśmy tego zrobić, gdyby zagroziło to naszemu braterstwu z prawosławnymi lub gdyby spolaryzowało jedność naszego Kościoła". Jedność z tymi,

którzy nie mogą znieść dyskryminacji i odchodzą z Kościoła katolickiego, okazuje się mniej istotna.

Szósty argument jest często używany w rozmowie o różnych rolach kobiet i mężczyzn w Kościele, również w kontekście prezbiteratu i diakonatu. To zasada „piotrowa" i „maryjna", która przypisuje role związane z autorytetem i władzą mężczyznom (Piotr), a role związane z miłością kobietom (Maria) i używając tak lubianego w Kościele pojęcia komplementarności stwierdza, że obie zasady są Kościołowi niezbędne. Na pociechę czasem sugeruje się, że ta kobieca rola jest ważniejsza niż związana z władzą. „Na początku trzeciego tysiąclecia wzajemność, która przypisuje kobietom charyzmat miłości, a mężczyznom sprawowanie władzy, powinna nas przynajmniej zastanowić" – napisała Marinella Perroni, emerytowana profesorka teologii biblijnej Papieskiego Instytutu Liturgicznego Świętego Anzelma w Rzymie, w grudniu 2022 r. na łamach „L'Osservatore Romano", krytykując używanie tej argumentacji przez papieża.

Czekamy na tę zmianę?

Podczas konferencji na rzecz kapłaństwa kobiet pod koniec lat 70. belgijska delegatka, niesiona posoborowym entuzjazmem, starała się ostrożnie szacować szanse: „Moim zdaniem – mówiła – zajmie co najmniej sześć lat, zanim kapłaństwo kobiet będzie możliwe". Minęło kolejne 45 lat i na zmianę wciąż się nie zanosi. Co to wszystko znaczy?

Chyba to, że mając władzę, nie trzeba mieć mocnych argumentów. Kierując Urzędem Nauczycielskim Kościoła oraz definiując, co jest ortodoksją w teologii, można w sumie dowolnie długo upierać się przy swoim. Czy o braku święceń kobiet decyduje przekonująca teologia, czy dyscyplina podtrzymująca praktykę?

Przy okazji tematu równości kobiet i mężczyzn w Kościele warto też zadać sobie inne ważne pytanie: czy dopuszczenie kobiet do hierarchicznego kapłaństwa funkcjonującego w pełnym rozmaitej przemocy systemie to jest ta właśnie zmiana, na którą czekamy? © ZUZANNA RADZIK

Ukryte piękno

EDWARD AUGUSTYN

W tym dokumencie rozmówców Franciszka nie zadowalają okrągłe zdania. Są bezceremonialni, zmuszają papieża do porzucenia gotowych odpowiedzi.

To bardzo brudne miasto – mówi papież do kierowcy. – Ale wyjątkowe".

Jadą nieoznakowanym samochodem do dzielnicy wciąż uważanej za peryferyjną, choć oddalonej od Watykanu raptem o 10 km. To Pietralata, znana z biedadomów, powieści Pasoliniego, szkoły sióstr sakramentek i Włoskiej Partii Komunistycznej. Gdy w czerwcu ubiegłego roku Franca Giansoldati, watykanistka „Il Messaggero", napisała o sekretnej wizycie papieża Franciszka w tamtejszej, od lat nieczynnej fabryce przędzy Lanificio, wszyscy zachodzili w głowę, jaki był cel tych odwiedzin – trwających cztery godziny, a nieodnotowanych w papieskim planie dnia. Tajemnica wyjaśniła się kilka dni przed Wielkanocą, gdy na platformie Disney+ pojawił się film dokumentalny „Papież Franciszek: pytania i odpowiedzi".

Rozmowy z papieżem dotąd nagrywano w Domu św. Marty. Tym razem to Franciszek był gościem. Ze swoimi rozmówcami spotkał się w odrapanych, pofabrycznych pomieszczeniach, przekształconych w centrum młodzieżowej sztuki, muzyki i konsumpcji.

Dziesięć opowieści

Mają po 20-25 lat. Jest ich dziesięcioro, z sześciu krajów: Hiszpanii, Senegalu, Peru, Argentyny, Kolumbii, USA. Nie znali się wcześniej. Wielu nigdy nie było w Rzymie.

Nie wyglądają jak uczestnicy audiencji: przyszli w kolorowych szortach i koszulkach na ramiączkach, odsłaniających tatuaże i kolczyki w różnych częściach ciała. Pochodzą z katolickich rodzin (poza Khadimem, muzułmaninem z Senegalu), ale do Kościoła zdążyli się już zniechęcić: niektórzy całkiem z niego odeszli, inni trzymają się na obrzeżach, choć sami nie wiedzą, dlaczego.

Są wśród nich imigranci, ofiary dyskryminacji rasowej, osoba niebinarna, aktywistka pro-choice, działaczka pro-life, pracownica seksualna, ofiary przemocy w Kościele. Dowiemy się tego dopiero, gdy zaczną zadawać pytania, które ułożą się w dziesięć opowieści o odrzuceniu, bólu, niezrozumieniu i krzywdzie.

Twarz człowieka

Oni wiedzą o nim, że „jest liberalny", „chce zmienić Kościół" i „nie lubi całej tej pompy". Gdy wchodzi, wahają się, czy wstać, czy siedzieć (wybierają to drugie), jak się do niego zwracać: jedni będą używać formy „pan", inni „ojcze", niektórzy przejdą na „ty".

Dzieli ich przepaść. Mówią różnymi językami, choć przecież rozmawiają po hiszpańsku. Mają inną hierarchię wartości. W co innego wierzą. Jeśli mówią o Bogu, to jest On synonimem dobra, miłości i przebaczenia, których po swojemu szukają, bez uciekania się do dogmatów. Dla wielu z nich seks to jedna z przyjemności, jakie daje życie, niekoniecznie związana z miłością. Aborcję uważają za problem bardziej medyczny i społeczny niż moralny, a tożsamość płciową – za wizję samego siebie i zgodność myśli i uczuć, a nie chromosomów.

Autorzy filmu tak ich dobrali, by prezentowali przekrój poglądów i dylematów etycznych współczesnego człowieka. Dzięki temu kwestie tak chętnie podejmowane z ambon, w listach pasterskich czy salach katechetycznych, i tak często wywołujące wojny kulturowe, mają twarz konkretnych osób.

Konfrontacja

Juan ma 25 lat. Gdy był 11-letnim dzieckiem, został wykorzystany seksualnie w katolickiej szkole przez nauczyciela, numerariusza Opus Dei. Z trudem powstrzymuje łzy. Franciszek słucha w milczeniu, potem mówi o determinacji ↦

DISNEY+ / ZRZUT EKRANU

Kadr z filmu „Papież Franciszek: pytania i odpowiedzi"

↦ Kościoła, by wyplenić tego typu przestępstwa. Zapewnia o wsparciu.

Juan kontynuuje opowieść. W 2014 r. jego ojciec napisał do Franciszka prośbę o pomoc. Otrzymał od niego odpowiedź, że sprawę bada Kongregacja Nauki Wiary. Młody mężczyzna pokazuje ten list papieżowi. Rok później Kongregacja uwolniła nauczyciela od zarzutów i kazała przywrócić do pracy, choć sąd państwowy uznał go za winnego. Uczy do dziś w tej samej szkole.

Papież obiecuje, że sprawa zostanie jeszcze raz zbadana. Odzywają się inni: „Każesz zająć się ponownie jego sprawą tylko dlatego, że on jest tutaj i o niej opowiedział. Czy wiesz, ile ofiar nigdy nie będzie miało takiej możliwości? Czy wiesz, że każda z nich musi sama walczyć o swoje prawa, podczas gdy ksiądz zawsze ma za sobą potężną instytucję?".

Wystarczy posłuchać

Nie zadowalają ich okrągłe zdania. Są bezkompromisowi i bezceremonialni, co zmusza papieża do porzucenia gotowych odpowiedzi. Nie liczą na to, że zmieni zdanie, ale sprawiają, że zmienia sposób mówienia.

Gdy porówna aborcję do wynajęcia płatnego mordercy, zwrócą mu uwagę, że to zachęta do penalizacji kobiet, której podobno nie chce. Gdy rozmawiają o kapłaństwie kobiet, sam spostrzega, że jego argumenty brzmią pokrętnie i dyskryminacyjnie – kończy więc nieprzekonującym stwierdzeniem: „takie są dogmaty, taka jest moja wiara".

Coraz częściej zaczyna mówić o tym, co ich łączy. I coraz więcej słucha. Bo ich dyskusje – prowadzone między sobą – są nie mniej ciekawe niż jego odpowiedzi. W sprawach takich jak aborcja, pornografia czy etyka seksualna młodzi nie są jednomyślni. Maria, młoda Hiszpanka, wychowana w rodzinie neokatechumenów, broni moralnych zasad Kościoła, co z kolei pozwala Franciszkowi przyjąć postawę inkluzywną i zrezygnować z formułowania ocen.

Czym jest moralność

Zapamiętamy z filmu kilka mocnych i nieszablonowych wypowiedzi papieża („Czasem najodważniejszym krokiem jest ucieczka ze złego i zepsutego miejsca" – do kobiety, która odeszła z zakonu i Kościoła, w wyniku doznanej przemocy psychicznej; albo: „Nauka Kościoła o seksualności jest wciąż w powijakach" – podczas dyskusji o różnych formach ekspresji seksualnej). Ale nie mniej ważne od tego, co mówił, jest to, czego nie powiedział. A co nie przysporzy mu sympatii osób przekonanych, że w każdej sytuacji należy jasno mówić, co jest dobre, a co złe. Franciszek jest wierny zasadzie, że choć istnieje dobro i zło, nie ma ludzi do końca złych ani tylko dobrych. W każdym obecne są oba te pierwiastki, więc „kimże ja jestem, żeby cię oceniać?".

Unika moralnych sądów. Być może ma świadomość, że jego rozmówcy już nieraz byli oceniani i potępiani. Że kolejny osąd niczego nie zmieni, natomiast powstrzymanie się od niego może być szansą – może ostatnią – na nawiązanie kontaktu i podtrzymanie relacji, które zaowocują w przyszłości.

Czego najlepszym przykładem jest historia Alejandry, dziewczyny publikującej pornograficzne treści w portalach społecznościowych. Na jej opowieść, prowokacyjną i pełną szokujących szczegółów, Franciszek reaguje jedynie delikatną sugestią, że korzystanie z nowoczesnych mediów nie zwalnia nas z myślenia o moralności – „w zależności od tego, czym dla ciebie jest moralność". I w milczeniu słucha argumentów kobiety, że sekspraca daje jej nie tylko pieniądze, ale też wolność, pewność siebie, satysfakcję i więcej czasu na zajmowanie się dzieckiem.

Na peryferiach

„Wiele się od was nauczyłem" – mówi na pożegnanie. Ta nauka na pewno sporo go kosztowała, co widać w zbliżeniach jego twarzy, czasem tężejącej niemal w fizycznym bólu.

Na podobną konfrontację nie zdobył się dotąd żaden papież i pewnie nie odważyłby się na nią, przynajmniej w świetle kamer, żaden biskup. Spotkanie z nieznanym i nierozumianym światem nie jest doświadczeniem łatwym.

To koszt pójścia na peryferie, nie geograficzne, ale kulturowe i moralne. Kościół – mówi papież – nie może być zamkniętym klubem miłych, pobożnych ludzi. Musi otworzyć drzwi dla tych, którzy stoją w progu, pełni wątpliwości, i wyjść do tych, którzy do środka wchodzić nie zamierzają.

Wobec ludzi, którzy doświadczyli niesprawiedliwości, odrzucenia i upokorzenia, czuje szczególne zobowiązanie. A wobec tych, którzy błądzą po obrzeżach, gorsząc miłych i porządnych ludzi – szczególną sympatię.

Potrafi dostrzec piękno tam, gdzie inni widzą jedynie brud.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

PAPIEŻ FRANCISZEK: PYTANIA I ODPOWIEDZI, *reż. Jordi Évole, Màrius Sánchez. Disney+, 2023 r.*

WOJCIECH

Bonowicz: *Niewidzialnie*

Myślę o ludziach, których nie widać. Którzy nigdy nie wychodzą na zewnątrz, nie przysiadają na ławkach, nie zatrzymują się na pogawędkę. Unieruchomionych przez chorobę, niepełnosprawność, starość, lęk. Ale też przez konieczność opieki nad kimś, przywiązanie lub uzależnienie. Przemykających szybko z pracy albo szkoły, byle tylko znaleźć się w domu-kryjówce.

Społeczeństwo to zbiór ludzi widzialnych i niewidzialnych. Widzialni cieszą nas lub irytują, inspirują lub nic nie obchodzą – ale są. Niewidzialnych nie wliczamy do tej całości, nie są nam nawet obojętni. Mogą mieszkać piętro wyżej lub niżej, przez ścianę, przez płot – dopóki coś nie sprawi, że na chwilę przestaną być dla nas przezroczyści, nie istnieją.

Mężczyzna mieszka na parterze. O jego istnieniu informuje zapach, kiedy uchyla drzwi, żeby na chwilę wypuścić kota. Kot krąży po odgrodzonej części klatki schodowej, przygląda się czekającym na windę. Mężczyzna nigdy się nie pokazuje.

Kobieta czuwa przy niepełnosprawnej córce. Dziewczyna ma już prawie czterdzieści lat, po kolejnej operacji przestała wstawać z łóżka. Trzeba ją odwracać, nacierać, zachęcać do jedzenia, myć. Matka wychodzi tylko po zakupy. Czasem zjawia się pani z MOPS-u, która pomoże prześcielić łóżko. Czasem dzwoni telefon – ktoś z rodziny, jakaś przyjaciółka z przeszłości, najczęściej akwizytor.

Nastolatka wraca ze szkoły sama. Nawet kiedy idzie w gronie koleżanek, jest sama, nie odzywa się, co najwyżej uprzejmie się półuśmiecha. W mieszkaniu ma pokój, w którym może się zamknąć na resztę dnia. Matka i babcia pytają ją tylko o lekcje, czasem wołają na film w telewizji. Martwią się, że spędza za dużo czasu przed komputerem, więc dla świętego spokoju wyłącza go wieczorami. Czyta? Pisze? Rysuje? O czym myśli? Nie wiadomo. Podobno wybiera się na prawo. Ktoś prostuje, że na psychologię. Jest na liście w dzienniku, nieobecności ma niewiele. Obecna nieobecna, nie wiadomo właściwie, do jakiej grupy ją zaliczyć.

Starsza pani dała o sobie znać w covidzie. Wyszła na balkon i zaczęła wołać o pomoc. Wcześniej wiadomo było tylko, że jej mieszkanie nie stoi puste. Młodsi mieszkańcy tej samej klatki nawet nie znają jej imienia, bo dziś nie wywiesza się już spisu lokatorów. Sąsiedzi zaczęli robić jej zakupy, ale nadal nie wiedzą, kim jest.

„To tak łatwo powiedzieć: idź, zapukaj, zainteresuj się. A co, jeśli ktoś nie chce twojego zainteresowania? Nie lubi swojej samotności, ale się do niej przyzwyczaił? Czeka na kogoś, ale to nie ty?”. Słucham tych historii i wiem, że są cierniem w duszy tych, którzy je opowiadają. Dopóki są cierniem, jeszcze nie jest źle. Jeszcze niewidzialni nie są niewidzialni zupełnie. Nie ma rozwiązania, ale problem jest. Najgorzej kiedy sam problem staje się niewidzialny. Kiedy mentalnie odesłany zostaje do „odpowiednich instytucji”. „Są służby, niech się tym zajmą”. Jakie służby? Te słabo opłacane panie z opieki społecznej? Policjanci, którzy przyjadą, kiedy dzieje się coś „naprawdę poważnego”? Psychiatrzy, do których najpierw trzeba zadzwonić, by umówić się na wizytę, bo przecież nie chodzą po domach?

„Nie wiem, jak to będzie dalej. Jak to społeczeństwo będzie wyglądać za lat dziesięć, dwadzieścia”, mówi ktoś zatroskany, kto jeszcze po domach chodzi, rozpytuje, szuka niewidzialnych ludzi. „Może tak musi być? Może to cena, którą trzeba zapłacić za to, że jest nas więcej? I że żyjemy dłużej, szerzej?”. ©

TYGODNIK POWSZECHNY

Pobudka z Tygodnikiem

CODZIENNIE NAJLEPSZE TEKSTY

Pobudka z Tygodnikiem to nowy newsletter „Tygodnika Powszechnego”. Codziennie rano, od poniedziałku do piątku, wysyłamy wiadomość o kilku najlepszych tekstach dnia oraz autorskie rekomendacje czytelnicze redaktorów „Tygodnika”.

Zapisz się pod adresem **powszech.net/pobudka** i bądź na bieżąco z tym, co najlepsze na TygodnikPowszechny.pl

zapisz się!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ELEKTRYKI ZZA WIELKIEGO MURU

BYD, Xpeng, Nio – dla większości Europejczyków te nazwy marek chińskich aut brzmią enigmatycznie. Wkrótce może się to zmienić.

PIOTR BERNARDYN Z TOKIO

Chińskie koncerny motoryzacyjne na nowo szykują się do podboju zagranicznych rynków. Na nowo, gdyż pierwsza próba, kilkanaście lat temu, się nie udała. Teraz obiecują produkty wyższej jakości i zarazem przystępne cenowo. Co najważniejsze: ich oferta dotyczy przede wszystkim aut o „czystym" napędzie elektrycznym lub hybryd.

To branża, w której Państwo Środka niepostrzeżenie stało się światowym liderem. Już dziś w Chinach sprzedaje się 59 proc. światowej produkcji nowych elektryków: to ponad 6 mln aut rocznie, czyli jedna czwarta miejscowego rynku motoryzacyjnego (może się wydawać, że to niewiele, zważywszy na populację, ale po pierwsze: 24 mln nowych aut w rok daje po 10 latach 240 mln, a po drugie: setki milionów ludzi ciągle żyją w biedzie i jeżdżą na popularnych skuterach). Ponadto do końca dekady ta wartość ma ulec podwojeniu. Dla porównania: mieszkańcy Unii Europejskiej i USA kupili w 2022 r. odpowiednio 2,5 mln oraz 1 mln takich pojazdów.

QILAI SHEN / PANOS PICTURES / FORUM

Stacja ładowania samochodów elektrycznych w Shenzhen, 2019 r.

Wprawdzie w światowej rywalizacji firm produkujących auta o napędzie „czysto" elektrycznym (tj. licząc bez hybryd) przewodzi wciąż amerykańska Tesla, ale po piętach depcze jej firma BYD z Shenzhenu (BYD to skrót *Buy Your Dream*, ang. kup sobie marzenie). Notuje ona wzrosty zysków na poziomie kilkuset procent rocznie.

Gdzie tkwią źródła chińskiego sukcesu?

Narodziny branży

Pierwsze zapowiedzi rozwoju aut elektrycznych pojawiają się w Chinach na początku XXI w. – branża ma przysłużyć się walce o czyste środowisko. Program nabiera impetu w 2007 r., gdy ministrem nauki i technologii zostaje Wan Gang, inżynier pracujący wcześniej dla koncernu Audi.

W tamtym czasie Chińczycy byli już świadomi, że konkurencja w obszarze silników spalinowych (z Europy, USA i Japonii) będzie trudna do pokonania. Napęd elektryczny wydawał się opcją obiecującą, choć wciąż ryzykowną. O późniejszych rezultatach przesądzi aktywna polityka państwa, wielkość chińskiego rynku i odpuszczenie tego segmentu przez część światowych potentatów motoryzacji.

Na przyjazne traktowanie ze strony chińskiego państwa, w postaci subsydiów i ulg podatkowych, producenci i konsumenci aut elektrycznych mogli liczyć od początku. Ich właścicielom pozwalano korzystać z buspasów czy bezpłatnych parkingów, nie musieli płacić nawet za rejestrację samochodu, która w Szanghaju potrafi sięgać kilkudziesięciu tysięcy złotych. Swoją cegiełkę do rozwoju branży dorzucały też władze lokalne. Przykładem 12-milionowy Shenzhen, gdzie we współpracy z koncernem BYD transport autobusowy przestawiono całkowicie na pojazdy elektryczne. Podobnie postępują kolejne aglomeracje.

Rosnąca atrakcyjność nowej gałęzi gospodarki zaczęła przyciągać do niej kolejne firmy, które ostro ze sobą konkurują. Chiny mają dziś około stu producentów aut elektrycznych, oferujących ponad 300 różnych modeli. Klient może przebierać w pojazdach z każdej półki cenowej. Od kilku lat bestsellerem pozostaje hongguang mini: czteroosobowe autko o zasięgu 160 km, do nabycia już za 5 tys. dolarów. Z kolei dwadzieścia razy więcej trzeba zapłacić za hongqi, chiński odpowiednik rolls-royce'a.

Burzliwy rozwój branży odbywa się w realiach ciągle nienasyconego rynku samochodów w Chinach: po drogach tego kraju jeździ obecnie 300 mln pojazdów, a w ciągu dekady może ich być o 100 mln więcej.

Rodzime priorytetem

Chińska motoryzacja byłaby dziś w zupełnie innym miejscu, gdyby nie konsekwentna i pozbawiona sentymentów polityka państwa wobec obcego kapitału.

Zagraniczne firmy mogły inwestować w Państwie Środka pod warunkiem zawiązania *joint venture* z lokalnym biznesem i podzielenia się z nim swoją technologią. Samochodowi potentaci byli skłonni akceptować te warunki, licząc na zyski z wielkiego chińskiego rynku.

Wyjątek uczyniono jedynie dla Tesli Elona Muska – mógł on samodzielnie postawić swoją szanghajską fabrykę, dziś największą z wszystkich fabryk Tesli. Władze nie tylko upraszczały procedury dla przyspieszenia inwestycji Muska, ale się do niej dorzuciły. Zależało im na tym, by wprzęgnąć słynną markę w chiński rynek elektryków – tak, aby stanowiła ona punkt odniesienia dla rodzimych producentów.

Dziś, po dwukrotnym obcięciu cen, amerykański koncern utrzymuje się tam wciąż w czołówce rankingów sprzedaży, jednak coraz częściej Chińczycy sięgają po rodzime produkty. Chodzi nie tylko o niższą cenę: chińscy klienci twierdzą, że są one nowocześniej wyposażone, np. w gadżety typu karaoke czy głosowe wykonywanie poleceń.

Finalny efekt dla obcych inwestycji w Chinach okazuje się zatem często podobny: miejscowe firmy osiągają poziom zagranicznej konkurencji i wypychają ją z rynku.

Baterie, głupcze!

W przypadku samochodów elektrycznych uwagę przykuwa zwłaszcza opanowanie przez Chiny technologii wytwarzania baterii, które stanowią ok. 40 proc. wartości pojazdu. ↦

↦ Jeszcze dekadę temu silną pozycję w tej sferze miały na terenie Chin korporacje z Korei Południowej. Jednak w 2016 r. Pekin odmówił certyfikacji baterii z tego kraju, przyznając je wyłącznie własnym producentom. Chińczycy mogli teraz sami doskonalić technologię, by ostatecznie zdominować całą tę gałąź przemysłu: nie tylko produkują dziś najwięcej baterii na świecie, lecz kontrolują też stosowne łańcuchy dostaw, obejmujące pozyskanie i przetwarzanie rzadkich minerałów – jak lit, kobalt, nikiel czy grafit.

W rezultacie wiele zagranicznych marek samochodowych, również klasy premium, jest dziś uzależnionych od dostaw chińskich baterii. Korzystanie z których też zresztą udało się Chińczykom uprościć: wystarczy podjechać do odpowiedniej stacji, gdzie w kilka minut wymienia się pustą baterię na nową, pełną – w ten sposób odpada długi okres ładowania. Punkty takie powstają już do obsługi chińskich aut za granicą.

Globalny wyścig

Pierwszy akt rywalizacji o prymat w dziedzinie elektryków kończy się więc dla Chin zwycięsko. Akt drugi, czyli próba podbicia zagranicznych rynków, właśnie się rozpoczyna.

Teoretycznie cały świat stoi przed Chińczykami otworem. Jednak ze względu na specyfikę branży, wciąż kosztownej i wymagającej technologicznego zaplecza, liczą się dziś przede wszystkim zamożniejsze części globu.

Najmniej obiecująco dla chińskich marek przedstawia się rynek USA. Politycznie i gospodarczo oba kraje coraz bardziej się rozchodzą. Rośnie też niechęć do Chin wśród zwykłych Amerykanów, potrafiąca przybierać formę histerii – aby wspomnieć opowieści o podsłuchach montowanych w chińskich pojazdach. Ale, co istotniejsze, po latach zaniedbywania tej branży Stany zaczynają traktować ją priorytetowo. Szczodre subsydia na auta elektryczne mają wspierać przede wszystkim rodzimą amerykańską produkcję.

Podobnie będzie zapewne w Japonii, chroniącej własny rynek. Dotąd japońską specjalnością był napęd hybrydowy. Teraz nowe szefostwo Toyoty, największego koncernu samochodowego świata, zapowiada znaczne poszerzenie oferty „czystych" elektryków w najbliższych latach.

Ciekawym poligonem doświadczalnym dla Chińczyków może okazać się rynek Australii: kraju bogatego, który nie produkuje własnych samochodów. Oznacza to, że interes narodowy gra tu mniejszą rolę w preferencjach konsumentów niż jakość, cena i serwisowanie produktu. W 2022 r. sprzedaż wszystkich rodzajów chińskich pojazdów w Australii wzrosła o 60 proc., a wśród elektryków debiutujący BYD uplasował się tuż za Teslą.

O dobrych wynikach przesądził m.in. czas oczekiwania na nowe auto. W przypadku Tesli wynosi on średnio osiem miesięcy, podczas gdy u chińskich producentów czeka się zaledwie kilka tygodni. Ci drudzy potrafią też dużo elastyczniej reagować na potrzeby lokalnego rynku. „Chińczycy są głodni sukcesu, wnoszą świeżość, potrafią rozwiązywać problemy i dostarczyć konkurencyjny produkt w szybkim tempie" – podsumowuje Behyad Jafari, szef australijskiej rady do spraw elektromobilności.

Na podbój Europy

Australia jednak liczy tylko 25 mln mieszkańców. Dla istotnego zwiększenia sprzedaży aut elektrycznych na świecie Chińczykom pozostaje więc podbój Starego Kontynentu.

Unia Europejska, po wprowadzeniu zakazu sprzedaży nowych aut spalinowych od roku 2035, jawi się jako wymarzone do tego miejsce. Co więcej, wysokie ceny europejskich elektryków tworzą rynkową lukę, którą mogłaby wypełnić chińska oferta, adresowana do konsumentów o zróżnicowanym poziomie dochodów.

W 2022 r. Chiny sprzedały w Unii 150 tys. samochodów elektrycznych, co stanowi około 6 procent rynku, a do 2025 r. chcą nawet potroić tę wartość. Niemiecka firma Sixt, jeden z europejskich liderów w sektorze wypożyczania aut, zapowiada już powiększenie swojej floty o 100 tys. elektryków BYD. Ekspansji tej sprzyjają zaledwie 10-procentowe cła na chińskie auta importowane do Unii – średnio dwukrotnie niższe od tych, które Państwo Środka stawia europejskim koncernom.

Skąd ta asymetria? Chodzi o niezrażanie do siebie Chin oraz o interes europejskich, a zwłaszcza niemieckich koncernów motoryzacyjnych. Produkują one tam miliony pojazdów rocznie, które są sprzedawane na miejscu lub eksportowane – także do Europy.

Widmo roku 2035 może dodatkowo wzmocnić obustronne relacje. A ponieważ Chiny osiągnęły przewagę w wytwarzaniu wielu komponentów aut elektrycznych, niewykluczone, że całe łańcuchy produkcji samochodowej Volkswagena czy Mercedesa zaczną być przenoszone do Państwa Środka – tak uważa Konrad Popławski, analityk Ośrodka Studiów Wschodnich, autor opracowania pod znamiennym tytułem „Globalne starcie o elektromobilność zagrożeniem dla Europy Środkowej?".

Znaki zapytania

Stratni byliby wówczas obecni podwykonawcy niemieckich firm, wśród nich także ci z Polski. A scenariusz taki jest o tyle prawdopodobny, że zdaniem ekspertów Europa nie zdoła przed rokiem 2035 zabezpieczyć wystarczającej ilości rzadkich minerałów do produkcji baterii. Uzależnianie się w tak kluczowej dziedzinie od autorytarnego państwa, jakim są Chiny, może rodzić jednak różne skutki – także dla bezpieczeństwa kontynentu.

Nie jest to oczywiście zmartwienie Chińczyków. Lecz ich dalszym sukcesom na rynku samochodów elektrycznych mogą przeszkodzić zagraniczna konkurencja i względy polityczne, a wewnątrz kraju osłabienie popytu wywołane tegorocznym obcięciem subsydiów. Z drugiej strony światowa hossa na elektryki doprowadzi zapewne do wzrostu cen litu i innych minerałów, co z kolei podbije ceny pojazdów.

Snując różne scenariusze, magazyn „Nature" dopuszcza nawet zahamowanie rozwoju całej branży i zwrot w kierunku innych źródeł zasilania, także tradycyjnych. Dla Chińczyków oznaczałoby to ból głowy. Ale jeszcze większy dla tych, którzy przyszłość motoryzacji związali wyłącznie z napędem elektrycznym.

© PIOTR BERNARDYN

Korzystałem z: Zei Yang „How did China come to dominate the world of electric cars?" („MIT Technology Review" z 21 lutego 2023 r.); „China's electric vehicle and climate ambitions jeopardized by surging critical material prices" („Nature" z 4 marca 2023 r.).

„Awdijiwka to Ukraina": głosi napis przy wjeździe do miasteczka. Obok zawieszona kukła Putina. 8 kwietnia 2023 r.

Miasto ukrzyżowane

TEKST I ZDJĘCIA ANTONINA PALARCZYK Z AWDIJIWKI (OBWÓD DONIECKI)

Broniona od początku inwazji – a przedtem przez długie osiem lat, od początku wojny w Donbasie – wiosną tego roku Awdijiwka przypomina Warszawę z tamtej wiosny roku 1945.

Jest Wielki Tydzień, mija Wielka Sobota. W Awdijiwce Chrystus cichutko leży w grobie, gdzie został pochowany wraz z setkami Ukraińców. Trudno będzie zmartwychwstać w takich warunkach, kiedy nad miastem, które fatum umiejscowiło pod samym Donieckiem, huczy artyleria i lotnictwo.

Choć dziś nie spodziewamy się nalotów, niebo jest czyste. – Uda się nam prześlizgnąć – ma nadzieję Malino, jeden z obrońców. – Tylko pamiętaj, żeby jeszcze na dwadzieścia kilometrów przed wjazdem włączyć w telefonie tryb samolotowy.

WJAZD DO MIASTA, kiedyś trzydziestotysięcznego, zapowiada na wschodnią modłę przydrożny metalowy napis sporych rozmiarów. Teraz udekorowany proporcami kilku stacjonujących w okolicy ukraińskich brygad. I jedną flagą Szachtara Donieck, klubu piłkarskiego, który po 2014 r. wolał przenieść się, zachowując nazwę, z pobliskiej metropolii najpierw do Lwowa, a teraz do Charkowa.

Może to wyraz nadziei jednego z wojaków, że niechybnie przyjdzie dzień, kiedy na nowo barwy ukochanego klubu będą wyznacznikiem przynależności – bardziej nawet niż symbolika jednostki, w której się służy. Kiedy wreszcie będzie można bez strachu wyjść z piwnicy, pogadać ze znajomymi przez płot i skoczyć do kiosku po ciemnego obołona. A potem, popijając to popularne piwo, razem obejrzeć mecz przed telewizorem.

To kiedyś. Teraz wydaje się, jakby tutaj nie miał już kto ginąć.

Malino (to pseudonim; żołnierze posługują się tu nimi chętnie), który zdawał się widzieć już wszystko, wytrzeszcza oczy, gdy wreszcie wypadamy z podmiejskich głubinek, a błyskawiczne manewry kierowcy, gdy musi objechać krater ziejący pośrodku drogi, rzucają pasażerami o ściany terenówki.

PÓŁ TONY TROTYLU – rzuca przez ramię, gdy przechodzimy potem szybkim krokiem obok wielkiej dziury. Pół tony: tyle materiału wybuchowego mieści się w spadającej swobodnie bombie lotniczej, których napastnicy ostatnio chętnie używają.

Malino każe gestem pozostać z tyłu, zerka przez wyłom w murze. Ale spokojnie, to tylko pies. Jedyny z żywych ↦

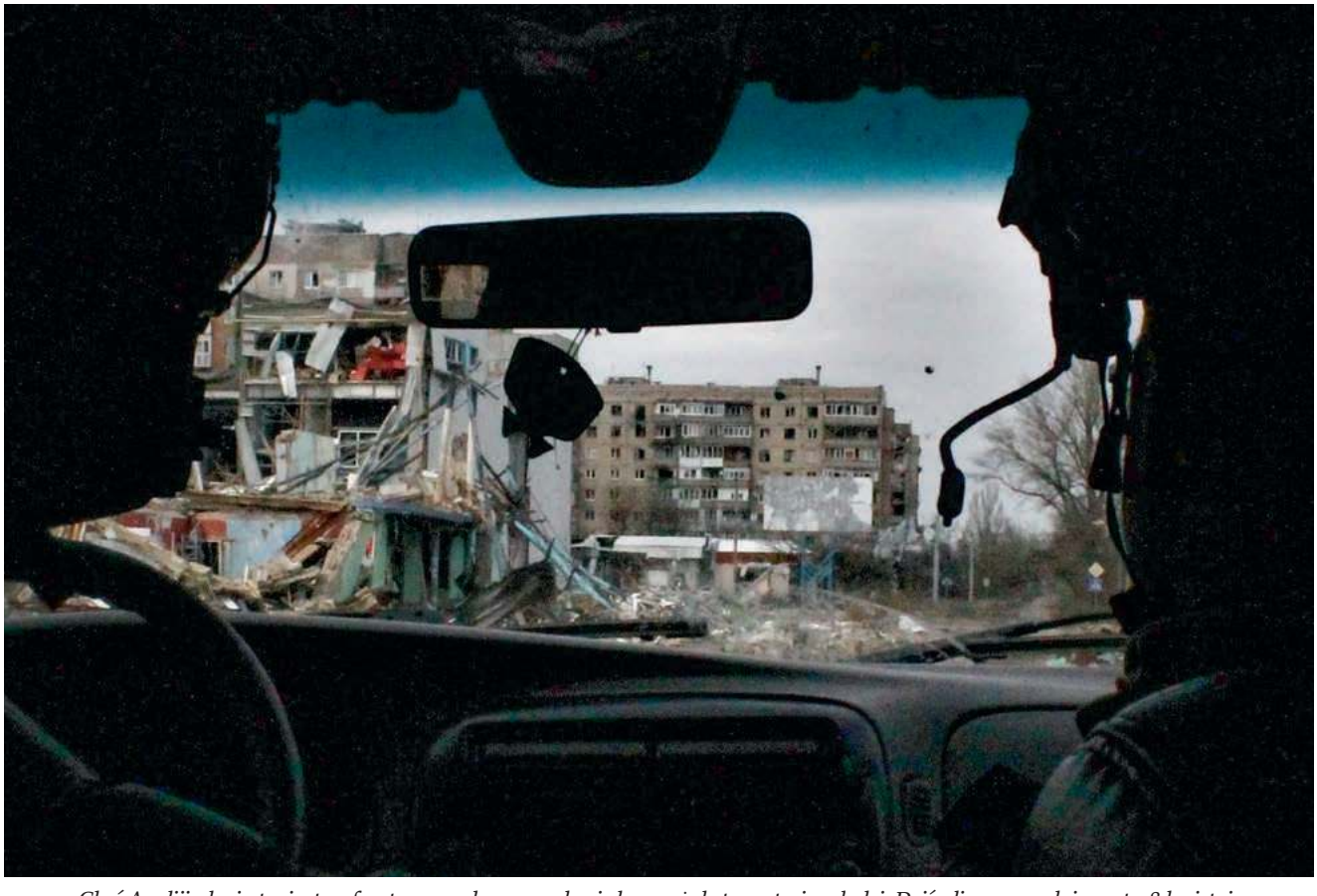

Choć Awdijiwka jest miastem frontowym od 2014 r., do niedawna żyło tu 30 tysięcy ludzi. Dziś ulice są zupełnie puste. 8 kwietnia 2023 r.

↦ mieszkańców Awdijiwki, którego zobaczymy tego dnia na ulicy, odpoczywa na podwórku. Niedługo. Huk rakiet Grad czy może innego diabelstwa podrywa zwierzę na nogi. I wywołuje, kolejny raz tego dnia, chyba najczęściej padające słowo: szybciej. Szybciej!

– Co będę robić potem? To znaczy wtedy, kiedy wszystko się skończy? – upewnia się Ziroczka i szura wojskowymi buciorami w ciamkającym błocie, tym słynnym donieckim błocisku. Pytanie jest mu bardzo obce. – Nie myślałem nad tym jeszcze ani razu. Jedyne co, to pogodziłem się z myślą, że mogę stąd nie wrócić. Ale potem... Nie obchodzą mnie żadne kontrakty, nic. Chcę wrócić do domu i zapomnieć o wszystkich strasznych rzeczach – Ziroczka mówi rzecz najprostszą w świecie i opuszcza wzrok. Drapie się po rudej brodzie. Oni nie są bandą barczystych Rambo. Oni są już tylko i przeogromnie zmęczeni.

KILKA DNI WCZEŚNIEJ podobnie zmęczone słowa wydobywa z siebie Walentyn, gdy w zimny wiosenny wieczór szuka na dworcu w Dnieprze hostelu i jakiegoś transportu w stronę Bachmutu, dokąd wraca po przerwie rehabilitacyjnej.

– Oni się muszą chyba czymś strasznym stymulować, może amfetaminą – Walentyn mówi o tych, których ataki odpierał. – Nie czułem, że mam do czynienia z ludźmi, wyglądali prawie jak zombie z serialu. A my też już nie możemy.

Opowiada o antydepresantach. – A wiesz, jeden facet, z którym służyłem, wziął po lekach siekierę, poszedł na podwórze i powybijał szczenięta. I nie był potem w stanie odpowiedzieć na pytanie, co zrobił. Chyba każdy, kto służył na zerówce [tak żołnierze nazywają pierwszą linię frontu], ma problemy z głową. Niby wszystko normalnie, ale jak się przyjrzysz, to ten pije, tamten ma niesnaski z żoną. Zmęczeni jesteśmy już wszyscy.

Walentyn zaciąga się ostatni raz, ciska niedopałek do studzienki.

AWDIJIWKA WCIĄŻ ŻYJE, choć bardzo charczy i pluje krwią. Jej nazwa jest jak wbijany w ranę scyzoryk. Nie padnie, póki ma obrońców, którzy potrafią się rozpłakać.

– Nie, nie. Jak w tym starym sowieckim filmie mówili, chłopcom nie wolno płakać – wzbrania się Ziroczka. Jednak płakał, on, dowódca. Trudno było mu nie płakać, kiedy nie udało mu się za pierwszym i potem za kolejnym razem wydostać żołnierzy, tych zajmujących stanowiska w najgłębszej części miasta, pomiędzy zaciskającymi się rosyjskimi szczękami. Nie, to nie miał być odwrót – jedynie rotacja. Opuścić Awdijiwkę, żeby chwilę odpocząć.

Kiedy w końcu się to udaje, będą milczeć. Najwyżej odpowiedzą, że nie ma o czym mówić, a oni chcą o tym jak najszybciej zapomnieć. I tyle.

– Nie wypuścimy tak łatwo z rąk miasta, z którego można by przeprowadzić kiedyś bezpośredni atak na sam Donieck. Pomyśl, Donieck! – ze wszystkich rozmówców Malino wydaje się zachowywać najwięcej żaru w głosie. Umie zaśmiać się donośnie, pewnie stawia kroki, gdy na krótkie chwile opuszczamy ubłocony samochód, rozglądając się po wymarłej

Lej po bombie. Miasto jest codziennie ostrzeliwane, Rosjanie usiłują je okrążyć – jak dotąd bezskutecznie.

Założona w XVIII wieku, jedna z najstarszych miejscowości w Donbasie, dziś jest morzem ruin.

okolicy. Ale i jemu zmienia się głos, gdy wspomina o cywilach pozostających jeszcze w piwnicach. – I piątka dzieci, piątka... – nie komentuje tego faktu w żaden sposób.

PTICZKA, PTASZEK: tak nazywają wszechobecne drony. – Ciekawe, co mogą sobie myśleć rosyjskie ptaszki patrzące z góry, co wyprawia nasz Kola za kierownicą – ktoś zdobywa się na szczyptę humoru po kolejnej serii zakrętów, które wyrzucają w powietrze strugi błota.

Trafiamy na twardą drogę. Niektórym ze zszarzałych budynków trzeba dokładniej się przyjrzeć, żeby zauważyć wyrwy poczynione przez Rosjan. Może tu łatwiej wedrzeć się wojnie niż choćby do podkijowskich sypialni, gdzie ślady po pociskach widać było z oddali, jak czerniały na ścianach białych apartamentów czy ekskluzywnych sklepów europejskich marek.

Tutaj wojna jakby pełznie szybciej beznadziejnymi drogami, gdzie drzazgi i odłamki nie są tak łatwo odróżnialne od ulicznego kurzu. Gdzie ludzie mają zniszczone ręce, zmęczone twarze, zanurzone w błocie walonki. Wojnie łatwiej jest rozpanoszyć się, niemal niezauważalnie, w rozpadającej się donieckiej wiosce, nad którą od dziewięciu lat świszczy Grad, niż wkroczyć między ikeowskie meble i wśród nich rozpalić ognisko, rozrzucając wokół puste skrzynie po amunicji.

Z AWDIJIWKI DO BUCZY drogami jest jakieś 700 kilometrów. Niby niedaleko, jak na ten rozległy kraj. Ale to teraz inny świat, jakby bez wojny. Jakby. W każdym razie w Buczy już wszystko ucichło. Ale, choć tylko przejazdem, trzeba się zatrzymać i pogapić. I jakiś niepokój wciąż wbija pazurki w kark. Choć teraz, kiedy wraki dawno już wywieziono z ulic na peryferyjne złomowisko, kiedy okna nie straszą już wybitymi szybami, to jakby nie za bardzo było wiadomo, skąd ona, wojna, przychodzi.

– Patrz, jak czyściutko, jak pięknie. O kurna, Mak jest otwarty! – wchodząc, oczy mamy okrągłe, pewnie jak pierwsi klienci McDonalda na placu Puszkina, nabożnie ściągający z łepetyn sobolowe czapki. Nie przywidziało się, ciała dawno pochowano, okna już nie są wybite, a ściany osmalone; knajpa wypucowana – aż świeci.

Przejezdni jesteśmy i trudno naszym przejezdnym głowom pogodzić się z tym, jak lokalsi wracają do rzeczywistości, terapeutycznie udając się rodziną na McFlurry. Tak jak to robili do czasu, zanim ich miasto wpadło w rosyjskie ręce. Siedzimy zatem w kotle terapii rodzinnej. Kierowca się zadumał. Jakby zobaczył coś wśród frytek. Jakby w nerwowo mieszanej herbacie wirowały drobinki sadzy.

W AWDIJIWCE Chrystus wciąż leży w grobie. A na sporych rozmiarów metalowym napisie informującym, że w tym miejscu kiedyś zaczynało się to spokojne miasteczko, dynda od niedawna kukła. Z fizjonomii przypomina Władimira Władimirowicza Putina.

© ANTONINA PALARCZYK

Tajemnica Jacka Teixeiry

AGATA KAŹMIERSKA, MICHAŁ GIKOWSKI

Czy do najpoważniejszego wycieku tajnych dokumentów USA, jaki miał miejsce w tym stuleciu, doprowadził, przypadkowo, sfrustrowany 21-letni gracz internetowy?

Był początek lutego, gdy egipski dyktator zadzwonił do jednego z ministrów i wydał rozkaz: zacząć produkcję 40 tys. rakiet dla Rosji. Abdel Fattah el-Sisi podkreślił, by operację trzymano w sekrecie, aby „uniknąć problemów z Zachodem". Jednak Zachód wiedział już w chwili, gdy Sisi, odgrywający rolę sojusznika, odkładał słuchawkę. Notatka wywiadu USA z podsłuchanej rozmowy od razu trafiła na biurka w Białym Domu i Pentagonie.

Równie szybko – zamiast pozostać tajną – trafiła na pewne internetowe forum. Podobnie jak kilkaset innych tajnych dokumentów. Jak to się stało?

Mentor z Discorda

W czwartek 13 kwietnia transporter opancerzony wjechał na podwórko w miasteczku North Dighton, w amerykańskim stanie Massachusetts. Krążące nad nim telewizyjne śmigłowce uwieczniły moment zatrzymania mężczyzny w szarej koszulce i czerwonych szortach. Okazał się nim niejaki Jack Teixeira, 21-letni żołnierz Gwardii Narodowej. Odkąd jesienią 2022 r. zaczął służbę, spędzał długie nocne dyżury w bazie Otis na przylądku Cape Cod. Tam miał uzyskać dostęp do tajnych dokumentów.

Teixeira należał do 20-osobowej grupy na komunikatorze Discord. Dołączenie do niej wymagało zaproszenia od administratorów, a rozmowy dotyczyły – przynajmniej początkowo – muzyki i gier komputerowych, jak strzelanka „Call of Duty". Dziennik „Washington Post" ustalił, że do grupy należeli nastoletni chłopcy i młodzi mężczyźni. Teixeira, używający pseudonimu „OG", imponował im wojskową wiedzą. Był dla nich kimś w rodzaju mentora. W czasie lockdownu pomagał im, jak pisze gazeta, „radzić sobie z napadami depresji i zachować emocjonalną równowagę".

Cyfrowe ślady wskazują, że „OG" zaczął upubliczniać rządowe materiały wkrótce po rozpoczęciu służby. Początkowo przepisywał je ręcznie, dodając komentarze (np. wyjaśniał, że akronim NOFORN oznacza, iż dokument nie może być udostępniany obcokrajowcom).

Czemu to robił? Podobno chciał, by członkowie grupy „byli na bieżąco", rozumieli, co dzieje się na świecie i jak działa rząd USA. Tak przynajmniej twierdził.

Jednak z czasem na jego długie wpisy inni grupowicze reagowali coraz częściej tylko zdawkowym „Wow". Teixeirę to frustrowało. Na początku tego roku zaczął fotografować akta, do których miał dostęp, i wrzucać ich kopie na grupę. To mocniej przykuwało uwagę innych graczy – wszak były to zdjęcia satelitarne po rosyjskich atakach rakietowych na ukraińskie instalacje, szkice potencjalnej trajektorii wystrzelonych przez Koreę Północną rakiet atomowych czy schemat chińskiego balonu szpiegowskiego.

Gracze obiecywali ponoć, że nie będą nic „wynosić na zewnątrz". Ale zdjęcia „OG" okazały się tak interesujące, że w marcu wyciekły – najpierw na inne kanały na Discordzie, a potem na czołówki światowych mediów. Prof. Thomas Rid, badacz wojny informacyjnej z Uniwersytetu Hopkinsa, nazwał ten wyciek „jednym z najważniejszych w tym stuleciu".

Ukraina, Rosja, Korea...

Trzysta dokumentów, które miał upublicznić Teixeira, to mniej niż to, co wcześniej ujawnili Edward Snowden (10 tys. akt) i Chelsea Manning (ćwierć miliona dyplomatycznych depesz i pół miliona raportów armii USA). Dotyczą jednak wydarzeń bieżących, a niektóre powstały niedługo przed wyciekiem. To znaczy, że ich ujawnienie może bezpośrednio wpłynąć na sytuację w świecie.

Najwięcej dotyczy wojny w Ukrainie. Niektóre przedstawiają obraz inny od tego, jaki prezentują Kijów i Waszyngton. Np. notatka z 26 lutego stwierdza, że za atakiem na rosyjski samolot zwiadowczy A-50 stacjonujący na Białorusi mieli stać ukraińscy agenci działający wbrew rozkazom. Inna, z 23 lutego, prognozuje, że wojna na wyniszczenie w Donbasie może skończyć się patem (jej autorzy opierają się m.in. na zdjęciach z satelitów szpiegowskich LAPIS). Autor kolejnej analizy, dotyczącej ukraińskiej kontrofensywy, przestrzega, że może ona przynieść fiasko oraz że do połowy maja Ukrainie skończą się rakiety przeciwlotnicze.

Rosjan powinno zaniepokoić, jak dobre rozeznanie mają Amerykanie w tym, co dzieje się w ich armii. Z dokumentów wynika, że świetnie znają jej kondycję i słabości, i że są w stanie uprzedzać Ukraińców przed jej atakami. Orientują się też w planach GRU dotyczących kampanii propagandowej w Afryce oraz w próbach kupienia broni w Turcji przez Grupę Wagnera.

Równie poważny charakter mają inne ujawnione dokumenty. Jak wzmianki, że Izrael rozważa przekazanie Ukrainie broni, jeśli pogorszą się jego relacje z Ro-

HANDOUT / WBZ / CBS / AFP / EAST NEWS

Aresztowanie Jacka Teixeiry przez agentów FBI, North Dighton, 13 kwietnia 2023 r.

sją, lub jeśli USA zgodzą się na wspólne przygotowanie działań wymierzonych w Iran. Albo że władze Korei Południowej „miały problem" z prośbą USA o sprzedaż Ukrainie amunicji artyleryjskiej – informacje te mogły pochodzić z podsłuchu rządowej narady w Seulu.

Wyciek pokazuje, że wywiad USA jest naprawdę świetnie poinformowany. Thomas Rid podkreśla przy tym, że nic nie wskazuje, by ujawnione dane pochodziły ze źródeł osobowych. „Numery seryjne" dokumentów mogą wskazywać, że źródłem są podsłuchy, i że cała ta wiedza to owoc technologicznej dominacji agencji wywiadowczych NSA i CIA.

Kto za tym stoi

Czy Teixeira mógł działać na zlecenie obcego wywiadu? Oczywiste jest podejrzenie, że za wyciekiem mogli stać Rosjanie. Kreml celuje w takich operacjach, by stawiać państwa Zachodu w niezręcznej sytuacji i manipulować ich opinią publiczną. Przykładem publikacja częściowo zmanipulowanych maili, wykradzionych w 2016 r. z serwerów amerykańskiej Partii Demokratycznej. Tamtą operację jednak starannie przygotowano: dane „obrobiono", utworzono specjalne strony internetowe do ich publikacji, powstały nawet fikcyjne persony, jak rzekomy rumuński haker Guccifer 2.0, co pozwalało Rosji zaprzeczać, iż to jej dzieło.

Tutaj nie widać niczego podobnego. Dokumenty to często niechlujnie wykonane zdjęcia, które wyglądają, jakby zrobiono je u kogoś w domu. Obok zmiętych kartek z wydrukami widać nóż, pudełko po lunecie do sztucera, obcinacz do paznokci czy tubkę kleju Gorilla Glue. Porównanie zdjęć dokumentów z fotografiami rodzinnego domu Teixeira ukazuje uderzające podobieństwo.

Wątpliwe, by profesjonalne służby pozwoliły sobie na coś takiego – zwłaszcza że dzięki zdjęciom można było namierzyć ich autora. Tak było np. w przypadku Reality Winner, która w 2017 r. ujawniła serwisowi Intercept dokumenty Agencji Bezpieczeństwa Narodowego USA: namierzono ją dzięki tajnym oznaczeniom na wydrukach, które pomogły zawęzić krąg poszukiwanych.

Co może ważniejsze: wrzucenie zdjęć na zamknięte forum dla graczy nie wygląda jak próba maksymalnego nagłośnienia wycieku. Raczej jak pozostawienie dokumentów na przystanku autobusowym z nadzieją, że wpadnie na nie dociekliwy dziennikarz.

Jedynym tropem łączącym wyciek z Rosją jest prymitywna przeróbka dokumentu ujawnionego przez Teixeira, który z czasem trafił na komunikator Telegram, popularny w Rosji i Ukrainie. Zawiera on szacunki strat rosyjskich i ukraińskich: w zmienionej wersji pomniejszono straty rosyjskie i powiększono ukraińskie. „To, że ktoś zmienił jeden plik z tego wycieku, jest najlepszą rzeczą, jaka mogła się przytrafić rządowi USA. Teraz może on twierdzić, że cała ta sprawa to rosyjska operacja, mimo że chodziło tylko o słabą edycję jednej części jednego pliku" – napisał na Twitterze Aric Toler z portalu śledczego Bellingcat, który prześledził, jak wyciek rozchodził się w internecie.

Sekrety szeroko dostępne

Bardziej prawdopodobne jest wyjaśnienie, że do wycieku doszło z powodu wielopoziomowej niefrasobliwości, wręcz głupoty.

Przynajmniej część ujawnionych dokumentów przygotowano dla najwyższych urzędników Białego Domu i Pentagonu. Kto i po co udzielił dostępu do tak tajnych danych 21-letniemu żołnierzowi? To wykaże śledztwo. Pentagon podał, że analizuje kwestię ochrony materiałów niejawnych i aktualizuje listy dystrybucyjne. „Tu nie chodzi tylko o Departament Obrony. Tu chodzi o rząd USA – mówił rzecznik Pentagonu. – Mamy ścisłe protokoły, więc za każdym razem, gdy zdarzy się incydent, jest okazja, aby to przejrzeć i udoskonalić".

Z tym tylko, że w Stanach nie jest to problem nowy. Okazuje się, że poufne, tajne i ściśle tajne dokumenty są dystrybuowane wyjątkowo szeroko. Według informacji przedstawionych w 2019 r. Kongresowi (to najnowsze dostępne dane) uprawnienia do wglądu w dokumenty ściśle tajne miało wtedy 347 tys. osób, a w dokumenty poufne i tajne 616 tys. (rok wcześniej było to odpowiednio 231 tys. i 454 tys. osób).

Z cyfrowych śladów, jakie pozostawił „OG", a do których dotarły media, wynika, że nie miał on przekonań prorosyjskich. Jedną z niewielu rzeczy, jakie można o nim powiedzieć, jest to, że wydawał się podzielać nieufność wobec rządu, która panuje w środowiskach mocno prawicowych w USA. W grupie ↦

↦ graczy miał często prowadzić rozmowy o, jak to nazywał, „przekraczaniu granic" przez władze w Waszyngtonie. Twierdził, że rząd ukrywa prawdę na temat takich zdarzeń jak masakry z użyciem broni automatycznej, do których w USA dochodzi regularnie. Miał przekonywać, że władze federalne celowo do nich dopuszczają, by potem zabiegać o zwiększenie budżetów służb zajmujących się bezpieczeństwem.

Cytowany przez „Washington Post" członek grupy twierdzi, że „nie nazwałby go w żadnym stopniu sygnalistą". Za wyciekami raczej nie stała chęć alarmowania opinii publicznej o nadużyciach władzy, ale... no właśnie, co? Bezmyślność, arogancja czy próba udowodnienia własnej ważności?

Gdy sprawą zajęły się media, w pożegnalnej (jak się okazało) wiadomości dla członków grupy „OG" pisał, że czuje się „zagubiony" i „świadomy konsekwencji", a także „niepewny, co robić w tej sytuacji". Miał prosić o skasowanie ujawnionych zdjęć. Za późno.

Mądrość po szkodzie

„Intryguje mnie fenomen małych precyzyjnych wycieków – mówił magazynowi „Wired" Dan Mayer, prawnik i były śledczy specjalizujący się w sprawach związanych z sygnalistami. – Wykorzystywanie strategicznych wycieków od dawna było metodą stosowaną przez wysokich rangą urzędników, ale teraz problemem jest technologia: telefony umożliwiające dystrybucję takich dokumentów na sposoby, których rząd nie przewidział".

– Jest proste rozwiązanie problemu: wystarczy zakazać drukowania poufnych dokumentów – mówi „Tygodnikowi" były wysoki rangą urzędnik Białego Domu, specjalizujący się w cyberbezpieczeństwie, wskazując, że wielu urzędników czy generałów wciąż woli dostawać raporty na papierze, przez co trudno zapewnić, że nie wpadną w ręce niepowołane. – Trzeba powiedzieć im jasno: panie generale, czas przerzucić się na laptopa.

Nasz rozmówca zaznacza, że nie pierwszy raz ten problem pojawia się w administracji USA. Kilkanaście lat temu tajne dane były dostępne w zabezpieczonych przez kontrwywiad pomieszczeniach na komputerach niepodłączonych do internetu. Tyle tylko, że początkowo nikt nie wpadł na to, aby wyłączyć ich porty USB. A to pozwalało na swobodne kopiowanie tajnych dokumentów na pendrive'y. – Jednocześnie nikt nie przeszukiwał wychodzących z takich pomieszczeń, bo założono, że jeśli ktoś ma dostęp do tajnych akt, to przecież nie zrobi niczego głupiego – mówi nasz rozmówca.

Ostatecznie wszystkie porty USB wyłączono.

Operacja dezinformacja?

Jest jeszcze jedna interpretacja: wycieku nie było, a Teixeira był narzędziem służb, świadomym bądź nie.

Władze USA zapewniają wprawdzie, że sprawę traktują poważnie i trwają „międzyagencyjne działania, które mają ocenić wpływ wycieku na bezpieczeństwo narodowe USA, naszych sojuszników i partnerów". Warto jednak zapytać: czy ujawnione dane faktycznie są dla USA problemem? Informacje o podsłuchiwaniu sojuszników mogą powodować zgrzyty w relacjach z partnerami (choć np. kancelaria prezydenta Korei Południowej szybko ogłosiła, iż zarzuty o podsłuchiwaniu rządowej narady są „zupełnie nieprawdziwe"). Większość informacji dotyczy jednak sojuszników, których administracja USA niezbyt lubi (El-Sisi, Erdoğan czy Netanjahu) i chętnie wywrze na nich presję.

Można zadać też pytanie, na ile wiarygodne są informacje o słabościach ukraińskiej armii. Przekonanie wroga o własnych bolączkach to taktyka stara jak „Sztuka wojny" Sun Tzu. Wiadomo, że Ukraińcy są wyczerpani, ale czy dokumenty przedstawiają ich faktyczne słabości, czy tylko ich iluzję? Rosyjscy blogerzy wojskowi uprzedzają, że wyciek może być operacją dezinformacyjną.

Sami Ukraińcy nie wydają się poruszeni wyciekiem. Oficjalnie doradca prezydenta grzmi, że dokumenty mają się nijak do planów Ukrainy. Ale anonimowi urzędnicy z Kijowa cytowani przez „Washington Post" wzruszają ramionami. „Wszyscy wiedzą, że mamy mało amunicji. Prezydent i minister obrony mówią o tym otwarcie – przyznaje jeden z nich. – Od listopada było dla wszystkich oczywiste, że następna kontrofensywa skupi się na południu, najpierw na Melitopolu, a następnie na Berdiańsku, ale dokładne miejsce możemy zmienić na tydzień przed rozpoczęciem operacji".

Bez względu na to, ile zamieszania wywołają jeszcze ujawnione dokumenty, oskarżenie Teixeiry i jego ewentualny proces, oceniając tę sprawę warto kierować się zasadą prawa rzymskiego: *Is fecit, cui prodest.* Ten zrobił, komu to przyniosło korzyść.

O ile ten ktoś w ogóle się nad tym zastanawiał.

© AGATA KAŹMIERSKA, MICHAŁ GIKOWSKI

Gracze postrachem kontrwywiadu

UJAWNIENIE tajnych amerykańskich dokumentów na forach internetowych, gdzie gromadzą się miłośnicy gier komputerowych, nie powinno być zaskoczeniem. W ostatnich latach kilkakrotnie były one źródłem bólu głowy dla władz USA. A powodem ujawnienia tajemnic były często... kłótnie graczy. Dziś najlepszym źródłem poufnych informacji w sieci wydają się fora popularnej gry „War Thunder" (jej uczestnicy mogą prowadzić pojedynki za pomocą odwzorowanych realistycznie czołgów, samolotów czy okrętów). W styczniu tego roku jeden z graczy udostępnił poufne dokumenty dotyczące myśliwców F-16. Dzień później inny gracz podzielił się systemami uzbrojenia F-15. Wcześniej, w lipcu 2021 r., na fora trafiła instrukcja obsługi brytyjskiego czołgu Challenger 2, a trzy miesiące później podobny dokument o francuskim czołgu Leclerc. Jednak nie tylko zachodni gracze wykazują się niefrasobliwością: w czerwcu 2022 r. użytkownicy mogli sobie poczytać tajną dokumentację dotyczącą chińskiej amunicji. Administratorzy starają się usuwać niejawne materiały na bieżąco, ale mają ciężkie zadanie. Problemem nie jest to, że użytkownicy ujawniają poufne dokumenty z motywów politycznych – zwykle publikują je tylko, by wygrać internetową kłótnię z nieznajomym.

© AK/MG

FERENC ISZA / AFP / EAST NEWS

Rządowe billboardy przekonują, że kłopotom gospodarczym Węgier winne są „brukselskie sankcje". Budapeszt, październik 2022 r.

Co się dzieje z Węgrami

ANDRZEJ SADECKI

Pod rządami Orbána Węgry stały się najsłabszym ogniwem Zachodu. Są dziś przystanią dla wszystkich, którzy krytykują pomoc dla Ukrainy.

Premier Węgier jest konsekwentny. „Zamierzam kontynuować współpracę gospodarczą z Rosją i to samo radzę całemu Zachodowi" – mówił Viktor Orbán w lutym, niemal równo w rocznicę rosyjskiej inwazji na Ukrainę.

W ostatnim roku Węgry stale oddalały się od głównego nurtu Zachodu. Owszem, podpisywały się pod przyjmowanymi w Unii Europejskiej i NATO deklaracjami potępiającymi rosyjską agresję. Mimo wahań i prób ich rozwodnienia, ostatecznie poparły też 10 pakietów unijnych sankcji na Rosję. Ale równocześnie utrzymały bliskie relacje z Kremlem i nie pomagały militarnie Ukrainie.

Inaczej niż pozostałe państwa Europy Środkowej, przechodzące przyspieszoną dywersyfikację, nie ograniczyły też importu rosyjskiego gazu i ropy (tymczasowo dostawy nawet się zwiększyły). Podczas gdy kraje regionu, od Estonii po Bułgarię, stały się orędownikami wsparcia dla Ukrainy, często wychodzącymi przed szereg w sferze pomocy wojskowej, Węgry nie dały jej ani jednego naboju. Budapeszt razem z Turcją opóźnił o wiele miesięcy wejście Finlandii do NATO i wciąż nie ratyfikował członkostwa Szwecji.

Drobne przysługi

Władze węgierskie drwią sobie z izolacji dyplomatycznej Rosji. W miniony wtorek 11 kwietnia minister spraw zagranicznych Péter Szijjártó po raz trzeci od początku inwazji odwiedził Moskwę, a kolejnego dnia przyjął w Budapeszcie swojego białoruskiego odpowiednika. Była to rewizyta: wcześniej, w lutym, Szijjártó był w Mińsku – jako pierwszy tej rangi polityk z unijnego państwa obecny na Białorusi od stłumienia przez reżim Łukaszenki protestów w 2020 r.

Węgierski szef dyplomacji pojawił się w Mińsku pięć dni po skazaniu Andrzeja Poczobuta na kolonię karną o zaostrzonym rygorze – podczas konferencji prasowej nawet nie zająknął się o więźniach politycznych, których jest tam już co najmniej półtora tysiąca.

Węgry nie są wprawdzie w stanie zmienić polityki Zachodu wobec Putina, ale dają Rosji asumpt do podważania jedności Unii i NATO. Wyświadczają też jej drobne przysługi: np. doprowadziły do tego, że z listy sankcyjnej skreślono moskiewskiego patriarchę Cyryla, który popiera atak na Ukrainę i błogosławi żołnierzy jadących na front.

Coraz większe uwikłanie

Taka polityka jest pochodną głębokiego uwikłania Węgier we współpracę z Rosją w ostatnich latach.

Przed dekadą Orbán kalkulował, że zacieśnienie relacji z Moskwą da mu dodatkowe korzyści: zapewni tanią energię dla węgierskiej gospodarki, a politycznie dodatkowe narzędzie w narastających sporach z partnerami zachodnimi. Jako polityk skłonny do podejmowania ryzyka, nie zważał na sygnały ostrzegawcze i parł do zbliżenia z Moskwą, zakładając, że bezpieczeństwo i tak zapewnia mu członkostwo w Unii i NATO.

Ani aneksja Krymu i wojna w Donbasie, ani agresywne działania Kremla wobec sojuszników Budapesztu, ani nawet ↦

↦ agenturalne działania Rosjan na Węgrzech nie zachwiały tą polityką. Rząd Orbána konsekwentnie dążył do realizacji uzgodnionej w 2014 r., choć opóźnionej o wiele lat rozbudowy elektrowni jądrowej w Paks przez rosyjską spółkę Rosatom. Wspierał rosyjskie projekty budowy gazociągów omijających Ukrainę (w tym ukończony w 2020 r. TurkStream).

Z czasem stosunki zaczęły wykraczać poza energetykę. W 2019 r. z Moskwy do Budapesztu przeniósł się Międzynarodowy Bank Inwestycyjny, sięgający korzeniami jeszcze czasów RWPG i zwany „bankiem szpiegów" (jego rosyjscy pracownicy mają paszporty dyplomatyczne). Dwa lata później Węgry jako jedyne unijne państwo kupiły nieatestowaną w Unii szczepionkę Sputnik przeciw koronawirusowi.

„Nie nasza wojna"

Gdy Rosja szykowała się do inwazji i podsycała kryzys energetyczny w Europie, szef MSZ Węgier podpisywał w Moskwie 15-letni kontrakt na dostawy gazu, a rok 2021 określił jako najlepszy rok w historii stosunków dwustronnych. Zwieńczony zresztą odznaczeniem Pétera Szijjártó rosyjskim Orderem Przyjaźni.

Sam Orbán kilka tygodni przed inwazją odwiedził Moskwę, a atak na Ukrainę miał być dla niego – jak donosiły przecieki prasowe – dużym zaskoczeniem. I poważnym problemem w polityce wewnętrznej, bo trwała właśnie kampania wyborcza. Krytyka jego prorosyjskiej polityki mogła dać wiatr w żagle opozycji. Orbán jednak szybko się otrząsnął i przeszedł do kontrofensywy z argumentem, że to „nie nasza wojna" oraz że tylko on jest w stanie uchronić Węgry przed uwikłaniem w ten konflikt.

Po wyborach nie zmienił stanowiska, choć spodziewano się, że gdy już (znowu) wygra, dokona korekty polityki zagranicznej. Szijjártó – symbol zbliżenia z Rosją – pozostał na stanowisku, a ministrem obrony został Kristóf Szalay-Bobrovniczky, były dyplomata i biznesmen, wcześniej robiący interesy z Rosjanami (miał udziały w węgiersko-rosyjskim joint venture produkującym wagony kolejowe dla Egiptu). To, co wydawało się największym obciążeniem, Orbán znów próbuje przekuć w atut w polityce wewnętrznej i zagranicznej.

Siła propagandy

Po wyborach rząd musiał skonfrontować się z budżetem nadwątlonym przez kampanię i fatalnymi wskaźnikami gospodarczymi. Winą za to Orbán obarczył unijne sankcje wobec Rosji. Gdy jesienią 2022 r. byłem w Budapeszcie, stolica przypominała ponurą dystopię, w której doszło do pomieszania pojęć. Na billboardach i słupach reklamowych wisiały masowo zdjęcia bomb z podpisem: „Brukselskie sankcje nas niszczą". Tę akcję propagandową władze prowadziły w chwili, gdy Ukraina cierpiała pod atakami na infrastrukturę energetyczną. Jednak w narracji władz to Węgry były ofiarą, ze względu na koszty sankcji.

Kolejnym elementem kampanii były „konsultacje narodowe" – do wszystkich dorosłych rozesłano kwestionariusz z pytaniami. Tendencyjnie ułożone, sugerowały odrzucenie sankcji, nie wyjaśniając, dlaczego zostały nałożone. Wypełnił je tylko najtwardszy elektorat Fideszu, partii Orbána (ok. 1,4 z 8,2 mln uprawnionych), co nie przeszkodziło rządowi argumentować, że stoi za nim cały naród. Niemniej te działania przynoszą z perspektywy władz pożądany efekt: od grudnia do marca odsetek tych, którzy uznają sankcje za przyczynę drożyzny, wzrósł z 47 proc. do 63 proc., a tych, które winią za to rząd, spadł z 74 proc. do 65 proc.

„Potyczka słowiańskich narodów"

Do tego dochodzi dyskredytowanie rywali politycznych, których politycy Fideszu określają ostatnio mianem „dolarowej opozycji". Podczas gdy wiele państw Europy – choć z wieloletnim opóźnieniem – zaczęło walczyć z rosyjską agenturą i propagandą, węgierskie służby specjalne zajmują się np. opracowaniem raportów o „wpływach amerykańskich na węgierską politykę" – po to, aby następnie nagłaśniać je w mediach. Od lutego 2022 r. z Węgier nie wydalono ani jednego rosyjskiego dyplomaty.

W prorządowych mediach bezrefleksyjnie przedrukowuje się depesze rosyjskich agencji prasowych (pracujących w reżimie propagandy wojennej) i publikuje teksty otwarcie antyzachodnie, pełne teorii spiskowych. Opozycja jest zbyt słaba i ma za mały dostęp do mediów, by skutecznie przypomnieć analogie między obecną wojną w Ukrainie a tłumieniem przez Sowietów węgierskiego powstania z 1956 r. i wstrząsnąć sumieniem Węgrów.

Co więcej, wielu wydaje się przyjmować narrację Orbána, że wojna za wschodnią granicą to nie „starcie dobra i zła", lecz potyczka dwóch słowiańskich narodów, wobec której należy zachować dystans. W przekonywaniu do tego obywateli pomaga mu fakt, że Węgry od kilku lat toczyły spór z Ukrainą na temat praw mniejszości węgierskiej na Zakarpaciu.

W duchu Kremla

Swój przekaz Orbán adresuje nie tylko do Węgrów – znów walczy o europejski „rząd dusz". Chce powtórzyć manewr z kryzysu migracyjnego w 2015 r. Wówczas był rzecznikiem twardego podejścia do ochrony granic, niestroniącym od haseł zarezerwowanych wcześniej dla skrajnej prawicy.

Orbán stał się wtedy istotnym punktem odniesienia w dyskusji o polityce migracyjnej, skonsolidował Grupę Wyszehradzką wokół sprzeciwu wobec tzw. kwot uchodźczych, zyskał popularność w kręgach Partii Republikańskiej w USA. Ze względnej izolacji – od przejęcia władzy w 2010 r. Orbán był coraz częściej kojarzony z problemami z praworządnością i oligarchizacją władzy – powrócił do gry. Dziś odwołuje się do obecnych na Zachodzie obaw przed eskalacją wojny i jej skutkami dla europejskiego dobrobytu.

Narracja Orbána o wojnie nie jest otwarcie prorosyjska, choć jego argumenty nierzadko pokrywają się z przekazem Kremla. Choć zaznacza, że nie akceptuje agresji Rosji na Ukrainę, to ostrze krytyki kieruje przeciw państwom zachodnim – one mają ulegać „histerii wojennej", to one ponoszą odpowiedzialność za to, że do rosyjskiej inwazji doszło. Orbán stara się oprzeć oś sporu w Europie na podziale między „obozem wojny" (tj. krajami pomagającymi Ukrainie) a „obozem pokoju" (zachowującym neutralny stosunek do wojny).

Kreuje się na gołąbka pokoju, jedyny obok Watykanu głos w Europie za powstrzymaniem wojny. Co w istocie ma odwrócić uwagę od tego, że postawa Węgier jest dziś odosobniona. Zresztą w ostatnim czasie Budapeszt zacieśnił relację z Watykanem: tam Orbán udał się z pierwszą wizytą po wyborach w 2022 r.

RUSSIAN FOREIGN MINISTRY PRESS SERVICE / AP / EAST NEWS

Minister spraw zagranicznych Węgier Péter Szijjártó podczas spotkania z ministrem Siergiejem Ławrowem. Moskwa, lipiec 2022 r.

(wcześniej pierwsze odwiedziny składał w Warszawie), a z końcem kwietnia papież Franciszek przyjeżdża na trzy dni do Budapesztu.

W białej garsonce

Jest to więc podobna próba przechwycenia narracji, co podczas kryzysu migracyjnego – choć za pomocą odwrotnych narzędzi. Wtedy Orbán sięgał po metaforykę wojenną (mówił o „inwazji" i „liniach obrony"), występował w polowym stroju, a na granicę wysłał wojsko. Ale gdy prawdziwa wojna przyszła do sąsiada, jego obóz mówi tylko o jak najszybszym zawarciu rozejmu i sprzeciwia się próbom przeciwdziałania agresorowi. Prezydent Katalin Novák z Fideszu występuje na forum międzynarodowym w białych garsonkach, aby podkreślić pokojowy wydźwięk tego przekazu. Mądrość etapu.

Po ataku Rosji na Ukrainę Orbán zakładał, że zwycięstwo Moskwy jest nieuchronne, ze względu na jej większy potencjał militarny. Sukcesy ukraińskiej obrony jak dotąd nie zachwiały tym przekonaniem. W marcowym wywiadzie dla szwajcarskiego „Weltwoche" mówił, że „nawet nie chce sobie wyobrażać, co by się stało, gdyby Rosja przegrała wojnę".

W efekcie Budapeszt stał się przyczółkiem dla tych na Zachodzie, którzy krytykują pomoc dla Ukrainy. Hołubiony przez Węgrów jest Tucker Carlson, gwiazdor Fox News i stronnik Trumpa. Orbán gości amerykańskich intelektualistów, którzy uważają, że to Zachód jest winny wojnie, np. Johna Mearsheimera (orędownika „realizmu" w stosunkach międzynarodowych) czy współtwórcę koncepcji transformacji w Polsce lat 90. Jeffreya Sachsa – dziś ostro krytykowanych i oskarżanych o prorosyjskość. Wspiera polityków, którzy sprzeciwiają się pomocy zachodniej dla Ukrainy, w tym byłego premiera Słowacji Roberta Ficę, faworyta wrześniowych wyborów w tym kraju.

Przeczekać osamotnienie

Jak dotąd Orbán ma jednak ograniczony wpływ na politykę Zachodu. Pomoc militarna – choć daleka od potrzeb – na Ukrainę płynie, Unia przyjmuje kolejne sankcje, do NATO dołączyła Finlandia, a wkrótce może i dołączy Szwecja. Orbán jest marginalizowany w polityce europejskiej, a nad gospodarką węgierską zbierają się coraz ciemniejsze chmury: w 2022 r. kraj miał najwyższą inflację w Unii, poziom zadłużenia wrócił do poziomu sprzed ponad dekady (kraj otarł się wtedy o bankructwo), a napływ środków unijnych został częściowo wstrzymany.

Od Węgier odwrócili się nawet najbliżsi partnerzy z Europy Środkowej. Stosunki na najwyższym szczeblu z Polską zostały zamrożone, a rozbrat z Warszawą wydaje się trwały, jeśli wziąć pod uwagę nastroje społeczne. Według niedawnych badań CBOS odsetek Polaków deklarujących sympatię do Węgrów spadł w ciągu roku z 57 proc. do 36 proc. i jest to w tym okresie najmocniejszy spadek popularności po Białorusinach i Rosjanach.

Zamiast Warszawy celem regularnych wizyt władz węgierskich stał się Belgrad – Orbán i Szijjártó są tam niemal co miesiąc. Pozostająca poza Unią i NATO Serbia tak jak Węgry kultywuje bliskie więzi z Rosją i Chinami oraz głęboki antyzachodni resentyment. Z kolei lukę po Grupie Wyszehradzkiej, która ograniczyła aktywność ze względu na różnice w sprawie wojny, Budapeszt próbuje zapełnić spotkaniami Rady Turkijskiej, zrzeszającej Turcję oraz kraje Kaukazu i Azji Centralnej (Węgry mają w niej status obserwatora). Kontakty takie mają jednak głównie wizerunkowe znaczenie – nie pomogą w negocjacjach w Unii.

Orbán wydaje się przede wszystkim grać na przeczekanie. Czeka na kres wojny rosyjsko-ukraińskiej, korzystniejszy układ po wyborach do Parlamentu Europejskiego w połowie 2023 r. i na odzyskanie kilka miesięcy później amerykańskiej prezydentury przez Republikanów, zwłaszcza tych spod znaku Donalda Trumpa.

Zdolny do korekty?

Doraźnie węgierski premier szuka oparcia tam, gdzie może zawiązać najcieńszą choćby nić porozumienia. Ostatnio znajduje je we Francji. Choć Orbán i Emmanuel Macron to politycy z zupełnie różnych bajek, od lat utrzymują zaskakująco dobre relacje – w marcu prezydent Francji zaprosił go na kolację w Pałacu Elizejskim. Orbán próbuje eksploatować francuską niechęć do USA i popiera postulat „suwerenności strategicznej" Unii, co dla niego oznacza oczywiście dalszą bliską współpracę z Rosją i Chinami. Węgrzy kuszą Francuzów tym, że rola ich firm w rozbudowie elektrowni jądrowej w Paks mogłaby wzrosnąć, a media spekulują nawet, że Francuzi mogliby zastąpić Rosatom. Tym bardziej że w minioną środę 12 kwietnia USA wprowadziły pierwsze sankcje na rosyjski sektor jądrowy.

Węgry wciąż mogłyby dokonać zwrotu w polityce wobec Rosji – infrastruktura energetyczna jest w rękach państwa, Budapeszt ma rozbudowaną sieć połączeń z sąsiadami, a po podjęciu takiej decyzji mógłby liczyć na wsparcie Unii i NATO. Pytanie jednak, czy Orbán jest wciąż zdolny do prozachodniej korekty. Czy jego otoczenie biznesowe nie przywykło zanadto do osobistych korzyści ze współpracy z Rosją? I czy z uścisku Moskwy – w którym sam dał się zamknąć – jest się w stanie jeszcze wyzwolić?

© ANDRZEJ SADECKI

NOC SIĘ ROZPRASZA

Wiedział, że żona i córka zginą, bo są Żydówkami. Razem podjęli decyzję o samobójstwie. Bytom Odrzański, gdzie Jochen Klepper się urodził, odkrywa dziś tego ewangelickiego pisarza.

MATEUSZ POJNAR

Pokojówka na drzwiach znajduje kartkę: „Uwaga, gaz!". Boi się, woła sąsiadkę. Wchodzą do środka, a oni już nie żyją. Hanni, żona Jochena, leży pośrodku, a po bokach Renate, ich przybrana córka, oraz Jochen.

Tuż przed śmiercią Klepper dokonuje ostatniego wpisu w dzienniku: „Po południu przesłuchanie na Gestapo. Umieramy więc. To także wola Boga. Dziś w nocy idziemy wspólnie na śmierć. Nad nami w ostatnich godzinach obraz błogosławiącego Chrystusa, który nas otacza. Pod jego spojrzeniem kończy się nasze życie". Wkrótce potem odkręcą gaz i wezmą tabletki nasenne.

Zdjęcie

O ostatnich chwilach Klepperów opowiada film z 2021 r., „Godzina cienia". W Polsce ich historia jest jednak słabo znana, choć Jochen urodził się w Beuthen an der Oder, Bytomiu Odrzańskim w Lubuskiem. Dużą pracę na rzecz upamiętnienia jego postaci w Polsce wykonało trzech ludzi: pastor Erich Busse, Marek Grzelka i Roman Penkała (dzięki wsparciu pastora Penkała opracował biogram pisarza na stronie biografie-niemieckie.pl).

Busse od ponad 50 lat działa na rzecz polsko-niemieckiego pojednania [zob. powszech.net/busse]. Ostatnio jeździ po Polsce z odczytem o losach pisarza i jego twórczości. Nazywa go „świadkiem wiary i miłości".

Grzelka napisał o Klepperze tekst dla „Tygodnika Krąg" ukazującego się w powiecie nowosolskim. Zaczęło się od przypadkiem znalezionego zdjęcia grupy ludzi. – Wiedziałem, że to Bytom Odrzański, nic więcej – wspomina. – Zaintrygowało mnie to zdjęcie, zacząłem szukać. Dowiedziałem się, że to zima 1910 r., a na zdjęciu jest rodzina Klepperów. Tak odkryłem Jochena.

Wszystko, co na ten temat znalazł, to rozproszone obcojęzyczne skrawki. – Jedno zdanie tu, dwa tam. Żmudny, wielotygodniowy research – wspomina. – Artykuł odbił się szerokim echem, nikt wcześniej chyba sylwetki Kleppera tak szczegółowo nie opisał w języku polskim. Tekst zaczął żyć własnym życiem, jest często cytowany. Dzięki temu poznałem zachwycające osoby, jak Erich Busse, który po tym artykule mnie znalazł.

Dziennikarz

Klepper urodził się 120 lat temu, 22 marca 1903 r. Ojciec, pastor ewangelicki, gdy chrzcił chłopca wodą z Jordanu, miał przytoczyć wers z Księgi Izajasza: „Nie bój się, bo cię wykupiłem, nazwałem cię twoim imieniem – moim jesteś".

W dzieciństwie lubił z rodzeństwem odgrywać scenki kukiełkowe. „O jego zamiłowaniu do aktorstwa wspominają też koledzy szkolni, z którymi od marca 1917 r. uczęszczał do ewangelickiego gimnazjum humanistycznego w Głogowie" – pisze Penkała i cytuje wspomnienie Wernera Grundmanna (opublikował je Martin Wecht w pracy o Klepperze): „Szczególnie kochał Szekspira i obaj – ja byłem przewodniczącym klasy – nakłoniliśmy naszego nauczyciela języka niemieckiego w ostatniej klasie gimnazjum, żeby zamiast wciąż omawianego Ludwiga Anzengrubera czytać Szekspira". Jochen miał znać „Hamleta" na pamięć. Już wtedy pisał pierwsze nowele i wiersze.

Maturę zdał w 1922 r. i wyjechał do Erlangen w Bawarii, by studiować ewangelicką teologię. Po dwóch semestrach przeniósł się na uniwersytet we Wrocławiu. Martin Rothe w opracowaniu o Klepperze pisze, że w wieku 23 lat myślał o samobójstwie. Był w złym stanie zdrowia, do tego dochodziła depresja i niezdecydowanie, co robić w życiu.

Harald Poelchau, jego kolega ze studiów, tak go wspominał: „Zauważyliśmy, że w odróżnieniu od nas był delikatniejszy, bardziej życzliwy dla innych, cichszy i bardziej wstydliwy. Przy tym wszystkim uważaliśmy go za bardziej dojrzałego, starszego i subtelnego. Ubierał się inaczej, nie chodził tak jak my w stylu ruchu młodzieżowego, z otwartym kołnierzem na wzór Schillera, lecz w garniturze z krawatem i kołnierzem... Jego mowa była wyszukana, chociaż chętnie używał niemieckiego rodzimego dialektu śląskiego".

Został dziennikarzem. Na początku redagował artykuły o literaturze i Kościele dla tygodnika „Unsere Kirche" („Nasz Kościół"). U Penkały czytam, że „jako socjalista religijny wstąpił do Socjaldemokratycznej Partii Niemiec (SPD) i w jej organie prasowym »Vorwärts« zaczęły się

MATERIAŁY PRASOWE

Jochen Klepper, Beuthen an der Oder, marzec 1937 r.

ukazywać od 1928 r. jego artykuły, eseje i reportaże »Życie dzieci 1932«".

Der Vater

Rok 1931 jest dla Kleppera kluczowy: żeni się z wdową Johanną Gerstel-Stein, dziennikarką, 13 lat od niego starszą. Hanni, tak ją nazywał, pochodzi z rodziny żydowskiej, jej rodzice prowadzą w Norymberdze salon mody. Do ich małżeństwa Hanni wnosi dwie córki, Renate i Brigitte.

Klepperowie zamieszkują w Berlinie. Jochen zaczął pracę w rozgłośni radiowej, ale szybko został zwolniony. Powód: małżeństwo z Żydówką. Antysemicka nagonka narasta.

W 1933 r. publikuje pierwszą powieść: „Łódź wesołych ludzi". Opisuje w niej nadodrzańskie życie. Beuthen an der Oder jest mu cały czas bliski.

Rok 1935 to ustawy norymberskie, kolejny krok Niemiec w stronę mroku. – Wprowadzały m.in. prawo, które umożliwiało łatwe zerwanie małżeństwa z Żydówką. Jednostronnie, bez sądu – przypomina Busse. – Kościoły, które od wieków walczyły z rozwodami, wtedy milczały. Tym milczeniem zdradziły Boga. A dla Jochena małżeństwo z Hanni było świętą obietnicą.

W 1937 r. publikuje powieść „Der Vater. Roman des Soldatenkönigs". Opowiadająca o „królu żołnierzy" Fryderyku Wilhelmie I Pruskim, staje się hitem i wynosi autora do rangi literackiej gwiazdy. ↦

↦ Wielu interpretuje „Ojca", jego największe dzieło, jako oskarżenie nazistów. – Pokazuje w nim hitlerowcom: tamten król zaprosił i przyjął tzw. uciekinierów wiary, m.in. przez co Prusy stały się silne gospodarczo. On był tolerancyjny, a wy? – tłumaczy Busse.

Pieśń

W 1937 r. Klepper zostaje usunięty ze zrzeszenia literackiego. Powodem znów jest pochodzenie żony.

W tym czasie tworzy też lirykę. Z czasem okaże się jednym z największych twórców pieśni kościelnych wieku XX. W 1938 r. wydaje zbiór „Kyrie".

Wielu szuka w jego pieśniach ukojenia, światła. W jednej, „Die Nacht ist vorgedrungen" (w wolnym przekładzie: „Noc się rozprasza"), pisze:

Noc się kończy.
Dzień wkrótce wstanie.
Gwieździe poranka
Śpiewajmy pieśń chwały.
Niech się przyłączy ten,
kto nocą płakał,
Bo Gwiazda zna i lęk, i ból.
(...)
Upłynie jeszcze wiele nocy
Na ludzkim cierpieniu i poczuciu winy,
Odtąd jednak towarzyszyć wam będzie
Gwiazda łaski Bożej.
Jej światło was opromieni
I ciemność nie będzie wami władać.
Boże oblicze przyniosło wam zbawienie.
(tłum. Erich Busse)

To najbardziej znana pieśń Kleppera. Busse: – On oczywiście wiedział, że niemożliwe jest życie bez błędów i grzechów. Ale pociechę niesie pewność, że z człowiekiem jest łaska Boża. Ta pewność dała mu siłę towarzyszyć ludziom, których kochał, w drodze na śmierć. Mnie daje siłę do życia każdego dnia.

Decyzja

W 1938 r. Hanni przyjmuje chrzest. Dla nazistów to nie ma znaczenia. Klepper coraz bardziej boi się o nią oraz o Renate. Żydzi w Niemczech nie mają już żadnych praw. Robi, co może, by je uratować.

W 1940 r. zostaje wcielony do wojska, ale rok później zostaje z niego zwolniony. Grzelka tłumaczy, że kolejny raz powodem było małżeństwo z Żydówką. Przez nie miał być „niegodny służby III Rzeszy".

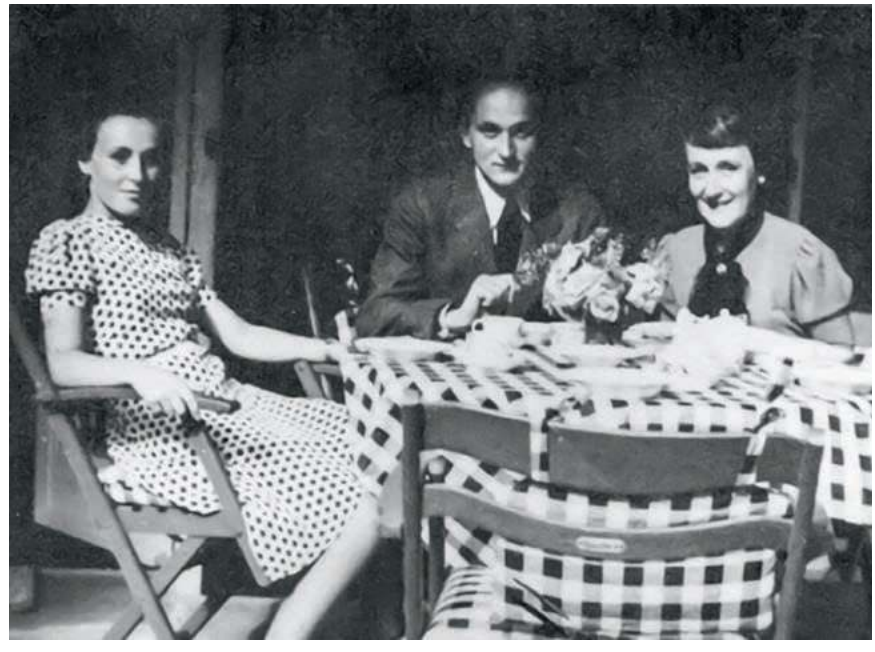

ARCHIWUM RODZINNE

Jochen Klepper z córką i żoną

Rok 1942. Pisarz zdaje sobie sprawę, że najbliższych czeka deportacja. Coraz częściej myśli o samobójstwie. Rozważa w dzienniku: „Wiemy, czym byłoby samobójstwo w naszym przypadku: potrójne morderstwo, nieposłuszeństwo wobec Boga, rezygnacja z cierpliwości, ucieczka od Bożego prowadzenia... Ale to nie jest niewybaczalny grzech przeciwko Duchowi Świętemu".

Próbuje szukać wsparcia u ministra spraw wewnętrznych Wilhelma Fricka, miłośnika jego powieści „Ojciec". Ten obiecuje pomoc, ale nic z tego nie wychodzi. Idzie więc do samego Adolfa Eichmanna, lecz nie dostaje zgody na wyjazd Renate z kraju. Brigitte, starsza córka, miała więcej szczęścia: wyjechała do Anglii tuż przed wybuchem wojny.

– Kiedy Eichmann zniszczył jego nadzieje, zdecydowali się razem iść na śmierć. Przed nimi podobnie postąpiły setki, może tysiące z tzw. małżeństw mieszanych – mówi Busse.

Jochen, Hanni i Renate popełniają samobójstwo 11 grudnia 1942 r.

– Jego los pokazuje, jak pojedynczego człowieka zmiażdżyła diabelska polityka Niemiec nazistowskich – mówi Grzelka. – Mnie fascynuje jego miłość do Hanni i przybranych córek. Klepper jednym gestem mógł uratować swoje życie. Ale wybrał miłość. Był idealistą, zakochanym także w Bogu. Cenię jego pieśni, bo Klepper kojarzy mi się z miłością: i do ludzi, i do Boga. To w nim wspaniałe. I ta szczerość, bezkompromisowość, siła ducha mająca wyższość nad doczesnością. Fascynująca postawa, wzruszająca i niepospolita.

Dzisiaj

Głogów, gdzie Klepper się uczył, uczcił rocznicę jego 120. urodzin. Cztery dni przed nimi, 18 marca, Towarzystwo Ziemi Głogowskiej, Glogauer Heimatbund e.V. i Miejski Ośrodek Kultury zorganizowały wieczór pamięci: prelekcje, muzykę i pokaz „Godziny cienia".

W Bytomiu Odrzańskim też przywrócono pamięć o nim: jesienią 2021 r. odbyła się msza ekumeniczna z okazji odsłonięcia tablicy poświęconej pisarzowi przy ul. Kościelnej 1 (na ścianie domu, w którym mieszkał). Erich Busse wygłosił wówczas kazanie.

„Stoję przed wami jako Niemiec tu, w tym bardzo starym kościele, ponieważ chcemy sobie przypomnieć urodzonego w tym mieście Jochena Kleppera – mówił Busse. – Mam świadomość, że jestem członkiem niemieckiego narodu, który przyniósł innym śmierć i Zagładę. W Polsce wiele miejsc pamięci przypomina o tym. Urodziłem się po wojnie, mógłbym powiedzieć: to mnie nie dotyczy. Ale znam słowa »Nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało, lecz duszy zabić nie mogą«. Próbuję pojąć, jak to było możliwe, że została popełniona tak wielka

zbrodnia. Było wielu przekonanych zwolenników Hitlera. Ale większość narodu niemieckiego bała się o swoje życie. I tak oni stali się narzędziem wojny i mordercami".

„Jego żona i córka miały zostać skierowane do obozu koncentracyjnego. Rodzina Klepperów wiedziała, że obozy są częścią hitlerowskiego przemysłu śmierci" – mówił pastor. I dalej: „Klepper mógł unieważnić swoje małżeństwo. Mógł uratować własne życie. Ale był głęboko wierzącym ewangelicznym chrześcijaninem. Podczas swojego ślubu w kościele przysięgał: »Dopóki śmierć nas nie rozłączy«. Dlatego razem z żoną i córką postanowił odebrać sobie życie".

Proces

Burmistrz Bytomia Odrzańskiego Jacek Sauter przekonuje, że chce pokazywać turystom, co w historii jego miasta istotne: – Prezentujemy wielkich bytomian. Bez względu na to, czy z czasów niemieckich, czy polskich. Każdy taki mieszkaniec jest dla nas ważny, bo tworzył historię miasta.

Sauter wpisuje tablicę Kleppera także w działania na rzecz pojednania polsko-niemieckiego. Ale nie wszystkim ten pomysł się spodobał. Dostał interpelację od kilku mieszkańców. Protestowali też na rynku przed odsłonięciem tablicy. – Mówili, że „promujemy Niemców, hitlerowców" – wspomina Sauter. – Uznaliśmy, że nie można zaniechać prac nad relacjami polsko-niemieckimi. Są ciągłym procesem. Kiedy w 2000 r. na cmentarzu odsłanialiśmy pierwszą tablicę poświęconą Klepperowi i wszystkim mieszkańcom przedwojennego Bytomia Odrzańskiego, nie było takich protestów. Wtedy to nie wywołało negatywnych emocji, wręcz spotkało się ze zrozumieniem.

W interpelacji było pytanie, czy skoro popełnił samobójstwo, to można mu stawiać tablicę. – To żaden argument – mówi burmistrz. – Tamte czasy były nieludzkie. Co musiało się dziać w ich głowach, gdy decydowali się na ten krok?

Erich Busse uważa, że postać Jochena Kleppera może łączyć Polskę i Niemcy: – Zasługuje na naszą pamięć. Urodził się w miasteczku, które dziś jest polskie. Droga do lepszej przyszłości, w pokoju i dobrym sąsiedztwie, otwiera się, gdy wzajemnie szanujemy naszą kulturę. Jeżeli chcemy takiej przyszłości, mamy jeszcze wiele do zrobienia. Ale i wiele możliwości.

© MATEUSZ POJNAR

Korzystałem z artykułu Marka Grzelki „Smutna historia życia syna bytomskiego pastora" („Tygodnik Krąg", 2017 r.) i biografii Kleppera opracowanej przez Romana Penkałę (www.biografie-niemieckie.pl).

Autor jest dziennikarzem „Tygodnika Krąg", który ukazuje się w powiecie nowosolskim koło Zielonej Góry.

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym w Kościerzynie toczy się postępowanie z wniosku Ireneusza Knutha z udziałem Gminy Stara Kiszewa w sprawie o sygn. akt I Ns 127/23 o zasiedzenie własności nieruchomości położonej w miejscowości Chwarzno, gmina Stara Kiszewa, powiat kościerski, o powierzchni 0,10 ha, oznaczonej numerem geodezyjnym 36/2, dla której w Sądzie Rejonowym w Kościerzynie prowadzona była księga dawna Chwarzno Karta 56. Wzywa się wszystkich następców prawnych Matheasa Kleinschmidt, Michaela Knuth i Josefa Zywickiego, wpisanych w tej księdze jako właściciele nieruchomości, aby w terminie 3 miesięcy od daty publikacji ogłoszenia zgłosili i wykazali swe następstwo prawne po nich pod rygorem rozpoznania sprawy bez ich udziału.

W Wydziale I Cywilnym Sądu Rejonowego w Bielsku-Białej do sygn. akt I Ns 557/22 toczy się sprawa z wniosku Mikołowskiego Banku Spółdzielczego w Mikołowie o stwierdzenie nabycia spadku po Jerzym Karolu Mrzygłód, synu Karola i Emilii, z domu Kwaśny, urodzonym 17 maja 1951 roku w Bielsku-Białej, a zmarłym 2 grudnia 2021 roku w ostatnim miejscu zwykłego pobytu w Bielsku-Białej, przy ulicy Tkackiej.

W związku z tym Sąd wzywa spadkobierców Jerzego Mrzygłód, aby w ciągu 3 (trzech) miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Wydziale I Cywilnym Sądu Rejonowego w Bielsku-Białej do sygn. akt I Ns 22/23 toczy się sprawa z wniosku Spółdzielni Mieszkaniowej „Strzecha" w Bielsku-Białej o stwierdzenie nabycia spadku po Jolancie Bożenie Łata, córce Karola i Janiny z domu Łukawska, urodzonej 8 kwietnia 1962 roku w Bielsku-Białej, zmarłej 2 października 2021 roku w Wilkowicach, a ostatnio mającej miejsce zwykłego pobytu w Bielsku-Białej. W skład spadku wchodzi spółdzielcze, własnościowe prawo do lokalu mieszkalnego w Bielsku-Białej przy ulicy Piastów Śląskich 2.

W związku z tym Sąd wzywa spadkobierców Jolanty Łata, aby w ciągu 3 (trzech) miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Wydziale I Cywilnym Sądu Rejonowego w Bielsku-Białej do sygn. akt I Ns 101/23 toczy się sprawa z wniosku kuratora spadku Janusza Wojtyły o stwierdzenie nabycia spadku po Jerzym Gluza, synu Antoniego i Katarzyny z domu Tarnawa, urodzonym 6.04.1936 r., zmarłym w dniu 3.01.2021 r., a ostatnio mającym miejsce zwykłego pobytu w Bielsku-Białej pod adresem ul. Karowa 5/11. W skład spadku wchodzi m.in. spółdzielcze, własnościowe prawo do lokalu mieszkalnego w Bielsku-Białej przy ulicy Karowej 5/11.

W związku z tym Sąd wzywa spadkobierców Jerzego Gluzy, aby w ciągu 3 (trzech) miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

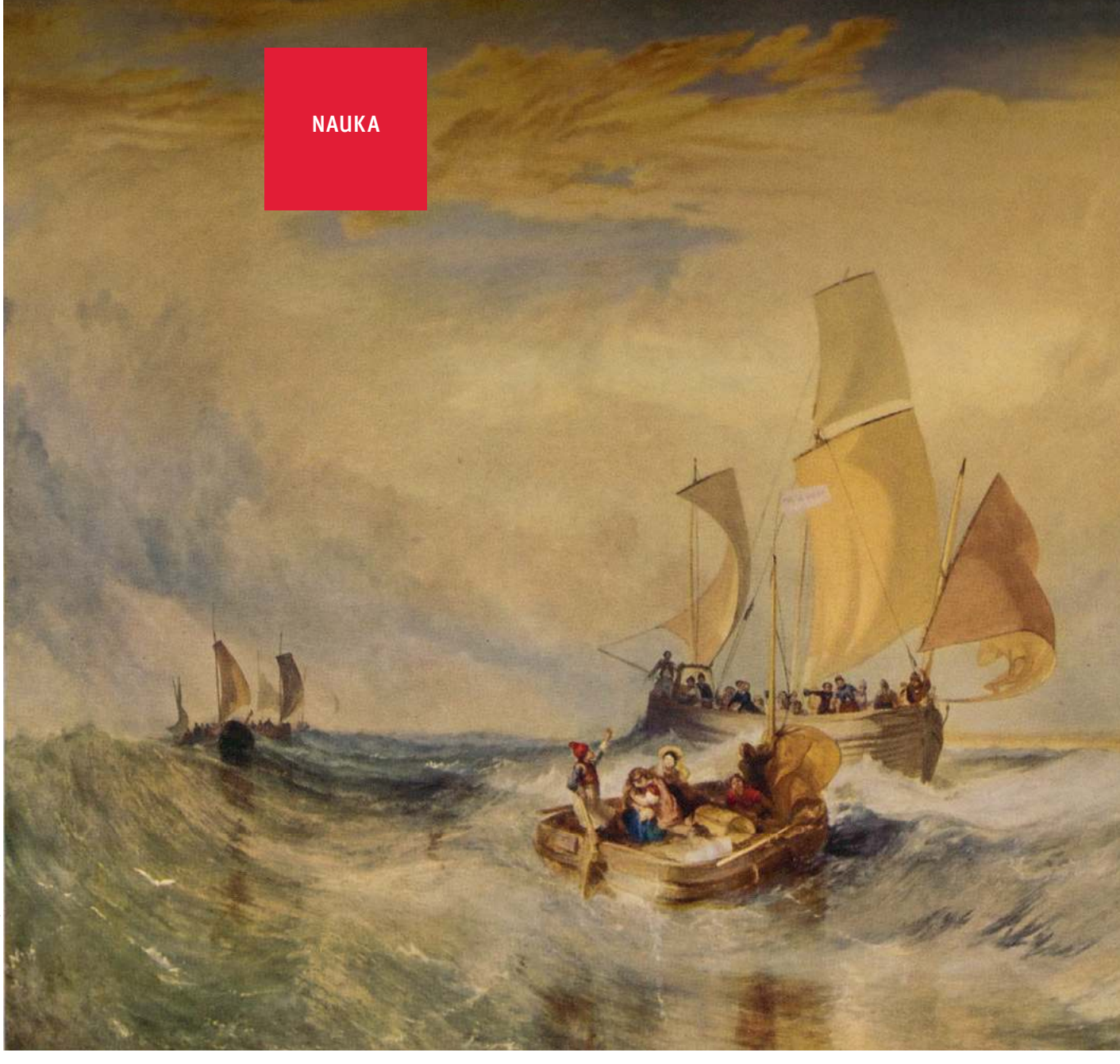

THE PRINT COLLECTOR / EAST NEWS

PO KOŃCU ŚWIATA

Erupcja superwulkanu Toba na Sumatrze była jedną z największych katastrof naturalnych w dziejach Ziemi. I największą, jaką przeżyła ludzkość. Zresztą, nadspodziewanie łatwo.

ŁUKASZ KWIATEK

74 TYSIĄCE LAT TEMU WIĘKSZOŚĆ LUDZI miała dobre powody, by sądzić, że kończy się świat. Gdyby ktoś chciał dojść do znacznie straszniejszego wydarzenia, musiałby się cofnąć aż o 66 mln lat, gdy wielka asteroida uderzyła w półwysep Jukatan i tak bardzo rozchwiała klimat, że niemal całkiem wyginęły dinozaury. Ale wtedy nie tylko nie było ludzi – nie było nawet jeszcze małp.

W ciągu następnych kilkudziesięciu milionów lat największe katastrofy naturalne nie nadciągały z kosmosu, tylko z wnętrza planety. Większość zdarzyła się, jeszcze zanim jakakolwiek populacja małp straciła ogon i zeszła z drzewa. Ale niektóre mogły wywrzeć wpływ na życie wczesnych ludzi.

Obraz Williama Turnera „Now for the Painter (Rope) – Passengers Going on Board" z 1827 r. Wybuch wulkanu Tambora i towarzyszące mu zjawiska atmosferyczne wpłynęły na styl tego artysty.

Trzy silne eksplozje wulkanu wstrząsnęły Ameryką Północną między 2,1 i 0,6 mln lat temu. W ich efekcie pół terenu obecnych Stanów Zjednoczonych pokryła warstwa popiołów. W miejscu, gdzie doszło do erupcji, znajduje się dziś park narodowy Yellowstone, słynny ze swych spektakularnych gejzerów: skorupa ziemska jest tu wciąż aktywna.

Podejrzewamy dzisiaj, że człowiek ewoluował pod wpływem zmieniającego się środowiska, które z kolei najsilniej reagowało na wahania klimatu. Erupcje wulkanu Yellowstone zdarzyły się wprawdzie z dala od miejsca, w którym żyli nasi przodkowie, ale musiały wpłynąć na klimat w skali globalnej. Czy pewne małpy weszły na drogę prowadzącą do człowieczeństwa właśnie z powodu wybuchu wulkanu w Ameryce? Taka myśl byłaby kusząca, ale nic nie wskazuje na to, że te konkretne erupcje wywołały zmiany długotrwałe, co najwyżej mogły doprowadzić do kilkuletnich zawirowań.

Wybuch wulkanu Toba na Sumatrze sprzed 74 tys. lat był silniejszy niż każda z erupcji Yellowstone, a w dodatku zdarzył się w miejscu od dawna zamieszkanym – i to przez więcej niż jeden gatunek człowieka. Jeszcze do niedawna wśród paleoantropologów panowało przekonanie, że to zdarzenie niemal doprowadziło do naszej zagłady.

Z piekła do raju

Dziś Toba bardziej przypomina tropikalny raj niż ogniste piekło. Po ogromnym wulkanie zostało jezioro – długie na 100 km, szerokie na 30 km i głębokie na ponad 400 metrów, największe na Sumatrze. Jego urokliwe brzegi porastają tropikalne lasy. Gdy przed 74 tysiącami lat doszło do erupcji wulkanu, powstała ogromna dziura (tzw. kaldera), która z czasem wypełniła się wodą, tworząc jezioro Toba. Z czasem wypiętrzyła się na jego środku wyspa Samosir. Co ciekawe, na znajdującym się na niej jeziorku Aek Natonang jest jeszcze wysepka o wymiarach 175 na 75 metrów – jedna z nielicznych znanych geografom wysp na jeziorze na wyspie na jeziorze na wyspie.

Spróbujmy sobie wyobrazić, co się wtedy właściwie stało.

Siłę erupcji wulkanów wyraża tzw. indeks eksplozywności wulkanicznej (VEI). Ta logarytmiczna skala (każdy kolejny stopień oznacza erupcję dziesięciokrotnie silniejszą) wyraża ilość wyrzuconej na powierzchnię materii wulkanicznej. Niektóre erupcje – zwane eksplozywnymi – są szczególnie gwałtowne: w powietrze wylatuje cały stożek wulkanu, uwalniając ogromne ilości pyłów, a także okruchy skał i zastygłej już lawy, które bombardują okolicę. Takie erupcje w największym stopniu oddziałują na przyrodę. Ich cechą są tzw. lawiny piroklastyczne – chmury rozgrzanego do ponad 800 stopni Celsjusza gazu i pyłu, pędzące z prędkością przeszło stu kilometrów na godzinę, które dosłownie gotują lub spalają wszystko, co napotkają na drodze. Przekonali się o tym m.in. mieszkańcy Pompejów, zniszczonych w 79 r. w wyniku wybuchu Wezuwiusza, który wyrzucił na powierzchnię ilość materii odpowiadającą ok. 3 kilometrom sześciennym litej skały.

Erupcja Wezuwiusza ma na skali VEI wartość 5, była więc około tysiąc razy słabsza od wybuchu superwulkanu Toba, który na skali VEI osiągnął 8. Najczęściej podaje się, że w jej wyniku doszło do wyrzucenia w ciągu kilku tygodni materiałów piroklastycznych odpowiadających prawie 3 tysiącom kilometrów sześciennych litej skały. Podobną objętość miałby sześcian o krawędzi długości 14 km. Według geologa Donalda Prothero, autora wydanej w 2018 r. książki „When Humans Nearly Vanished" („Gdy ludzie nieomal wyginęli"), przeszło dwie trzecie wyrzuconego przez Tobę materiału to lawa i ciężkie kawałki skalne, ale reszta materiału piroklastycznego dostała się do atmosfery w postaci pyłów.

To tak, jakby ktoś skałę o rozmiarach prawie 10 km na 10 km na 10 km zmielił na drobny pył i rozproszył to wszystko w powietrzu. Efekt? Pomińmy nawet to, że na ogromnym obszarze nie dało się oddychać. Zapylone powietrze przede wszystkim blokuje promieniowanie słoneczne, czyli sprawia, że Ziemia słabiej się nagrzewa. Działa więc przeciwnie jak gazy cieplarniane, które zatrzymują ciepło oddawane przez Ziemię w kosmos. I podobnie jak również uwalniany w erupcjach wulkanu dwutlenek siarki.

Rok bez lata

Porównajmy te liczby z największą erupcją eksplozywną, do której doszło w czasach historycznych, czyli z wybuchem w 1815 r. innego indonezyjskiego wulkanu – Tambory na Sumbawie. W swojej książce Prothero cytuje świadka tego zdarzenia, sir Thomasa Stamforda Rafflesa, jednego z dyrektorów Kompanii Wschodnioindyjskiej i założyciela miasta Singapur.

„Erupcja Tambory – pisał sir Thomas – zaczęła się 5 kwietnia, w najbardziej gwałtowną fazę weszła między 11 a 12 kwietnia i całkiem nie ucichła aż do czerwca. Odgłos wybuchu był słyszalny na Sumatrze, oddalonej o 1700 km w linii prostej, ↦

oraz na Ternate, oddalonej o 1300 km w przeciwnym kierunku. Spośród 12 tysięcy mieszkańców Sumbawy przeżyło zaledwie 26 osób. Potężne trąby powietrzne porywały ludzi, konie, bydło i wszystko, co stanęło im na drodze, wyrywały największe drzewa z korzeniami, aż całe morze zostało zawalone połamanym drewnem. Wielkie połacie terenu zostały pokryte lawą, której kilka potoków sięgnęło morza. (...) Pyły wulkaniczne zostały zaniesione na odległość 560 km w kierunku Jawy i 400 km w stronę Sulawesi. Na Jawie powietrze zrobiło się tak gęste od pyłu, że za dnia było ciemniejsze niż w najmroczniejszą noc. (...) Trzęsienia ziemi i inne efekty wulkaniczne występowały na obszarze, którego obwód wyniósł 1600 km i objął Moluki, Jawę, znaczną część Celebes, Sumatry i Borneo".

Konsekwencje tej katastrofy były globalne. Rok 1816 przeszedł do historii jako „rok bez lata". Globalna temperatura obniżyła się o ok. 0,7 stopnia. W letnich miesiącach w Ameryce Południowej i Europie sypał śnieg, a przymrozki zniszczyły uprawy. Zima, która później nadeszła, była wyjątkowo ciężka. Europę nawiedził głód, a w Ameryce wiele osób przenosiło się na południe. Najgorzej sytuacja wyglądała w Irlandii, gdzie epidemia tyfusu pochłonęła 100 tys. ofiar. Na całym kontynencie drugie tyle ludzi zmarło z niedożywienia i wywołanych nim chorób. W wielu krajach wygłodzeni mieszkańcy wszczynali zamieszki.

W powietrzu tygodniami zalegało coś, co nazywano „suchą mgłą". Było tak dużo pyłu, że można było patrzeć gołym okiem na słońce. Każdy mógł się wówczas przekonać, że Galileusz nie zmyślał, gdy 200 lat wcześniej doniósł, że na powierzchni słońca są ciemne plamy.

W Ameryce swój rodzinny stan Vermont musiał porzucić Joseph Smith, który kilka lat później, w Palmyrze, miał doznać objawienia i spisać Księgę Mormona.

Ponieważ doszło także do pomoru bydła i koni, dla których brakowało paszy, niemiecki wynalazca Karl Drais zaczął pracować nad niezwierzęcym środkiem transportu i skonstruował rower biegowy (pozbawiony pedałów, jeździło się na nim jak na hulajnodze).

Najbardziej znane są echa literackie erupcji Tambory: owego lata, które nie wyglądało jak lato, m.in. poeta Lord Byron i jego przyjaciele przebywali w Genewie, gdzie umilali sobie czas opowiadając straszne historie i komponując ponure dzieła. Takie jak poemat „Ciemność" Byrona, który w przekładzie Adama Mickiewicza zaczyna się tak:

„Miałem dziwny sen, może i nie całkiem senny! / Zdało mi się, że nagle zagasnął blask dzienny, / A gwiazdy, w nieskończoność biorąc lot niezwykły, / Zbłąkawszy się, olśnąwszy, uciekły i znikły, / Bez nadziei powrotu. Ziemia lodowata / Wisiała ślepa pośród zaćmionego świata. / Ranki weszły, minęły, ale dnia nie było; / I wszystkie namiętności zatłumiła trwoga. / Serce rodu ludzkiego jedną żądzą biło, / Cały ród ludzki prosił o jedno u Boga: / O światło...".

W tej grupie towarzyskiej znalazła się młodziutka Mary Shelley, która wpadła na wyjątkowo makabryczny pomysł i dwa lata później świat mógł przeczytać jej opowieść o doktorze Frankensteinie, ożywiającym prądem ludzkie zwłoki.

Erupcji Tambory przypisuje się tymczasem wartość 7 w skali VEI – oznacza to więc, że była ona dziesiątki razy słabsza od wybuchu Toby. Całkiem rozsądne wydaje się stawianie pytań o to, czy dla naszych przodków ogromna erupcja Toby także miała jakieś znaczenie kulturowe. Czy np. nie narodziły się wtedy jakieś mity lub wierzenia?

Erupcja Toby wyrzuciła na powierzchnię 3 tys. km sześciennych materii wulkanicznej. Jedna trzecia trafiła jako pył do atmosfery. **Średnia temperatura na Ziemi spadła o 3-5 stopni.**

Efekt wąskiego gardła

W paleoantropologii pojawiło się kilka hipotez związanych z erupcją Toby. Jedna z nich łączyła to zdarzenie z powstaniem tzw. kultury Still Bay z terenu dzisiejszej RPA, która wyróżniała się nowoczesnymi narzędziami kamiennymi, biżuterią wykonywaną z muszelek i stosowaniem w celach rytualnych czerwonego barwnika. Jednak związek narodzin tej kultury i erupcji Toby jest bardzo dyskusyjny. Już wcześniej ludzie przejawiali równie zaawansowaną kulturę. Znamy choćby dwukrotnie starsze przykłady wyrabiania biżuterii, a najstarsze intencjonalne pochówki mogą mieć ponad 100 tys. lat. Co więcej – antropolodzy musieliby też przekonująco wykazać, jaki był właściwie związek przyczynowy między globalnymi skutkami erupcji a nowymi narzędziami czy ozdobami. Sama zbieżność w czasie to mało.

Druga, bardziej znana, choć też już silnie kontestowana hipoteza łączyła wybuch Toby z czymś, co genetycy nazywają „efektem wąskiego gardła". Hipotezę tę postawiła dziennikarka magazynu „Science" Ann Gibbons. W 1993 r. opisała ona badania mitochondrialnego DNA, które wskazywały, że ok. 70 tys. lat temu doszło do znaczącego spadku zróżnicowania genetycznego w ewolucji człowieka.

Spadek różnorodności genetycznej w populacji jest ważnym sygnałem, który można wytłumaczyć np. tym, że znaczna część populacji nagle wymarła, zabierając do grobu wiele obecnych wcześniej w populacji wariantów genów. I właśnie tak pierwotnie zinterpretowano ten sygnał. Niektóre szacunki mówiły o tym, że przy życiu pozostało jedynie 1-10 tys. rozmnażających się par – i to właśnie ta grupa stanowi przodków wszystkich współczesnych ludzi.

Niektórzy antropolodzy przypuszczali, że ten spadek liczebności ludzi mógł mieć związek z ochłodzeniem się klimatu, które rozpoczęło się przeszło 74 tys. lat temu i trwało ok. tysiąc lat. Gibbons połączyła te obserwacje z nowymi wówczas doniesieniami o rozmiarach erupcji Toby, która, jak już wtedy uważano, sama doprowadziła do obniżenia średniej temperatury na Ziemi o 3-5 stopni – przynajmniej na kilka lat.

Ogromny wybuch wulkanu mógł więc nałożyć się na zapoczątkowany wcześniej epizod ochłodzenia klimatu i spotęgować jego efekty. Wielu ludzi w nowych warunkach miało sobie nie poradzić – i stąd ten drastyczny spadek liczebności *Homo sapiens*. Jeśli to prawdziwy scenariusz, wyjaśniałby on również, dlaczego w ciągu następnych 30-40 tys. lat nasi przodkowie całkowicie zastąpili inne populacje człowieka, które od setek tysięcy lat zamieszkiwały wtedy Eurazję (nean-

dertalczyków żyjących w Europie i na Bliskim Wschodzie, blisko z nimi spokrewnionych denisowian, wywodzących się z Azji, a także dziwacznych „hobbitów" z wysp Flores i Luzon). Czy wybuch Toby mógł na tyle przetrzebić te wszystkie populacje, że po prostu zrobił miejsce dla *Homo sapiens*, którzy jako pierwsi zdołali się z tego wszystkiego otrząsnąć?

Żyli długo i szczęśliwie

Według Donalda Prothero za takim scenariuszem mogą przemawiać badania genetyczne, świadczące o tym, że wiele innych gatunków zwierząt w tym samym okresie przeszło przez swoje „wąskie gardła" – m.in. gepardy, pandy wielkie, orangutany czy goryle. Z drugiej strony, spadek różnorodności genetycznej wcale nie musi oznaczać gwałtownego wymierania. Może być choćby śladem tzw. efektu założyciela, który występuje, gdy niewielka grupa osobników oddziela się od jakiejś populacji, a następnie szybko odbudowuje swoją liczebność. Dzisiaj coraz mniej badaczy wierzy już w to, że katastrofa Toby miała fundamentalny wpływ na naszą ewolucyjną historię.

Nikt oczywiście nie podważa jej rozmiarów i ogromu jej skutków. Wiemy, że spora część Azji została przysypana grubą na kilkanaście centymetrów warstwą pyłu pochodzącego z erupcji Toby. Niektóre szacunki mówią o tym, że popiół z Toby mógł opaść nawet na 14 proc. powierzchni globu. Znajdujemy go w Indiach, Chinach, nawet na Morzu Arabskim. Wiemy, że Toba musiała wywołać zimę wulkaniczną, choć badacze do dziś kłócą się o każdy stopień i każdy kolejny rok ochłodzenia.

W wyniku wybuchu Toby na pewno zginęło wiele osób – część z nich nie przetrwała nadciągających mrozów. Mnóstwo ludzi musiało być śmiertelnie przerażonych tym zdarzeniem. Wiele osób żyjących nawet daleko od Sumatry musiało ogłuchnąć. Jednak sporo argumentów przemawia za tym, że w ogólnym rozrachunku ludzkość poradziła sobie z tą katastrofą całkiem dobrze.

Nie ma np. żadnych śladów świadczących o tym, że katastrofa oddziałała w jakimkolwiek stopniu na neandertalczyków. Nic nie wskazuje na to, by ucierpieli mieszkańcy Afryki. W 2018 r. Chad Yost i współpracownicy ustalili, że roślinność w pobliżu jeziora Malawi nie odczuła zbytnio skutków zmian klimatycznych – wymrzeć z powodu oziębienia klimatu mogły tylko większe rośliny rosnące powyżej 1500 m n.p.m., ale z pewnością zostały szybko zastąpione przez trawy. Na mniejszych wysokościach życie powinno toczyć się w miarę normalnie. Nie mogło być więc tak, że całkowicie pozrywały się łańcuchy pokarmowe – że roślinożercy przestali mieć co jeść, a ludzie – na co polować. Zapis archeologiczny w Azji też się nie urywa po erupcji Toby – nie tylko w Indiach, jak ustalono w 2020 r. Znaleziono wówczas dowody na to, że w Dhaba w centrum subkontynentu ludzie żyli nieprzerwanie przed i po wybuchu Toby. Podobnie mogło być nawet w Indonezji. Zaledwie 300 km na południowy wschód od jeziora Toba w 2017 r. znaleziono zęby sprzed 73-63 tys. lat.

Co więcej, na wyspach Indonezji jeszcze kilkanaście tysięcy lat po wybuchu Toby musieli żyć „hobbici" (*Homo floresiensis*). Jeśli więc Toba przyczyniła się do wymierania innych gatunków ludzi, to nie było to wymieranie gwałtowne.

Według genetyka i paleoantropologa Johna Hawksa hipoteza głosząca, że Toba nieomal doprowadziła do wyginięcia ludzi, jest efektem braku odpowiedniej komunikacji między genetykami i geologami. Bo choć spadek różnorodności genetycznej u ludzi wystąpił, to tylko w bardzo dużym przybliżeniu pokrywa się czasowo z erupcją Toby. I lepiej wyjaśnia go prozaiczny efekt założyciela związany z migracją *Homo sapiens* z Afryki, a nie wielkie wymieranie ludzi. Ok. 60 tys. lat temu niewielka grupa naszych przodków – być może ok. 5-10 tys. rozmnażających się par – skolonizowała Eurazję. Nie była to pierwsza taka migracja *Homo sapiens*, ale ta była trwała. Poza rdzennymi mieszkańcami Afryki wszyscy dzisiejsi ludzie są potomkami tej populacji – i z tego powodu jesteśmy do siebie genetycznie tak bardzo podobni (mieszkańcy Afryki pozostają zaś najbardziej zróżnicowani).

Na pytanie o to, dlaczego nasi przodkowie tak szybko opanowali świat, musimy poszukać innej odpowiedzi. Ale ta historia ma pozytywne zakończenie: wygląda na to, że Ziemi naprawdę trudno się nas pozbyć.

©℗ ŁUKASZ KWIATEK

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

- **KATOWICE,** środa 26 kwietnia, spotkanie autorskie z dr. Rafałem Cekierą o książce „Uchodźcy, migranci i Kościół katolicki" / hybrydowe /
- **OGÓLNOKLUBOWE,** środa 26 kwietnia, spotkanie z Anitą Piotrowską, cykl „Piszą w Tygodniku" / online /
- **RZESZÓW,** czwartek 27 kwietnia, spotkanie autorskie z dr. Tomaszem Stawiszyńskim o książce „Reguły na czas chaosu" / stacjonarne /
- **ŁÓDŹ,** czwartek 27 kwietnia, spotkanie z Jadwigą Zalisz, Agnieszką Kaflińską i ks. Andrzejem Perzyńskim, „Ekumeniczne rozmowy o Biblii" / stacjonarne /
- **SŁUPSK,** piątek 28 kwietnia, spotkanie z dr. hab. Jerzym Sojką, „Marcin Luter – heretyk czy reformator?" / stacjonarne /

REZERWUJ CZAS!

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

Prawdziwe dziennikarstwo potrzebuje Twojego wsparcia naprawdę

1,5%

Inne sposoby na wsparcie:
powszech.net/dar

TYGODNIK POWSZECHNY

Przekaż 1,5% podatku Fundacji Tygodnika Powszechnego, która dba o suwerenność i rozwój „Tygodnika Powszechnego".

» KRS 0000 125 605

OGŁOSZENIE OPP

JACEK

Podsiadło:
Wyjątkowy stanik

Jak tylko Franklin powiedział, że rezygnując z wolności na rzecz bezpieczeństwa nie osiągnie się ani jednego, ani drugiego, ludzkość zaczęła główkować, ile też wolności warto by oddać za dwa kilo bezpieczeństwa, żeby się jednak kalkulowało. I przestać nie może. Także w Polsce, choć w naszej historii niewiele słów było wypisywanych na sztandarach tak chętnie jak „wolność" i niewiele budziło taką grozę jak słówko „bezpieczeństwo".

Nawet w Łomży. Pierwsze słowa zbiorowych „Rozważań o bezpieczeństwie" wydanych przez Wydawnictwo Wyższej Szkoły Agrobiznesu w Łomży brzmią: „Przedłożone Państwu opracowanie, stanowi varię zagadnień...", a podpisali się pod nimi dr Dariusz Brakoniecki i dr Roman Kordoński. Zmęczyłem tylko pierwszy rozdział, który nadzwyczajnie mnie zaciekawił tytułem „Prawa i wolności obywateli w stanach nadzwyczajnych". Autor zauważa w nim, że w varii niezbornych myśli stanowiących konstytucję podniesiono możliwość pozbawienia człowieka praw i wolności w stanie nadzwyczajnym, natomiast – literówki poprawiam – „pominięto konieczność zaniechania ograniczeń związanych z ochroną praw człowieka oraz obywatela", kiedy stan staje się na powrót zwyczajny. Zaraz się jednak uspokaja, że przecież „dostrzec można w powyższym pewną logikę wskazującą na to, że w sytuacji jak najszybszego przywrócenia normalnego działania państwa dochodzi jednocześnie do przywrócenia odpowiedniej i pożądanej ochrony prawa oraz wolności". Rzeczywiście, z przywracaniem jest tak jak z przewracaniem – jak nie ma potrzeby obalać tego, co chyli się ku upadkowi, tak samo głupio by było pisać o obowiązku przywrócenia tego, co się samo przywraca, miała matka syna i zdróweczko.

Kiedy państwo wysyła do człowieka bezpieczniaka z propozycją pozbawienia go wolności w zamian za „bezpieczeństwo", dzieje się coś podobnego jak wtedy, kiedy na parkingu przed Carrefourem podchodzi do mnie menel z varią przypilnowania mi auta na wargach. Zawsze odpowiadam, że to ja go przypilnuję, żeby mi auta nie pilnował. Niestety, propozycje ze strony państwa są propozycjami nie do odrzucenia. Kiedy około świętej granicy ojczyzny, tam gdzie ostatni raz mieliśmy mały stanik wyjątkowy, zaczepia mnie menel w mundurze, zabraniając mi schodzić na manowce, to jest to menel wyposażony przez ojczyznę w samopał, który niechybnie wypali, jeśli zaniedbam swoje bezpieczeństwo i udam się w kierunku przeciwnym do wskazanego mi.

Prawidłowa odpowiedź na pytanie „ile wolności kosztem bezpieczeństwa" brzmi: zero. Nie da się oddać części wolności. Wolność jest wartością absolutną i niepodzielną, jedną z tych, które mąż polski wymienia jednym tchem po dziewictwie: nie jest stopniowalna. Nie ma wolności „ograniczonej" czy „zawężonej", ograniczenie to już niewola. A że moja wolność kończy się tam, gdzie zaczyna się wolność drugiego, to niczego jej nie ujmuje, wcale jej nie zmniejsza. Mówię to, uprzedzając argumenty myślicieli z Łomży. Warto też powiedzieć im z góry, może nawet nieco wyniośle, że to, iż wolność jest wartością absolutną, nie oznacza, że wolno absolutnie wszystko, i niech się pozwoli gówniarzowi przyjść do szkoły z kolczykiem, to jakby tak wszyscy wszędzie mieli kolczyki, to co by to było pani kochana, niech żyje wolność, pod ten nowy płotek i oby nam się.

Nie da się oddać wolności tylko w części, ale też nie ma takiej potrzeby. Proletariusze wszystkich krajów, uczcie się, że nie ma wolności bez niebezpieczeństwa. Kto prawdziwie ją kocha, prawdopodobnie lubi też niebezpieczeństwo. A wolność i bezpieczeństwo to tak naprawdę ogień i woda, nie musimy ich na siłę godzić. Kto przesadnie dba o swoje bezpieczeństwo, staje się jego zakładnikiem, sam się pozbawia wolności. To nawet nasza specjalność: dać się zamknąć albo samemu się zamknąć w celi i filozofować nad „nieszczęsnym darem" wolności.

„To niezwykłe uczucie, trudne do opisania... Kiedy nie wiadomo, co cię czeka za godzinę, jutro albo za tydzień, to jest przerażające i jednocześnie wyzwalające" – powiedział Edward Snowden, wielki ratownik wolności jednego z tych pamiętnych dni, których dziesiątą rocznicę będziemy wkrótce obchodzić. Oczywiście nie jest też tak, że im więcej niebezpieczeństwa, tym lepiej. Nie sprowadzajcie każdego trzeźwego zdania *ad absurdum*, drodzy łomżanie, bo obudzicie się w Absurdystanie. Służby bezpieczeństwa pozbawiają człowieka wolności albo zabraniając mu stawić czoła niebezpieczeństwu (zakaz przebywania, przymusowa bezczynność), albo zmuszając go do stawienia czoła niebezpieczeństwu w sposób, który uznają za stosowny (obowiązek przebywania, branka itp.). Tymczasem człowiek wolny stawia czoła niebezpieczeństwu w sposób, który sam uznaje za najlepszy i najbardziej adekwatny do sytuacji i własnych możliwości.

Wolność kocham i wydaje mi się, że rozumiem, wolności ani kawałeczka oddać nie umiem. A za „bezpieczeństwo" bardzo państwu dziękuję, już ci mówiłem, menelu. ©

OGŁOSZENIA WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego, nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

MATERIAŁY PRASOWE METROPOLITAN MUSEUM X3

Stela z wizerunkiem boga Wisznu, XI w.

AFERA NEPALSKA

W jednym z najsłynniejszych muzeów świata do niedawna eksponowano rzeźby zrabowane ze świątyń Katmandu. Problem zwrotu skradzionych dzieł sztuki dopiero się rozkręca.

MAGDALENA ŁANUSZKA

Kiedy słyszymy hasło „sztuka zrabowana” lub „dzieła utracone”, najczęściej na myśl przychodzi nam II wojna światowa i grabieże dokonywane przez niemieckich okupantów, a następnie przez Armię Czerwoną. W większości przypadków, gdy dziś udaje się namierzyć jakiś obiekt wówczas wywieziony, uważa się za oczywiste, że musi on wrócić do pierwotnego właściciela – choć niestety np. Madonna z kolegiaty w Głogowie, autorstwa Lucasa Cranacha Starszego, wciąż pozostaje w Muzeum Sztuk Pięknych im. Puszkina w Moskwie (zob. **powszech.net/podroz-madonny**).

Wydawać by się mogło, że czołowe instytucje świata zachodniego podchodzą dziś poważnie do badania pochodzenia dzieł ze swych kolekcji. Jeśli chodzi o europejskie straty wojenne – być może to prawda. Niestety okazało się, że nie dotyczy to np. dzieł azjatyckich, i to zrabowanych całkiem niedawno.

The Met na celowniku

Od kilku miesięcy skandale narastają wokół słynnego The Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku. W 2022 r. The Met zwróciło władzom Nepalu dwie rzeźby: kamienne przedstawienie Sziwy (Śiwy, jednego z najistotniejszych bóstw hinduizmu) z X w., skradzione tuż przed 1995 r., oraz XIII-wieczny drewniany rzeźbiony wspornik przedstawiający Śalabhandźikę (nimfę jakszi, związaną z kultem przyrody i płodności), skradziony ok. 1984/1985 r. Obie pochodziły ze świątyń Katmandu, czyli z samej stolicy Nepalu. Obie były darami rodziny Kossaków (jedna z 1995, druga zaś z 1991), lecz oficjalna notka prasowa na stronie muzeum dotycząca owego zwrotu (**powszech.net/met**) przemilcza nazwisko darczyńców. Trzecim problematycznym dziełem z tego samego źródła jest stela z XI w., z wizerunkiem boga Wisznu, skradziona z Nepalu w połowie lat 80. XX w., a podarowana The Metropolitan Museum of Art przez Stevena Kossaka (czy też formalnie – przez Evelyn Kossak) w roku 1995. Ten obiekt również zostanie wkrótce zwrócony.

Internetowa baza kolekcji The Met zawiera jednak jeszcze ponad 250 dzieł podarowanych lub przekazanych w depozyt przez Kossaków. Znakomite podsumowanie sytuacji opublikował Zachary Small w serwisie ART News zaznaczając, że problem zwrotu skradzionych dzieł sztuki z The Met dopiero się rozkręca. Jest jeszcze jeden bulwersujący aspekt tej sprawy – ów Steven Kossak, kolekcjoner-darczyńca, był przez 20 lat... pracownikiem The Metropolitan Museum of Art!

Tajemniczy Kossakowie

O Stevenie Kossaku w tekście Smalla przeczytamy jedynie, że pochodzi z bogatego domu; azjatyckie dzieła sztuki zaczął kolekcjonować w latach 70. XX w. W 1986 r. otrzymał pracę badacza niższego szczebla w The Metropolitan Museum of Art i dość szybko wspiął się na stanowisko kuratora w oddziale sztuki azjatyckiej. Studia z historii sztuki ukończył późno, bo w wieku 36 lat. Trudno powiedzieć, na ile w karierze pomogło mu darowywanie (lub przynajmniej składanie w depozyt) swemu pracodawcy zakupionych prywatnie dzieł sztuki. Choć Kossak zakończył pracę w muzeum w 2006 r., jego relacja z The Met nie została zerwana; nadal współorganizował wystawy i brał udział w publikacji katalogów.

W kolekcji The Metropolitan Museum of Art znajdują się obiekty opisane jako dary „John and Evelyn Kossak Foundation”, dary „John and Evelyn Kossak, The Kronos Collections”, ewentualnie dary samej Evelyn Kranes Kossak lub dary Stevena Kossaka, The Kronos Collections. Jest tego naprawdę dużo – a internetowe rekordy nie podają przy tych dziełach żadnej proweniencji poza informacją, że przed podarowaniem obiekt należał do darczyńcy. W muzealnych dokumentacjach historię dawnych dzieł sztuki opisuje się inaczej. O ile darczyńca żyje, musi wiedzieć, skąd dane dzieło sztuki wzięło się u niego. Nawet jeśli nie chcemy ujawniać personaliów poprzednich właścicieli, pisze się „zakupiony [data] z prywatnej kolekcji w [miejsce]”. Jeśli dzieło jest odziedziczone – to się też zaznacza (pisząc np., że obiekt był w rodzinnej/ /prywatnej kolekcji, dziedziczony, od któregoś stulecia). No i jednak, o ile to tylko możliwe, należałoby spróbować ustalić, skąd dokładnie pierwotnie dzieło pochodziło – i w ten właśnie sposób często ujawnia się, że mamy do czynienia z dobrem zrabowanym.

Co ciekawe, o samych Kossakach w internecie właściwie niczego nie znajdziemy. Nie ma biogramów; nazwisko Evelyn Kossak (lub Evelyn Kranes Kossak) pojawia się przede wszystkim w licznych wzmiankach odnośnie do podarowanych przez nią dzieł z The Met. Ponadto liczne są wzmianki o naukowcach korzystających z ufundowanych przez nią grantów, z tytułem Evelyn Kranes Kossak, profesor historii sztuki w Hunter College; oprócz tego na stronie kossakpainting.org znajdziemy opis różnych projektów dla artystów oraz naukowców (Kossak Painting Fellowship, Kossak Travel Grants, Kossak Painting Supplies, Kossak Special Projects) z bardzo krótką notką, iż Kossak Painting Program powstał dzięki szczodremu darowi dla Hunter Foundation od Evelyn Kranes Kossak. O życiorysie fundatorki nie ma jednak ani słowa.

Z zapisu proweniencji jednego z dzieł w The Metropolitan Museum of Art („Evelyn Kranes Kossak Gift, in memory of John Kossak, 1987”) wnioskuję, że John Kossak nie żyje co najmniej od lat 80. XX w. Wydaje się prawdopodobne, że można go zidentyfikować z Johnem (Sidneyem) Kossakiem, który według serwisu ancestry.com urodził się w Nowym Jorku 2 sierpnia 1917, a zmarł w Fairfield, Connecticut, 18 listopada 1986. Jeśli zastanawiają się Państwo, czy miał on coś wspólnego z krakowską rodziną Kossaków, to wydaje się, że nie. Rodzicami Johna Sidneya Kossaka byli Morris Kossak (1891-1944) i Sora Pell (ur. 1892), oboje urodzeni w Warszawie. Tymczasem rodzicami Morrisa (Moritza?) byli Abram Icchok Kozak (ur. 1855) i Blima Offerman (ur. 1857).

Wróćmy jednak do spraw aktualnych. Informacje (także finansowe) o John and Evelyn Kossak Foundation Inc są dostępne na stronach prezentujących dane o organizacjach pozarządowych, dla których darowizna może być odliczona od podatku (należy do nich ta właśnie fundacja). W raporcie w pełni udostępnionym za rok 2019 jako prezes fundacji podana jest Evelyn K. Kossak, jako wiceprezes – Jeffrey M. Kossak, jako sekretarz zaś – Steven M. Kossak. Fundacja ma siedzibę w Nowym Jorku.

Internetowe śledztwo doprowadziło mnie także do wniosku, że nazwiska w nazwie fundacji odnoszą się do małżonków Evelyn i Johna Kossaków, którzy pod koniec lat 40. zeszłego wieku ↦

↦ w Nowym Jorku wymyślili formułę Jolen Creme Bleach – rozjaśniacza włosków na twarzy i ciele. Marka Jolen stała się dostępną na całym świecie, a jeszcze do 2015 r. na czele firmy wciąż stała Evelyn Kossak, choć wówczas miała 95 lat! Nie udało mi się znaleźć jej nekrologu – jeśli wciąż żyje, to ma już ponad setkę. Mimo sukcesu w branży kosmetycznej, wzmianki o Evelyn w kontekście marki Jolen (np. w prasie) są raczej skąpe. Ale w informacji serwisu AllBiz.com przeczytamy, że kontakt z zarządem firmy można także uzyskać poprzez Jeffreya Kossaka, Hermana Kranesa oraz Stevena M. Kossaka. Firma ma siedzibę w Fairfield, Connecticut.

Samo nazwisko Stevena M. Kossaka pojawia się natomiast głównie jako (współ) autora książek o sztuce południowej Azji, wydawanych przez Metropolitan Museum of Art, gdzie – jak już wiemy – był on kuratorem zbiorów azjatyckich. To naprawdę niemal żadne informacje w przypadku ludzi zaangażowanych w prowadzenie międzynarodowej firmy i nowojorskiej fundacji wspierającej artystów i naukowców, oraz będących kolekcjonerami i filantropami obdarowującymi takie instytucje jak The Metropolitan Museum of Art, tudzież ich pracownikami. Nawiasem mówiąc, dary i depozyty od Kossaków znajdziemy też np. w Yale University Art Gallery. Najwyraźniej rodzina ta robi wszystko, aby jej członkowie pozostawali w cieniu, a poszczególne obszary działania nie dawały się łatwo powiązać.

Kradzieże w świecie sztuki

Nepal „otworzył się" turystycznie w latach 50. zeszłego wieku. Wielka Brytania uznała suwerenność tego kraju w 1923 r., ale istotne zmiany nastąpiły dopiero w wyniku powstania, które obaliło rządy dziedzicznych premierów z rodu Rana – w roku 1951 Nepal został ogłoszony monarchią konstytucyjną. Niestety, przybysze z Zachodu bardzo szybko zauważyli, że nepalskie świątynie to prawdziwe skarbnice dzieł sztuki bardzo wysokiej klasy – i że w zasadzie nikt ich nie pilnuje. Dzieła zaczęły niemal masowo znikać, zwłaszcza w latach 60., 70. i 80. – a teraz wypływają w czołowych kolekcjach Ameryki Północnej czy Europy Zachodniej.

Doktor historii sztuki Erin L. Thompson (City University of New York), jak pisze o sobie na swojej stronie

Kamienne przedstawienie Sziwy (Śiwy), X w.

(artcrimeprof.com), jest jedyną w Ameryce „professor of art crime", co oznacza naukowca specjalizującego się w problematyce przestępstw w świecie sztuki. Jest ona także m.in. członkinią komitetu doradczego organizacji Nepal Heritage Recovery Campaign – zrzeszeni w niej specjaliści przy wsparciu władz Nepalu walczą o odzyskanie zrabowanego dziedzictwa. W ostatnich latach udało się zidentyfikować (i powoli udaje się odzyskiwać) kolejne dzieła – w dużej mierze dzięki działaniom anonimowej grupy, która w mediach społecznościowych działa od 2015 r. jako „Lost Arts of Nepal".

Dotychczas grupa zlokalizowała ponad 50 zabytków. Starania o odzyskanie zrabowanych obiektów zaczęły się jednak znacznie wcześniej – już w 1989 r. Lain Singh Bangdel wydał publikację „Stolen Images of Nepal". Wydaje się, że w kolejnych latach muzea na całym świecie po prostu starały się nie sprawdzać, czy aby pozyskane ostatnio buddyjskie dzieło sztuki nie znajduje się w tej właśnie książce.

„Lost Arts of Nepal" publikując fotografie strat często używa określenia „Faith Stolen". Aktywiści podkreślają dodatkowy aspekt: że to, co dla społeczeństw Ameryki Północnej czy Europy Zachodniej jest po prostu dziełem sztuki, dla Nepalczyków stanowi obiekt kultu. Skradzione dzieła nie pochodzą z nepalskich muzeów czy prywatnych kolekcji, lecz ze świątyń; ich grabież była także świętokradztwem. Miłośnicy sztuki w kręgu kultury zachodniej często patrzą na figury bóstw buddyjskich w podobny sposób, w jaki podziwiają greckie i rzymskie wizerunki antycznych bogów: identyfikując temat rzeźby w ramach mitologii pozachrześcijańskiej, ale nie dostrzegając jej sakralnego charakteru. Tymczasem dla współczesnych mieszkańców Nepalu to bardziej relikwie niż dzieła sztuki.

Fakt, że w drugiej połowie XX w. obiekty te nie tylko padły łupem złodziei, ale także znalazły się w prestiżowych kolekcjach zachodniego świata, a niektóre z nich wracają na miejsce tylko dzięki determinacji anonimowej grupy aktywistów, mówi wiele o naszej arogancji, trącącej najwyraźniej mentalnością kolonizatora.

Badania do bani

Erin L. Thompson opublikowała ostatnio kilka wpisów na Twitterze. Napisała m.in. o tym, że niedawno poszła do The Metropolitan Museum of Art, by ostatni raz popatrzeć na stelę, która wkrótce zostanie zwrócona do Nepalu. To jedno z trzech skradzionych dzieł sztuki, które The Met zdecydowało się w ostatnim czasie oddać i wszystkie trzy były darami Kossaków. W kolejnych pomieszczeniach muzealnych zobaczyła jednak coś, co wyprowadziło ją z równowagi.

Była to czasowa wystawa („Ganesha: Lord of New Beginnings"), otwarta w listopadzie 2022, już po ujawnieniu problematycznej proweniencji wspomnianych trzech dzieł. Otóż z 24 obiektów na tej wystawie prawie połowa pochodzi z kolekcji Kossaków. Thompson słusznie zauważyła, że muzeum nie tylko nie poddało skrupulatnej analizie innych dzieł z kolekcji, z której pochodziły kradzione obiekty, ale w dodatku właśnie dowartościowało Kossaków jako kolekcjonerów. Bowiem kiedy prywatny kolekcjoner zaprezentuje dzieła ze swoich zbiorów na czasowej wystawie w światowej rangi muzeum, niejako automatycznie zakłada się, że owe dzieła zostały jakoś przez pracowników tegoż muzeum przebadane i może też opisane w notach w katalogu. Co oczywiście buduje wiarygodność właściciela w oczach czołowych domów aukcyjnych, a zatem i zwiększa szanse na korzystną sprzedaż dzieł. Zyskują one certyfikat autentyczności, co znacząco podnosi ich rynkową wartość.

Erin L. Thompson zarzuca The Metropolitan Museum of Art, że patrzy przez palce na wątpliwe proweniencje dzieł, byle tylko skorzystać z możliwości

darmowego poszerzenia kolekcji. Darczyńca wszakże nie jest całkiem bezinteresowny – darowiznę można wykorzystać jako znaczący odpis podatkowy. Muzea nie chcą zniechęcać potencjalnych mecenasów, darczyńcy chętnie obniżają swoje podatki – i obie strony są zadowolone.

The Metropolitan Museum of Art najwyraźniej nie chce całkowicie zerwać kontaktów ze Stevenem Kossakiem. Skradzione dzieła, no cóż, zostaną oddane. Muzeum wiele nie straci (w końcu były to dary), a jeszcze może przy okazji pokazać się jako instytucja uczciwa i skrupulatnie badająca swoje nabytki. Jednak w tym przypadku zabrakło PR-owej zręczności. Dr Thompson bezlitośnie obnażyła nieudolność prób poprawiania wizerunku muzeum przy okazji obecnego zwrotu trzech dzieł. Nie stroniąc od sarkazmu, zauważyła m.in., że w przypadku jednego z nich (kamiennej płaskorzeźby Sziwy z X w.) muzeum powołało się na własne „najnowsze badania" cytując publikację z 1995 r. (!), a zarazem przemilczało fakt, że to profil „Lost Art of Nepal" jako pierwszy powiązał reprodukcję płaskorzeźby z zasobów The Met z jej fotografią w świątyni, z której została skradziona. Stało się to w marcu 2021 – i trzy miesiące później muzeum zgodziło się oddać zabytek. Lepiej byłoby milczeć, zamiast próbować wmówić wszystkim, że oto nagle kuratorzy The Metropolitan Museum of Art, w wyniku wnikliwych naukowych badań, odkryli prawdę.

Control art delete

Nie wszystkie problematyczne obiekty z Nepalu znajdujące się w The Met pochodzą z darowizn Kossaków; w 2018 r. muzeum zwróciło wizerunki Sziwy (XI w., dar prywatnego kolekcjonera z 1983 r.) oraz Buddy (ok. XIV w., dar prywatnego kolekcjonera z 2015 r.). I nie chodzi tylko o Nepal, by wspomnieć trzy obiekty zwrócone w 2021 r. do Nigerii (z XVI oraz XIV w.), aż 27 obiektów antycznych (greckich i egipskich) przejętych w 2022 r. przez prokuraturę okręgową z zamiarem zwrotu do Włoch i Egiptu, oraz 13 dzieł, których zwrotu domagają się aktualnie władze Kambodży. Te ostatnie obiekty zostały podarowane The Met przez marszanda Douglasa A. Latchforda, który w 2019 r. został oskarżony o handel dziełami sztuki o sfałszowanej proweniencji. W 2020 r. Latchford zmarł – ale to już osobna historia.

Drewniany, rzeźbiony wspornik przedstawiający Śalabhandźikę, XIII w.

I jeszcze jedno: The Metropolitan Museum of Art wykasowało zwrócone obiekty ze swojej bazy dostępnej online. Błyskawiczne usunięcie dzieł z katalogu cyfrowego niepokoi wielu badaczy, w ten sposób bowiem placówka likwiduje możliwość szybkiego dowiedzenia się, że dzieło było w jej posiadaniu; chroni także nazwiska darczyńców. Z czasem może być trudno w ogóle ustalić, że dany obiekt (oraz w jakim okresie) znajdował się w kolekcji Met.

Niektórzy badacze wręcz zarzucają muzeom, że wykasowując obiekty ze swych baz działają przeciw transparentności w działalności kolekcjonerskiej oraz utrudniają społeczne działania mające na celu odzyskiwanie zrabowanego dziedzictwa. Bo to właśnie digitalizacja zbiorów sprawiła, że od kilku zaledwie lat aktywiści poszukujący zrabowanych dzieł sztuki (nie tylko z Nepalu) mogą odnaleźć je w muzealnych kolekcjach. Największe domy aukcyjne także zresztą zamieszczają już w internecie noty o dziełach wystawianych do sprzedaży. I po sprzedaży zapisy te nie powinny być kasowane.

Nieprawidłowości zaskakująco tutaj dużo. Cieszące się szacunkiem instytucje – a do takich niewątpliwie należy nowojorskie muzeum – nie powinny np. przyjmować do pracy i osadzać na stanowiskach kuratorskich własnych mecenasów czy też kolekcjonerów, których dzieła mają w depozytach. Nie powinny oczywiście również przyjmować darowizn o niesprawdzonym pochodzeniu. A w przypadku stwierdzenia, że posiada się w zbiorach obiekt zrabowany, powinny poddać rzetelnym badaniom proweniencję innych dzieł z tego samego źródła.

Brutalna prawda jest jednak taka, że działania wielkich muzeów i wspierających je fundacji bardzo często mijają się z etyką, ponieważ chodzi o duże pieniądze. Pozostaje się cieszyć, że globalna cyfryzacja sprzyja aktywistom walczącym o odzyskanie zrabowanego dziedzictwa. I mieć nadzieję, że wielkie instytucje Zachodu będą musiały nie tylko oddać kolejne zrabowane dzieła, ale także zmienić politykę poszerzania i katalogowania kolekcji.

© MAGDALENA ŁANUSZKA

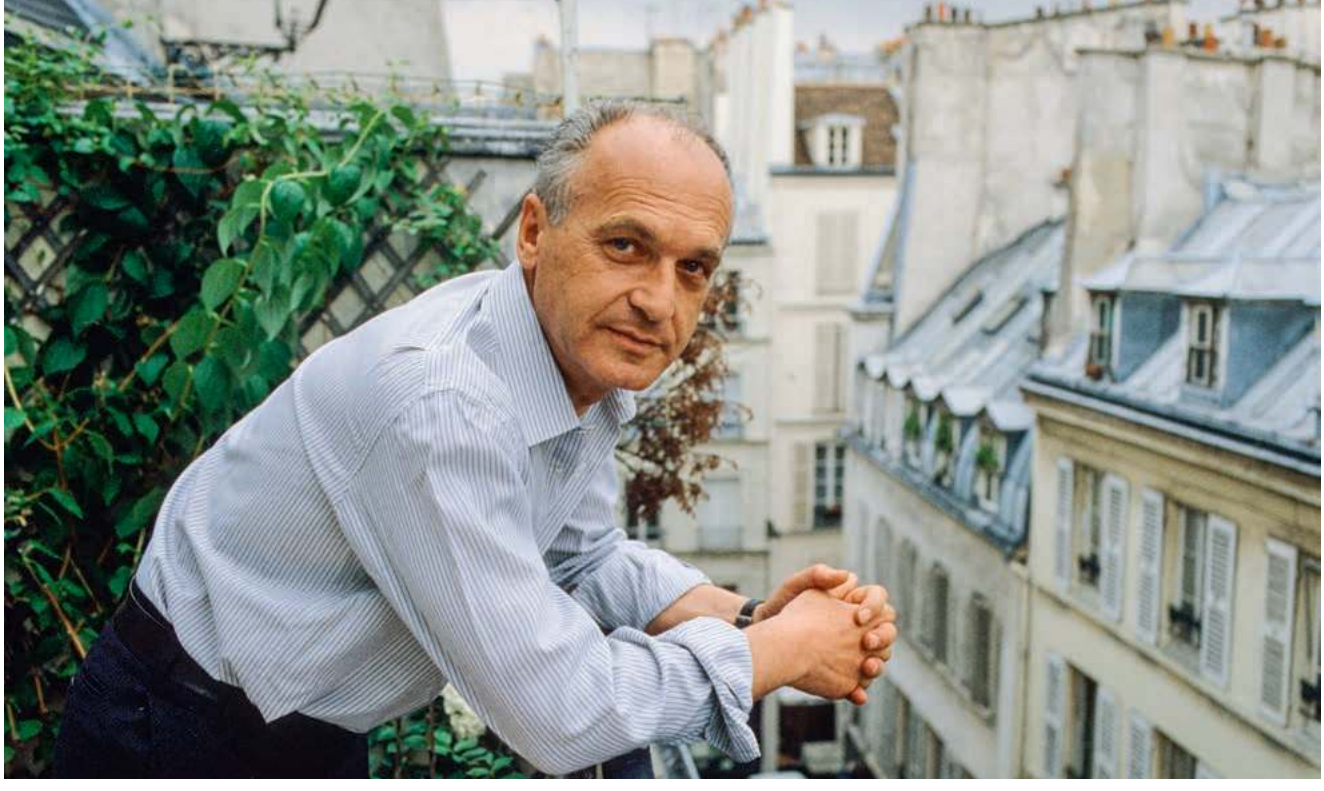

JEAN-REGIS ROUSTAN / AFP / EAST NEWS

Pierre Nora, Paryż, 1986 r.

Historyk na ringu

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Uprawianie historii w epoce upamiętniania jest wielką, coraz rzadszą sztuką. Polityczne walki o pamięć zbiorową odebrały historykom niewinność i naiwność. Ale nie wszyscy się poddali.

Postęp technologiczny i ekspansja mediów sprawiają, że z trudem gonimy uciekającą pamięć. Ledwo doświadczone „dzisiaj" jest już wypierane przez zaczynające nasz świat od nowa „jutro". Nie można jednak żyć w permanentnym resecie, więc ludzie chcą upamiętnienia tego, co tak szybko ginie. Chcemy zarejestrować i przechować – bagatela – wszystko. Inaczej niż kiedyś, upamiętniamy nie z moralnej potrzeby, ale dlatego, że to taka łatwa, mechaniczna czynność. Możliwości te wykorzystuje też państwo, nakładając na społeczeństwo obowiązek wiary w określoną na potrzeby polityczne wersję historii.

Francuski historyk Pierre Nora to jeden z najbardziej znanych krytyków pasożytniczej relacji historii i przeszłości oraz żałobnik po pamięci zbiorowej. Wraz z Philippem Ariès'em, Jacques'em Le Goffem i Georges'em Dubym jest uważany za przedstawiciela Nowej Historii, kolejnego pokolenia słynnej francuskiej Szkoły Annales. Nora pyta o to, jak przeszłość i jej symbole kształtują teraźniejszość czasów globalizacji. Idzie śladami pamięci o chwale i o hańbie – tej, która łączy i która dzieli. Zwłaszcza tej, którą wykorzystuje się do kreowania obrazu winnych i niewinnych narodów, oraz tej, która walczy o wyjście z cienia.

Do tej pory był zadziwiająco rzadko tłumaczony na język polski. Wreszcie nakładem wydawnictwa słowo / obraz terytoria ukazał się wybór tekstów Nory pt. „Między pamięcią a historią". Pojedyncze eseje, w tym ten, który użyczył tytułu wydanemu właśnie zbiorowi, ukazywały się w „Res Publice Nowej", „Przeglądzie Politycznym", „Tytule roboczym: Archiwum" i „Didaskaliach. Gazecie Teatralnej". Stały się lekturą obowiązkową dla polskich badaczy patrzących na mariaż polityki, historii i pamięci zbiorowej. W czasach sporów o upamiętnienie ofiar wojny, powstańców i partyzantów, a wreszcie po debacie o Jedwabnem – koncepcja Nory oferowała narzędzia tak potrzebne do nazwania rywalizacji między pamięcią różnych grup a historią fetowaną przez państwo i szkołę. Dziś, kiedy historia znów jest narzędziem kontroli, a na pamięć nakłada się sankcje, polskie echo pytań stawianych przez historyka słychać wyjątkowo donośnie.

Ale głos Nory to także opowieść o zmieniającej się roli historyków. W epoce państw narodowych historycy byli kapłanami. Porządkowali dane i zszywali grubym ściegiem skrawki wielu (lecz nie wszystkich) pamięci przechowywanych w społeczeństwie. „Dopóki historia była kolektywna, a pamięć indywidualna, historycy sprawowali wyłączną kontrolę nad wspólną przeszłością" – mówił Nora przed laty w rozmowie z Jackiem Żakowskim. Dziś historycy są sekundantami pojedynku pamięci i historii.

Francuz i Żyd

Nora był nie tylko wybitnym historykiem, ale i fascynującą osobowością. Dramatyczna historia Francji i pamięć, która godzi w mit jednego narodu – te dwa tematy zagrały pierwszoplanowe role w jego życiu.

Przyszedł na świat w 1931 r. w burżuazyjnej rodzinie Żydów aszkenazyjskich. W czasie II wojny światowej przedostał się z matką i rodzeństwem z okupowa-

nego Paryża do Grenoble, a potem w rejon Vercors. Jego starszy brat działał w ruchu oporu, a on sam ratował się ucieczką przed Gestapo. W 1944 r. wracają do Paryża, gdzie łączą się z ojcem (przed wojną był szanowanym chirurgiem). Jak udało mu się przeżyć? Podczas I wojny Gaston Nora uratował życie rannemu Xavierowi Vallatowi, późniejszemu komisarzowi do spraw żydowskich w rządzie Vichy i antysemicie. Nora jest przekonany, że protekcja Vallata ocaliła jego ojca, który z kolei po wojnie zeznaje w procesie kolaboranta na jego korzyść. Ta rodzinna historia skupia cały francuski bagaż politycznych i moralnych uwikłań czasów wojny.

Pierwszą oznaką młodzieńczego buntu jest to, że Nora nie godzi się na udział w bar micwie, mimo że namawia go do tego Jacob Kaplan, przyszły naczelny rabin Francji. Relacja z judaizmem pozostanie chłodna, choć oparta na szacunku. O obozach koncentracyjnych i komorach gazowych Nora dowiaduje się przypadkiem. Jego ojciec dostaje szokujące fotografie od chorych na tyfus reporterów, którzy byli w Oświęcimiu tuż po jego wyzwoleniu. W gimnazjum Nora zaprzyjaźnia się z Pierre'em Vidal-Naquetem, późniejszym historykiem, który stracił rodziców w Auschwitz. Będzie wiele razy upominać się o pamięć Zagłady. Boi się jechać do Auschwitz, ale po wybuchu wojny sześciodniowej chce walczyć za Izrael. Ostatecznie jedzie tam jako korespondent. Kiedy na początku wieku przyjmowano go do Akademii Francuskiej, prosi, by na jego szpadzie (tradycyjny atrybut członków tego elitarnego grona) wyryto gwiazdę Dawida.

W otwierającym polski zbiór eseju pt. „Moja żydowska historia" podkreśla, że kulturowo jest Francuzem. Jednak przez żydowskie pochodzenie czuł zobowiązanie (a po części społeczną presję), aby francuskość potwierdzić staranniej niż inni. Cel ten zrealizował z nawiązką – ale zadanie miał bardzo ułatwione, jako dziecko z dobrej dzielnicy i klasy społecznej. Jego ścieżka kariery jest dowodem na wszystko to, co Pierre Bourdieu napisał o reprodukcji francuskich elit (Nora i Bourdieu to koledzy z licealnej ławy).

Biograf pamięci

Jest świadkiem załamywania się francuskiej tożsamości, opartej na pamięci narodowej. Osłabiła ją dekolonizacja i przemiany kulturowe lat 60., wreszcie rozliczenie państwa Vichy. W 1971 r. weterani Ruchu Oporu głośno sprzeciwiają się ułaskawieniu przez prezydenta Pompidou dawnego szefa kolaborującej z nazistami milicji Paula Touviera. W kolejnym roku wybucha skandal wokół odmowy wyświetlania w kinach filmu Marcela Ophülsa „Smutek i litość", rozliczeniowego wobec elit współpracujących z aparatem III Rzeszy, a następny rok przynosi francuski przekład gorzkiej pracy „Francja Vichy" Amerykanina Roberta Paxtona.

> Kult miejsc pamięci jest potwierdzeniem tego, że **pamięć zbiorowa odeszła w mrok przeszłości.** „O pamięci mówi się tyle dopiero wtedy, gdy jej zabraknie" – przekonuje Nora.

Próbą odpowiedzi na przemiany świadomości historycznej francuskiego społeczeństwa jest dla Nory koncepcja miejsc pamięci. W latach 1984-1992 ukazuje się siedem tomów cyklu „Lieux de Memoire", dokumentujących badania zespołu pod kierunkiem Nory na temat tego, co spaja i co wystawia na próbę francuską narrację historyczną. Samo miejsce pamięci to przestrzeń, rzecz, symbol lub celebra, jak pola dawnych bitew, muzea, pomniki, cmentarze, archiwa, uroczystości upamiętniające zwycięstwa, klęski lub zbrodnie. „Miejsca pamięci to rytuały społeczeństwa pozbawionego rytuałów; ulotne świętości w społeczeństwie, które desakralizuje" – pisze Nora. To także ringi do walki o pamięć albo jej twierdze i bastiony.

Dla Nory kult miejsc pamięci jest potwierdzeniem tego, że pamięć zbiorowa odeszła w mrok przeszłości. „O pamięci mówi się tyle dopiero wtedy, gdy jej zabraknie" – przekonuje. Ten brak to pole dla pamięci mniejszościowych, które potrzebują wojowników. Nora nazywa ich ludźmi-pamięcią. Ich zadaniem jest gorliwe, czasem wręcz obsesyjne przypominanie Korsykanom, że muszą być Korsykanami, a Polakom, że muszą być Polakami – i nikim innym, bo bez nich zginie jakaś pamięć. Tyle tylko, że tej pamięci dawno już nie ma. Zamieniła się w archiwalne nagranie i muzealną gablotę.

Ale wraz z rozwojem mediów powstaje przekonanie, że historykiem może być każdy. Dlatego Nora zostaje akuszerem projektu ego-historii. Zaprasza uznanych historyków do tego, by uczynili z własnej biografii źródło wiedzy i obiekt dociekań. Słyszy krytykę, że ładnym hasłem ego-historii rozgrzesza narcystyczne pobudki intelektualistów. Niektórzy zaproszeni odmawiają, w tym jego przyjaciele Annie Kriegel, Pierre Vidal-Naquet i François Furet. O ironio, niedługo potem sami zaczynają spisywać pamiętniki.

Polemista z właściwością

Kiedy Nora porównuje się do stworzonej przez Roberta Musila postaci „człowieka bez właściwości", jest to czysta kokieteria. Nieodłączną częścią jego pracy intelektualnej jest posiadanie opinii. W 2011 r. zebrał rozproszone komentarze w kilkusetstronicowy tom „Historien public" (Historyk publiczny), a kilka z nich znalazło się w „Między pamięcią a historią". Nora to historyk, który dawno opuścił wieżę z kości słoniowej na rzecz rozprawiania o przeszłości w przestrzeni otwartej dla zainteresowanych. Zadaniem historyka publicznego nie jest jednak mówienie ludziom tego, co chcieliby usłyszeć o przeszłości swojego narodu czy grupy, ani pielęgnowanie mitów. Apeluje o to, żeby historyk uprawiał wiedzę krytyczną wobec siebie samej, która nie będzie na łasce i niełasce takiej czy innej pamięci, ale nie chce, by zakładał togę i zamieniał się w sędziego.

Działa w stowarzyszeniu Wolność dla Historii i konsekwentnie protestuje przeciw ustawom normującym pamięć zbiorową i badania historyków. Krytykuje ustawę Gayssota z 1990 r. zakazującą negowania zbrodni takich jak Zagłada, ustawę Taubiry z 2001 r., która potępiła jako zbrodnię przeciw ludzkości niewolnictwo i handel ludźmi dokonywane od XV w., czy prawo z 2005 r. przewidujące, że uznanie dla pozytywnej roli Francuzów w koloniach ma być elementem programu nauczania historii. Mobilizacja opinii publicznej przez historyków doprowadziła do tego, że prezydent Chirac sam wystąpił o wykreślenie z tego ostatniego aktu kontrowersyjnych zapisów.

W 2008 r. Nora wraz z innymi wystosował publiczny apel (przedrukowany ↦

↦ w polskich mediach) o to, by prawo krajowe i unijne nie stanowiło o kształcie pamięci zbiorowej i wnioskach historyków. Nie jest przychylny nawet uchwale francuskiego parlamentu uznającej rzeź Ormian z 1915 r. za ludobójstwo. Jego argument, że Francja nie ma żadnego udziału w mordzie Ormian, więc nie powinna rozstrzygać o jego charakterze – był dla wielu, ujmując rzecz delikatnie, zadziwiający.

Zarzuca się mu, że forsuje uprawianie nauki głuchej na głos sumienia. Nora zastrzega, że nie chodzi mu o ułatwianie życia nacjonalistom i negacjonistom, ale o wolność prowadzenia badań, nauczania i kultywowania różnych pamięci. Kiedy pisze, że „żadna władza polityczna nie może orzekać o prawdzie historycznej", trudno się z nim nie zgodzić. Jednak wolność pamięci i badań Nora absolutyzuje. Przymyka oko na to, że nie brakuje chętnych, by z wartości, jaką jest wolność nauki, uczynić alibi dla przekłamanego obrazu przeszłości. Czyż nie o tym ryzyku mówią jego prace – że wszystko dziś można uznać za możliwy obraz przeszłości?

Pan redaktor

Nie można zapomnieć o jeszcze jednej twarzy Nory. Modne dziś tytuły ambasadora albo kreatora kultury pasują do niego jak ulał. Pracował w wydawnictwie Julliard, a od 1965 roku u Gallimarda, gdzie założył dwie serie, które są wizytówką francuskiej myśli humanistycznej: Bibliothèque des Sciences humaines i Bibliothèque des Histoires. Wydał wybitne prace Raymonda Arona, Michela Foucaulta, François'a Fureta, Leszka Kołakowskiego, Ernsta Kantorowicza czy Jacques'a Le Goffa. Choć w polskich realiach brzmi to jak fantastyka, we Francji udało mu się uczynić z tego przedsięwzięcie nie tylko prestiżowe, ale i dochodowe.

Przedmowę do „Między pamięcią a historią" napisał Krzysztof Pomian, którego łączy z Norą wieloletnia współpraca w redakcji czasopisma „Le Débat". Ich przyjaźń miała niekonwencjonalny początek, gdyż Nora odmówił wydania w Gallimardzie wczesnej książki polskiego historyka. Uczynił to jednak z wdziękiem, nie zrażając do siebie postponowanego autora. Kilka lat później zaprosił Pomiana do tworzenia z nim i filozofem Marcelem Gauchetem „Le Débat". Czasopismo gościło na łamach wybitnych historyków, socjologów, kulturoznawców, noblistów z literatury i wiecznych kandydatów do tej nagrody.

Po 40 latach, w 2020 r. Nora zamknął tytuł, tłumacząc tę decyzję niemożnością sprostania współczesnym czasom. W tym ironicznym objaśnieniu mieści się krytyka rynku bieżących analiz od „szybkomyślicieli" oraz gorycz, że publiczność intelektualnego czasopisma skurczyła się do niewiele znaczącej niszy. W „Między pamięcią a historią" znajdziemy kilka esejów z „Le Débat". Dokumentują euforyczne początki, mozolny rozwój i melancholijny koniec tego forum. We wczesnych tekstach Nora snuje jeszcze wizję demokracji intelektualnej, gdzie elity unikają języka pretensjonalnie mętnego albo zbudowanego na retoryce wyższości i zastraszania, a lud chce ich słuchać.

Pozbawiony złudzeń, ale chyba spełniony, w wieku 90 lat poświęcił się własnej ego-historii. W 2021 r. ukazał się pierwszy tom wspomnień Nory, „Jeunesse" (Młodość), gdzie opowiada m.in. o strategiach przetrwania jego rodziny w czasie II wojny światowej. Na jesieni zeszłego roku ukazała się druga część, „Une étrange obstination" (Dziwny upór), która zdaje sprawę z dekad aktywności akademickiej i edytorskiej, ze znajomości z wieloma osobowościami francuskiego życia intelektualnego.

Nora wspomina też najważniejsze dla niego kobiety, postaci niezależne i niebanalne. Przez 12 lat był mężem Françoise Cachin, historyczki sztuki i kuratorki, późniejszej współtwórczyni paryskiego Muzeum Orsay. Jego wieloletnią partnerką była baronowa Gabrielle van Zuylen, architektka krajobrazu i autorka poczytnych książek o ogrodach. W dziewiątej dekadzie życia związał się z dziennikarką telewizyjną Anne Sinclair, która wówczas rozwodziła się z Dominique'iem Strauss-Kahnem, niesławnym szefem Międzynarodowego Funduszu Walutowego oskarżonym o przestępstwa seksualne. Niedawno Nora i Sinclair świętowali dziesiątą rocznicę związku. Tak trzeba żyć.

© MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Pierre Nora, **MIĘDZY PAMIĘCIĄ A HISTORIĄ. WYBÓR TEKSTÓW,** *przeł. Jan Maria Kłoczowski, słowo /obraz terytoria, Gdańsk 2022.*

Pani Pirx

PAULINA REITER, DZIENNIKARKA:

Ważne dla niej było mieć w życiu cel i sens. A także wspólnota, dzielenie życia z innymi. Z mężem żyli skromnie. Kiedy zamiast kupić dom, kupili jacht, znajomi pukali się w czoło.

JOANNA WIŚNIOWSKA: Ale że Greta Thunberg była idolką Krystyny Chojnowskiej-Liskiewicz?

PAULINA REITER: Też mnie to zaskoczyło. Jednak łączy je bycie idealistkami. Kapitanka, wskazując Szwedkę jako wzór, pokazała, jak ważne dla niej było środowisko i klimat.

Mówiła też: „Greta ma rację, liczą się tylko pieniądze".

Łączyła je krytyka konsumpcyjnego podejścia do życia i kapitalizmu. A przede wszystkim ocena elit, rządzących i polityków, których Thunberg oskarża o chciwość i o to, że nie oglądają się na potrzeby planety oraz ludzi, jedynie załatwiają swoje interesy. Krystyna Chojnowska-Liskiewicz też była osobą bardzo krytycznie nastawioną do rzeczywistości, nie lubiła fałszu.

Wydawało mi się, że kobieta, która opłynęła świat sama, musi mieszkać w apartamentowcu blisko zatoki! Okazało się, że mieszkam bardzo niedaleko państwa Liskiewiczów.

Bardzo sobie cenili takie położenie, tuż przy Trójmiejskim Parku Krajobrazowym. Ale racja, to skromne mieszkanie w peerelowskim bloku. Nigdy nie szukali luksusów, nie o to im w życiu chodziło. Krystyna, która przeżyła jako dziecko powstanie warszawskie, powtarzała, że ma aż za wiele i że ma poczucie darowanego życia.

JAN MOREK / PAP

KRYSTYNA CHOJNOWSKA-LISKIEWICZ *(1936-2021), pierwsza kobieta na świecie, która samotnie opłynęła Ziemię na jachcie żaglowym. Na zdjęciu w Las Palmas, kwiecień 1978 r.*

Pani Krystyna od zawsze śmiało wchodziła w „męskie przestrzenie"?

Tak, miała tę śmiałość, której fundamenty postawione zostały w dzieciństwie. Była bardzo odważną dziewczynką, córeczką tatusia. Mama bała się wody, przygód i świata. Tata wręcz przeciwnie, to on przy pomocy deski nauczył Krystynę pływać. Rodzice wpajali jej poczucie, że wszyscy są równi, ta idea będzie jej towarzyszyła w życiu. Od dzieciństwa nierówności bardzo ją raziły. Na studia wybrała techniczny kierunek na Politechnice Gdańskiej, mimo że nauczycielki stukały się w głowę i mówiły, że to nie są studia dla dziewczyn. Dostała się i była jedną z pięciu studentek. Trafiła w bardzo męskie środowisko, ale czuła się w nim na miejscu. Uważała, że skoro zdała te same egzaminy, to tyle samo umie, więc powinna być traktowana z takim samym szacunkiem.

A po studiach?

Dalej było pioniersko, bo została inżynierką budowy okrętów i zatrudniła się w Stoczni Gdańskiej w biurze konstrukcyjnym. Bywała obiektem kpin i ironii, ale wiedziała, że skoro skończyła te same szkoły, ma te same dyplomy, to ma prawo być na tych samych zasadach jak mężczyźni. Walczyła o pozycję i szacunek.

Mimo tych samych patentów i przygotowań, kobiety traktowano z przymrużeniem oka. Chęć udowodnienia, że kobiety są zdolne do tego, co mężczyźni, zachęciła Krystynę do samotnego rejsu dookoła świata.

Miała wtedy 40 lat, pracę, męża i podjęła się takiego zadania?

Rzeczywiście, to był moment stabilizacji w jej życiu. W końcu stać ich było na wakacje w Rumunii, kupili jacht, a Krystyna nagle decyduje się na rejs. To było szalone i zaskakujące. ONZ ogłosiło rok 1975 rokiem kobiet, powstało wiele projektów emancypacyjnych, dużo pisano o tym w magazynach kobiecych, podejmowano tematy dotyczące równości szans i praw. Wtedy powstał pomysł konkursu na opłynięcie przez kobietę świata dookoła. Krystyna się zgłosiła. Spełniała wszystkie warunki – odpowiedni stopień, ↦

↦ doświadczenie na morzu, miała też jacht, którym chciała popłynąć. Wygrała.

Wizja, że będzie pierwszą kobietą, kusiła?

Tak, w ten sposób zdobyła pewien rodzaj nieśmiertelności.

Pierwszy mężczyzna opłynął świat 80 lat wcześniej. Jak to się stało, że przez tyle lat nie zrobiła tego kobieta?

Takie pytanie zadał mi kapitan Krzysztof Baranowski, ale odpowiedzi udzielił sobie sam. Stwierdził, że prawdopodobnie kobiety nie chciały i że nie nadają się do tego, bo lubią gadać i plotkować, o co trudno podczas samotnego rejsu. Przytaczam ten przykład humorystycznie, ale takie było wówczas myślenie.

Pamiętajmy, że samotny rejs to wyzwanie, mężczyźni też rzadko pływali solo. W 1968 roku w Golden Globe, wyścigu dookoła świata zwanym rejsem szaleńców, wypłynęło kilku żeglarzy, ukończył go tylko jeden.

Istniało zagrożenie, że Krystyna nie będzie pierwsza?

Gdy wypływała, szła po pierwszeństwo, bardzo w to też wierzyła. Jednak potem – na skutek różnych perypetii, jak wyczerpanie po przejściu rafy koralowej – trafiła do szpitala, a lekarze odradzali jej dalszy rejs. Wówczas wystartowały jej konkurentki na większych i szybszych jachtach. W pewnym momencie rywalizacja zrobiła się bardzo ostra, więc Krystyna na ostatnim etapie rejsu podjęła ryzykowną decyzję, że już się nie zatrzymuje, tylko z Kapsztadu do Las Palmas płynie non stop.

W jej listach do męża widać ślady frustracji, nie było tylko romantycznie.

W 1979 r. Krystyna wydała książkę, w której odtwarza swój rejs. Opisuje trudy żeglugi, ale nie odsłania się za bardzo z emocjami. O tym, jak było ciężko, dowiedziałam się po jej śmierci, gdy Wacław udostępnił mi jej listy. W nich pozwoliła sobie na opowieść o potwornym zmęczeniu, wyczerpaniu, ale i o lęku. Miała też wątpliwości, czy podjęła dobrą decyzję, w końcu mogła zginąć. Jest taki list, który mną wstrząsnął. To właściwie pożegnanie, które napisała wpływając na najtrudniejszy odcinek, czyli wspomnianą rafę koralową. Opisuje w nim, jakie piękne mieli z Wacławem razem życie, a ona tymczasem zaraz prawdopodobnie umrze.

> Na oko jestem niby dzielna, ale to nieprawda, bo boję się dalszej żeglugi i zimna, i złej pogody, i przeciwnego prądu. **Okropnie jednak nie lubię samotnej żeglugi.**

„Na oko jestem niby dzielna, ale to nieprawda, bo boję się dalszej żeglugi i zimna, i złej pogody, i przeciwnego prądu. Okropnie jednak nie lubię samotnej żeglugi" – pisze do Wacława w innym liście.

Krystyna nie chciała udostępnić mi tych listów. Bała się odsłonić ze swoimi wątpliwościami. Niepotrzebnie, przecież lęk nie umniejsza wagi jej wyczynu. To, że człowiek się boi, nie znaczy, że nie jest odważny. Wręcz przeciwnie, ja czytając te listy bardziej doceniłam, że jednak się zdecydowała, że pokonała strach.

Co miała na myśli, gdy mówiła, że na oceanie jest wolna?

I to mimo że powtarzała, że samotny rejs to nie jest bajka, że nie powinno się samotnie żeglować. Po przypłynięciu do Las Palmas powiedziała, że bycie samym na jachcie to jak bycie w więzieniu. Doskwierało jej, że nie może podzielić się zachwytem i emocjami z Wacławem. Ale były też momenty, gdy na oceanie czuła się wolna. Nikt nie mógł jej niczego kazać, za wszystko sama odpowiadała.

Czym więc była ta wolność?

Niezależnością. Miała świadomość, że gdy popełni błąd, to sama poniesie konsekwencje. Nikt też niczego ci nie każe, nie rozkazuje, nie musisz się podlizywać, niczego nie udajesz. To była ta wolność.

Bała się?

Bardzo nie lubiła tego pytania. Złościła się, że wszyscy o to dopytują. Teraz rozumiem jej wkurzenie.

Z czego wynikało?

Czuła, jakby to pytanie oznaczało, że nie była dość kompetentna, że nie miała doświadczenia i wiedzy do wykonania tego zadania. To musiało być niesłychanie irytujące. Ja sama pytałam o to z najwyższym podziwem.

Czy się bała? Tak, momentami. Jednak potrafiła ten lęk przezwyciężyć, kolejny raz powiedzieć sobie: „dam radę". Dawała, płynęła dalej.

A co miała na myśli, gdy mówiła, że jest bohaterką mimo woli?

Krystyna uwielbiała Lema, wzięła ze sobą na pokład kolekcję jego książek. Między innymi „Opowieści o pilocie Pirxie". Podczas chrztu równikowego jest tradycja, że nadaje się nowe imię kapitanowi, załodze i jachtowi. Ona nadała sobie właśnie imię Pirx. Sądziła, że istnieje podobieństwo między nią a bohaterem Lema.

Jakie?

Uważała, że była zwykłą osobą, która stanęła przed misją, trudnym zadaniem, ale nie ma w niej nic bohaterskiego.

Nie była to fałszywa skromność?

Mimo że miała ugruntowane poczucie własnej wartości, to jednocześnie nie grała nigdy na heroicznej nucie. Zawsze podkreślała, że to nie była jedyna ważna rzecz w jej życiu, że oprócz tego miała karierę zawodową, dla niej równie istotną. Zapytałam ją o najważniejszy dzień w życiu. Byłam pewna odpowiedzi. Tymczasem ona odrzekła, że to był dzień, w którym skończyła się wojna – wiedziała wtedy, że nie musi się bać, że zabiją jej rodziców. Ale to były także dni, gdy zdała maturę czy egzaminy końcowe na Politechnikę Gdańską albo gdy dostała pracę w stoczni. No i w końcu też 20 marca 1978 r. – zamknięcie pętli, opłynięcie świata dookoła.

Opisujesz kolejne wizyty pani Krystyny w portach i zawierane przez nią znajomości, zupełnie jakby nie pochodziła z prowincjonalnego PRL-u. Zdziwił Cię brak kompleksów?

Na początku nawet bardzo, ale potem już mniej. Wierzyła w równość, nie tylko płci, ale też ras i religii, wiedziała, że nie można nikogo dyskryminować ze względu na kolor skóry, wiarę czy klasę. Miała poczucie, że mieszka w nowoczesnym kraju. Podczas podróży widziała ko-

lonializm, wynikające z niego problemy i nierówności. Wypływała z Las Palmas zaledwie rok po śmierci generała Franco, nadal istniało tam przekonanie o niższości kobiet. Nie mogły się rozwodzić, nie miały prawa iść same do lekarza. Potem Krystyna widziała, jak traktowano aborygenów w Australii.

W RPA zobaczyła, jak działa apartheid.

To był dla niej wstrząs. Gdy o tym mówiła, używała słowa „niewyobrażalne". Nie mieściło jej się w głowie, że coś takiego jest możliwe, że można segregować ludzi ze względy na kolor skóry. Taksówki tylko dla białych, tak samo winda, a gdy czarny stanął obok Krystyny przy witrynie sklepowej, to go aresztowano. Była w totalnym szoku. Przeżyła wojnę i powstanie w Warszawie, razem z ojcem chodziła pod mur getta. Więc to, co widziała w RPA, przypomniało jej o tym, czego doświadczyła w dzieciństwie.

JAN MOREK / PAP

Krystyna Chojnowska-Liskiewicz, Las Palmas, kwiecień 1978 r.

PRL mógł przy tym nieźle wyglądać.

Miała poczucie, że płynie z kraju, w którym kobiety mogły chodzić do pracy, studiować na kierunkach technicznych, a w miejscu pracy był żłobek i przedszkole. Do tego kobiety miały dostęp do aborcji, ich prawa reprodukcyjne były respektowane, mogły się rozwodzić. Nie było też takich nierówności społecznych, stąd wynikał jej brak kompleksów. My dzisiaj myślimy, że za żelazną kurtyną wszyscy czuli się strasznie prowincjonalnie. Widać nie każdy.

Po dwóch latach dopłynęła do Las Palmas, ale informację o tym wysłała najpierw do pana Wacława.

To wzruszające, bo cały świat czekał na tę wiadomość, zwłaszcza w kraju – Polski Związek Żeglarski, Ministerstwo Sportu, dziennikarze, a ona najpierw przekazała wiadomość ukochanemu Wacławowi. To pokazuje jej lojalność w stosunku do najbliższych osób. Gdy zeszła z pokładu w Gdańsku, najpierw przywitała się z rodzicami – mamę ucałowała, tatę pocałowała w rękę. Dopiero potem zameldowała, że zadanie zostało wykonane.

Władza wykorzystała jej sukces?

Krystyna uważała, że nie do końca, bo mogli zrobić dużo więcej. Ale władza odtrąbiła ten sukces, w końcu była głównym sponsorem rejsu. Kapitanka dostała wysokie odznaczenie od Gierka i je przyjęła. Zostało to odebrane jako mizdrzenie się do władzy, niektórzy przyjaciele stwierdzili, że została pupilką reżimu. Wzbudziła u wielu niesmak. W czasie, gdy ona odbierała medal, jej przyjaciele siedzieli w areszcie. Krystyna zapłaci za to cenę, której się nie spodziewała.

Odrzucenie i upokorzenie?

Tak, odrzucenie przez przyjaciół, pracodawcę. Gdy chciała wrócić do pracy w stoczni, pracy, którą kochała, dowiedziała się, że nie jest tam mile widziana przez Solidarność. Nie chciała używać koneksji, choć mogłaby, uznała, że jeśli jej nie chcą, to nie będzie się napraszać. Po rejsie miała trudności ze znalezieniem pracy. Kobieta, która przed chwilą przypłynęła jako ikona światowego żeglarstwa, nagle stała się bezrobotna. Powtarzała, że spotkał ją ocean zawiści.

Jak to się stało, że została zapomniana?

Wiele osób ją pamięta, w końcu w 1978 r. została Sportsmenką Roku, wyprzedziła w głosowaniu nawet Wandę Rutkiewicz. Była najbardziej znaną kobietą w Polsce. Ale w moim pokoleniu, gdy pytałam znajomych, czy wiedzą, kim jest Krystyna Chojnowska-Liskiewicz, ludzie nie kojarzyli nazwiska. Ja sama trafiłam na nie pięć lat temu. Byłam zaskoczona, gdy przeczytałam, czego dokonała. Nie rozumiałam, dlaczego nie uczyłam się o niej w szkole. Zadziwiłam się, że tak wielki wyczyn mógł pójść w niepamięć.

Dlaczego tak się stało?

Szukam na to odpowiedzi w książce. Krystyna sama nie szukała sławy, nie pchała się przed kamery. No i była kobietą, a o kobiecych sukcesach łatwiej zapomnieć. Drugi powód – utarło się przekonanie, że to, co działo się w PRL-u, było złe i nie jest warte zapamiętania. A przecież ludzie mieli wtedy wspaniałe marzenia, wielu porywało się na śmiałe czyny. Nie ma powodu, żeby o nich nie pamiętać.

© Rozmawiała JOANNA WIŚNIOWSKA

MACIEJ ZIENKIEWICZ / / AGENCJA WYBORCZA.PL

PAULINA REITER *jest dziennikarką i reporterką związaną z „Wysokimi Obcasami". Pisze o kobietach i ich prawach, podejmuje kwestie feministyczne. Jej książka „Samotne oceany" ukazuje się nakładem Agory.*

Cudze notesy

ANITA PIOTROWSKA

Debiut Michała Chmielewskiego uświadamia, że filmy o kobietach w drodze pozostają nie tylko gatunkiem rzadszym, ale i różniącym się od klasycznych męskich *road movies*.

MATERIAŁY PRASOWE DYSTRYBUTORA

Młoda kobieta, w wieczorowej sukni i na szpilkach, kradnie samochód ze stacji benzynowej i jedzie na pustynię – podobna historia mogłaby się zdarzyć chyba tylko w Ameryce. Albo w tamtejszym kinie. Wcześniej Sara zostaje brutalnie wyrzucona z domu, w którym mieszkała z ukochanym, pozostawia mu na progu brzydką pamiątkę i rusza w nieznane.

Od czego ucieka? Czego szuka? Czym zasłużyła sobie na takie traktowanie? Podobne pytania będą wisieć nad tą historią aż do finału, lecz chodzi w niej o coś zgoła innego. Nie tyle o *stricte* kobiecy, podszyty buntem „zew włóczęgi", co o włóczęgę samą w sobie, o jej magię, a zarazem jeden z najbardziej amerykańskich toposów. Taki właśnie „polski film amerykański" zrobił debiutujący reżyser Michał Chmielewski.

Wraz ze współscenarzystką Leną Górą, grającą główną rolę, tytuł „Roving Woman" zaczerpnął z piosenki Connie Converse, folkowej wokalistki, która w 1974 r. zniknęła nagle z radarów. Właśnie tej tajemniczej artystce i jej podobnym zadedykowali twórcy swój film. W przypadku współczesnej bohaterki mniej interesowało ich znikanie fizyczne, bardziej zaś symboliczne, czyli przywołana w tytule wędrówka, rozumiana także jako błądzenie.

Bo przewodniczką w tej podróży jest osoba ze wszech miar błądząca – niekonsekwentna i zagubiona, choć mocno zdeterminowana, by gnać przed siebie. Raz bywa krucha, to znów irytująco namolna, czasem zaś imponująco bezczelna i poprzez ową chwiejność zdaje się w ogóle nie zabiegać o naszą sympatię. Prawie do końca pozostaje zagadką. Wiadomo jednak, że budowanie opowieści na samych niedopowiedzeniach to sprawa wielce ryzykowna. Udaje się wówczas, gdy puste miejsca wypełnia się żywą materią kina (intensywnym obrazem, dźwiękiem, nastrojem), ale w oparciu o żelazną strukturę. Chmielewski sięgnął więc po sprawdzone wzorce kina drogi i dzięki dobrze odrobionej lekcji tudzież indywidualnej wrażliwości nie zgubił drogi własnej.

Wszystko przecież już gdzieś kiedyś było. Trudno znaleźć lepszą metaforę dla osobistej wolności jako ucieczki „od" czy „do" niż przesuwający się za oknem bezimienny pejzaż. Przydrożne motele i bary szybkiej obsługi w dużej mierze za sprawą literatury i kina stały się synonimem kuszącej tymczasowości i wykorzenienia. Pokonując bezkresne amerykańskie przestrzenie bohaterowie, począwszy od powieści Kerouaca po ekranowe „Nomadland", poszukiwali mitycznej „przestrzeni w sobie". A ludzie spotykani przez nich w drodze nigdy nie byli całkowicie przypadkowi, wypowiadane przez nich zdania prawie zawsze miały moc filozoficznych sentencji, wpływających na wewnętrzną przemianę. Stąd kino niezależne, czyli z definicji niskobudżetowe, często mocno zanurzone w surowej rzeczywistości i powstałe z młodzieńczego idealizmu, tak chętnie udaje się w drogę.

Dla Sary z „Roving Woman" jej prawdziwy sens zaczyna się ujawniać wtedy, gdy w ukradzionym aucie, w apogeum własnej samotności, zaczyna dostrzegać namacalne ślady czyjegoś istnienia: drobiazgi, nagrania, zapisane notesy... Dla filmu wyrosłego z wielu ograniczeń, tworzonego w warunkach pandemicznych, z udziałem naturszczyków poznanych gdzieś „po drodze", musiała mieć ona jeszcze inny sens. Również z tych powodów „Roving Woman" ma wszelkie cechy debiutu wyjątkowego. Oto młodemu Polakowi udało się rozkręcić produkcję za oceanem, za przysłowiową garść dolarów, z pomocą pracujących za darmo przyjaciół i z udziałem takich tuzów, jak nominowany do Oscara „twarzowiec" John Hawkes. Po czym film trafił do programu prestiżowego festiwalu i zdobył przychylne recenzje.

Zapewne pomogło, że wcześniej namaścił go sam Wim Wenders, figurujący w czołówce jako producent wykonawczy, aczkolwiek wiele wskazuje na to, iż twórca „Paris, Texas" musiał być duchowym patronem już u zarania tego przedsięwzięcia. Obecność mistrza wyczuwa się choćby w spojrzeniu europejskiego outsidera, które mimo wszystko rządzi tą arcyamerykańską opowieścią. Widoki pustyni nie próbują obezwładniać fotogenicznością, pogoda wydaje się mało kalifornijska, a playlista spod znaku popu czy country&western, na czele z tytułowym utworem, zostaje przełamana ambientowym brzmieniem stworzonym przez Teoniki Rożynek. W końcu kino drogi to gatunek zanurzony w przestrzeni, lecz jednocześnie traktujący o wyobcowaniu z niej.

Kamera Łukasza Dziedzica woli zatem studiować z bliska twarz Leny Góry, która jawi się tutaj niczym osobny, pu-

ROVING WOMAN
– reż. Michał Chmielewski. Prod. USA/Polska 2022. Dystryb. Galapagos Films. W kinach od 21 kwietnia.

Michał Chmielewski (ur. 1988) dotychczas dał się poznać jako autor nagradzanych etiud, zrealizowanych podczas studiów reżyserskich na Uniwersytecie Śląskim („Śnił mi się już słoń i kino", 2018; „Hi, How Are You", 2019). „Roving Woman", jego pierwszy pełnometrażowy film, był kręcony w USA, w języku angielskim, i miał premierę na nowojorskim festiwalu Tribeca, promującym m.in. kino niezależne.

sty krajobraz. Trudno zresztą oderwać wzrok od tej charyzmatycznej aktorki, znanej dotąd głównie z serialu „Król" Jana P. Matuszyńskiego i komedii „Noc w przedszkolu" Rafała Skalskiego. Jej postać, napięta do granic, co jakiś czas pozwala sobie na erupcje tłumionej wściekłości lub rozpaczy, i szkoda, że w trakcie pozornie oderwanych monologów zza kierownicy nie dało się tego portretu psychologicznie pogłębić. Nawet jeśli enigmatyczność bohaterki była zamierzona – miała skłaniać do medytacji, ucieleśniać najogólniej pojętą ucieczkę od niemiłości czy rozpaczliwe poszukiwanie bliskości.

Najważniejsze, że film „Roving Woman", złożony z wielu zapożyczeń i zapatrzeń w „cudze notesy", okazał się dziełem świeżym, napędzanym naturalną energią stojących za nim ludzi. Uświadamia przy okazji, że filmy o kobietach w drodze, mimo znajomego sztafażu i sposobów przedstawiania, pozostają nie tylko gatunkiem rzadszym, ale i różniącym się od klasycznych męskich *road movies*. Rebecca Solnit w swych rozważaniach na temat pieszej włóczęgi zajmowała się m.in. tym, jak odmienna jest kobieca droga, dosłownie i w przenośni – chociażby dlatego, że trudniej w nią samodzielnie wyruszyć, przebyć ją bezpiecznie, a przede wszystkim dać sobie samej prawo do wałęsania się „bez celu". U Chmielewskiego oglądamy zmotoryzowany wariant samotnej wędrowniczki. Sporo też mówi się o dojmującym braku widzialności, choć niekoniecznie w kobiecym wydaniu. Jesteśmy wszak w świecie, gdzie coraz częściej ktoś komuś mówi na odchodnym: „potrzebuję przestrzeni dla siebie".

Ta skromna, jeszcze w wielu miejscach niedoskonała i równocześnie zuchwała ballada nie podąża ślepo za filmami drogi. Zamiast fetyszyzować wyzwolenie, woli po prostu dawać szansę – niedookreślonej bohaterce, innym zwyczajnym niezwyczajnym postaciom, trochę innej Ameryce – na bycie widzialnymi. ©

Lektor:
Epizod zwany ludzkością

▪ *Stanisław Lem*
OKAMGNIENIE
Wydawnictwo Literackie, Kraków 2023, ss. 176.

Dwudziesty czwarty, jeśli dobrze liczę, tom nowej lemowskiej serii Wydawnictwa Literackiego ze świetnymi, prawdziwie odświeżającymi okładkami Przemka Dębowskiego, zawiera książkę szczególną. Wydana w 2000 r., stanowiła bowiem niespodziankę. Jak pamiętamy, autor „Cyberiady" w latach 80. ku zgrozie swoich wielbicieli zarzucił pisanie beletrystyki – ostatnie jego powieści, „Fiasko" i „Pokój na Ziemi", ukazały się w 1987 r. Następna dekada nie była wprawdzie, jak sugeruje teraz okładkowa nota, „latami milczenia pisarza", żywo obecnego na łamach czasopism, i przyniosła szereg nowych książek, wszystko to jednak były zbiory esejów i felietonów publikowanych wcześniej między innymi w „Odrze", „PC Computer" i „Tygodniku Powszechnym". I nagle pojawiło się „Okamgnienie", rzecz również eseistyczna, całkiem jednak nowa i powstała na jednym oddechu.

Odwołuje się w niej autor po raz kolejny do najważniejszych swoich dzieł niefabularnych, filozoficznych. „Dialogi" (rok 1957) i „Summa technologiae" (rok 1964) zostają zestawione „z rzeczywistą sytuacją przedproża XXI wieku i rysującymi się nowymi obszarami działania i poznania ludzkiego". Ta konfrontacja, dokonana w trybie dosyć dygresyjnym, pokazuje zarówno elementy profetyczne zawarte we wcześniejszych dziełach Lema, jak i jego rosnący pesymizm dotyczący kierunku rozwoju kultury.

Prometejska wizja badaczy kierujących się bezinteresownym pragnieniem poszerzenia wiedzy ustępuje miejsca obrazowi targu, na którym rządzą jedynie prawa komercji i to one właśnie decydują, do jakiego obszaru poszukiwań popłyną odpowiednie fundusze. Nie ma już mowy, zauważył Jerzy Jarzębski, najwybitniejszy z lemologów, „o zakonie ludzi nauki, skłonnych poświęcać dla prawdy majątek, zdrowie czy nawet życie. (...) Nauka sprzęga się coraz silniej z systemem promocji, z reklamą, ze światem mediów".

Skąd zaś tytuł? Widzę w nim wzmocnienie pesymistycznej wymowy całości, a zarazem rodzaj przewrotnie uspokajającej przestrogi. Otwierając książkę, znajdujemy na początku zegar geologiczny Ziemi (w pierwszym wydaniu barwny, więc czytelniejszy) z takim oto komentarzem: „należy sobie uzmysłowić, że kulturotwórcze cywilizacje ludzkie zajmują na tarczy liczącego cztery miliardy lat zegara geologicznego zaledwie kilka ostatnich sekund". Prosimy Państwa o spokój, to tylko okamgnienie... ©℗

OLGA

Drenda:
Głupia dystopia

„Nie chodzi o to, żeby zastąpić drzewa, ale o to, żeby dostarczyć rozwiązań dla miejsc, w których drzew nie można posadzić", wyjaśniał biofizyk dr Ivan Spasojević zapytany o wynalazek swojego zespołu, czyli „drzewa w płynie". Pod tą nazwą kryją się kontenery-bioreaktory wypełnione wodą z mikroglonami, które, intensywnie fotosyntezując, miałyby stanowić odpowiedź na dokuczające Belgradowi zanieczyszczenie powietrza. Kontenery Liquid-3, bo taką oficjalną nazwę noszą chwytliwie ochrzczone w doniesieniach medialnych „drzewa w płynie", to wielkie zaglonione akwaria wyposażone w przestrzeń do siedzenia oraz w moduły do ładowania urządzeń elektronicznych. Glutoplazma zawarta w bioreaktorach sama w sobie robi wrażenie, zwłaszcza przy sztucznym świetle w nocy, kiedy mogłaby zalewać przestrzeń neonowym odcieniem przywodzącym na myśl sceny z „Cyberpunk 2077".

Sprytne i niedrogie – to z pewnością. Niewyobrażalna dzisiaj obietnica rześkiego powietrza w Belgradzie (Rybniku, Żywcu, Krakowie) to również piękna, niemal solarpunkowa wizja (solarpunk to odmiana fantastyki, w której buduje się wizje zrównoważonego świata, przyjaznego dla ludzi i natury). Dlaczego zatem wyobraźnia podpowiada mi od razu same najgłupsze, absurdalnie złe scenariusze? Np. „serwisowanie urządzeń powierzono zewnętrznej firmie-krzak, która zniknęła bez śladu razem z *know how*", „nowe wyzwanie na TikToku: wypić wodę z glonami" albo „kierowca inspirujący się Frogiem z Sopotu postanowił pod wpływem licznych substancji wjechać w bioreaktor z rekordową szybkością".

Działa, lecz pozornie.

OLGA DRENDA

Przede wszystkim jednak zwróciłam uwagę na deklarację dr. Spasojevicia. Oczywiście, że nie chciałby zastępować drzew i pewnie nawet nie przyszło mu to do głowy, ale kto wykorzystuje wynalazki zgodnie z przeznaczeniem? Każdy, kto zetknął się z jakąkolwiek informacją na temat narzędzi zbrodni, substancji potencjalnie odurzających albo przedmiotów służących do niestandardowych praktyk seksualnych wie, że dla chcącego nic trudnego. Wystarczy zacząć od wielkiej internetowej debaty dotyczącej tego, czego prawo zabrania (lub nie) w odniesieniu do paczkomatów (nie będę opowiadać, natomiast nie zniechęcam do poszukiwania wiedzy). W Polsce, a zapewne również i w Serbii, istnieje szereg podmiotów i ciał palących się wręcz do tego, żeby zastąpić wszystkie drzewa. W końcu kiedy ich miejsce zajmą szczupłe bioreaktory, otworzyłoby się przed nami całe zbytkowne wręcz bogactwo miejsca.

Można tam postawić jakieś urządzenie posiadające zero sensu, ale generujące o wiele więcej ściśle materialnego zysku. Można tę przestrzeń wybrukować, a następnie bruk uszkadzać, żeby zaprzyjaźnionej firmie nie zabrakło zleceń. Można postawić tam jakieś ogrodzenie, a na nim reklamę. Można również porzucić w miejscu szczęśliwie wyrugowanego z powierzchni ziemi drzewa jakieś 25 hulajnóg. Ucieszyliby się wreszcie wszyscy osiedlowi pieniacze, którzy rytualnie utyskują na liście albo cień. Bioreaktor nie ma żadnych liści i żaden ptak nie zbuduje na nim gniazda, co oznacza również brak ptasiego guana. W ramach wygranego przetargu na utrzymanie zieleni można również obchodzić bioreaktory z dmuchawą do liści.

Niestety, belgradzki wynalazek prowokuje mnie do wymyślania bez końca scenariuszy głupiej dystopii. Jak wygląda głupia dystopia? Np. tak, że pojawiają się w niej potencjalnie ulepszające coś wynalazki, ale okazują się kontrproduktywne, kończą się zmarnowaniem dużych funduszy bez realnej poprawy, albo wręcz odblokowują w ludziach jakąś destrukcyjną klepkę. Dość powiedzieć, że ładowarka indukcyjna do użytku publicznego stanęła kiedyś w pewnym polskim mieście i wkrótce ktoś postanowił skorzystać z niej jako z popielniczki, bo nadal palił papierosy nie elektroniczne, lecz „analogowe".

Dystopia to szczególnie kusząca odmiana fikcji. Pozwala w kontrolowanych warunkach przeżyć najgorszy możliwy scenariusz wydarzeń, może służyć za *crash test* obaw związanych z nowymi zjawiskami cywilizacyjnymi. To symulacja tego, co może pójść źle, a wręcz maksymalnie źle. Przy tym zazwyczaj w utworach posługujących się tą formułą mocą napędową dla straszliwego świata stają się ludzkie defekty i godne potępienia cechy, które biorą górę i usztywniają rzeczywistość, zmieniając się w jej sedno i budulec. Wtedy do piekła prowadzą pragnienie kontroli nad innymi, chciwość, myślenie stadne. Ale być może za mało myślimy o głupich dystopiach, czyli takich scenariuszach, w których wszystko się zawala i zmienia w niedziałającą krainę absurdu i frustracji. Wtedy motorem dystopii staje się brak pomyślenia „co może pójść źle", nadmierny optymizm, a nawet zwykły fakt, że są jakieś pieniądze do wydania. ©

PAWEŁ

Bravo: *Przeklęty chleb*

Przeraża mnie ładunek nienawiści zawarty w tytułowych słowach. Jak to tak? Świętokradcze to jest, nie godzi się z rozmysłem poprzez słowne gwałty stawiać świata do góry nogami. Wystarczy, że on sam się wywraca: dziś np. to nie przez nieurodzaj sąsiad na sąsiada łypie z wrogością, zazdrosny o każdą garść brakującego ziarna, tylko na odwrót: nadmiar zboża miesza polityczne szyki w najgorszym możliwym momencie.

Indolencja, oportunizm plus prywatny interesik na boczku to nie jest coś właściwego wyłącznie dla obecnej władzy. Historia zna tragiczne skutki złego odgórnego zarządzania zapasami ziarna. Mam osobliwą słabość do czytania o ciemnych zakamarkach francuskiej wersji niby-monarchicznego „dyryżyzmu" i silnego państwa. Znajdziemy tam np. umierających w mękach nieszczęśników z Pont Saint-Esprit w Langwedocji, którzy latem 1951 r. przeklinali chleb z zatrutej sporyszem mąki, którą dostarczyły piekarzom agendy państwowe, dysponujące, w ramach jeszcze wojennych przepisów wprowadzonych przez rząd Vichy, niemal monopolem na obrót zbożowy. *L'affaire du pain maudit* zamieciono pod dywan, nie wypadało, żeby w cywilizowanej, zwycięskiej Francji całe wioski skręcały się w konwulsjach, a pośród domów biegali oszołomieni wizjami ludzie niczym z obrazów Hieronima Boscha.

Albowiem zjedzenie mąki z ziarna zawierającego sporysz oprócz fatalnych dla ciała skutków (np. zgorzel kończyn) wywołuje niekiedy odmienne stany świadomości. Co wcale nie musi być złe – tak sądził w każdym razie Albert Hofmann, chemik z koncernu farmaceutycznego w Bazylei, który w 1943 r. nieumyślnie i przez przypadek odkrył na sobie działanie kwasu wyodrębnionego z tego przetrwalnika grzyba atakującego zboża. Szukał substancji dających się stosować m.in. przy leczeniu chorób układu krążenia, jednak LSD – bo taki jest skrót skomplikowanej nazwy – dało jako skutek „bynajmniej nie nieprzyjemny stan upojenia i znaczne ożywienie wyobraźni". Parę dni później Hofmann wykonał już świadomie eksperyment na sobie, a gdy wracał do domu na rowerze, towarzyszył mu na wszelki wypadek asystent. W środę 19 kwietnia, gdy bierzecie do ręki „Tygodnik", mija równe 80 lat od tamtej jazdy („ciałem mym zawładnął demon... rozpierał mnie śmiech"), w pewnych kręgach obchodzi się dziś święto zwane *Bicycle Day*.

Te pewne kręgi to wcale nie tylko koralikowe niedobitki psychodelicznej bohemy, która lata oryginalnej, zwłaszcza plastycznej kreacji napędzanej „kwasem" ma już dawno za sobą. Hofmann dostrzegał pole do nadużyć, ale był, jak wynika z jego zapisków, optymistą i liczył, że LSD przyda się w poszukiwaniu nowych dróg „pisarzom, malarzom, muzykom i innym intelektualistom". Cóż, zbyt wielu ludzi, zwłaszcza na fali kontrkultury lat 60., poczuło się „innymi intelektualistami" i substancję objęto sztywnym zakazem. Od pewnego czasu jednak w środowiskach zupełnie nudnych, nieartystycznych psychiatrów zaczyna się pracować nad zastosowaniem LSD w terapii wielu zaburzeń i jest całkiem prawdopodobne, że reglamentacyjna furtka zostanie na trwałe uchylona.

Szczegóły tej częściowej legalizacji to historia zbyt poważna na naszą rubryczkę. Nigdy nie wziąłem do ust kwasu ani podobnego środka i mam nadzieję nie potrzebować go jako leku. Ale zamierzam uczcić *Bicycle Day* kieliszkiem legalnego wina. Hofmann uważał, że LSD należy traktować z sakralną atencją, bo wpływa na samą istotę człowieka. „Cóż bardziej świętego od ludzkiej świadomości?". Wielka racja, widać to szczególnie teraz, gdy tyle dookoła podniet tzw. sztuczną inteligencją, która, owszem, jest niesamowita w dyskursywnym aspekcie życia, umie bowiem przemielić miliony słów na minutę. Na tym tle dopiero wielkim blaskiem lśni świadomość jako pole, na którym słowom nadaje się właściwy byt, przez odniesienie ich – wprost lub pokrętnie – do zewnętrznego doświadczenia fizykalnego i społecznego. Urządźmy sobie dziś święto świadomości, niczym niezmąconej. Choć gdy się czyta wieści o „technicznym" – czyli potencjalnie skażonym – zbożu, to bierze człowieka pokusa, by to doświadczenie jednak sobie przefiltrować, a choćby i kwasem ze sporyszu. ©℗

Przednówek jest w sytym społeczeństwie pojęciem pustym, z wyjątkiem wymiaru wizualnego: obiady robią się już całkiem szarobure. Nawet banalna marchewka z groszkiem na tym tle wygląda jak psychodeliczny maziaj – zresztą wiecie, że można ją zrobić naprawdę smakowicie, byle nie żałować masła, po czym doprawić leciutko cynamonem i skórką z cytryny. Innym dostępnym nam szaleństwem barwnym jest sałatka z pokrojonej w małą kostkę pieczonej dyni hokkaido (jeśli się uchowała do kwietnia) i buraka. Żeby podkręcić raczej mdło-słodkie smaki obu składników, można użyć ostrych orientalnych przypraw albo np. dodać uproszczony wariant salsa verde z Piemontu, czyli takiego „pesto pietruszkowego plus". Siekamy drobniutko pęczek pietruszki, dodajemy roztarte ugotowane żółtko, dwa fileciki anchois i miękisz z kromki białego chleba lekko nasączony octem, rozprowadzamy szczodrze oliwą, by uzyskać rzadką pastę.

GRZEGORZ PUŁKOWNIK / ADOBE STOCK

CZŁOWIEK, KTÓRY UCZY SIĘ BAĆ

Gdy przy życiu trzymały go tylko opuszki palców wczepione w skałę, czuł, że naprawdę ma je w swoich rękach. A potem Alex Honnold, najbardziej utytułowany wspinacz-solista globu, został ojcem – i strach nabrał dla niego nowego znaczenia.

MAREK RABIJ

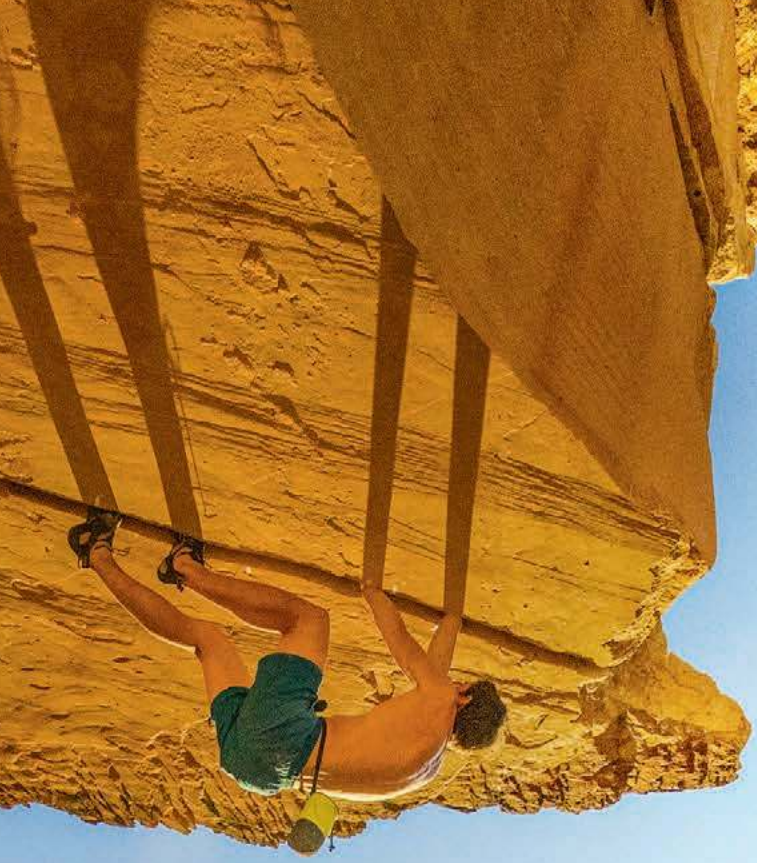

Pobudka przed szóstą, o ile malutka June nie zbudzi się wcześniej. Garść owsianki do miski z ciepłym mlekiem, kilka łyków kawy, potem rozciąganie i wreszcie pierwsza z kilku serii kilkudziesięciu podciągnięć na przyrządzie treningowym zwanym campusem. Oprócz siły mięśni ważna jest wytrzymałość ścięgien, zwłaszcza tych w palcach, które podczas trudnych wspinaczek poddawane są ekstremalnym przeciążeniom.

Gdy przy życiu trzymają cię głównie opuszki palców wczepione w chwyt węższy od ostrza brzytwy, wiesz, że naprawdę masz je w swoich rękach.

Na filmie widać, jak przechodząc skalną płytę zwaną Boulder Problem, Alex czujnie przesuwa dłonie wzdłuż niewielkiego wybrzuszenia, pełznąc przy tym w kierunku wieńczącej go ścianki. Do wykonania pozostaje mu jeszcze najtrudniejszy ruch, dynamiczne przerzucenie lewej nogi. Jeśli straci przy tym równowagę lub za pierwszym razem nie trafi stopą w odpowiednie miejsce, wczepione w skałę palce mogą nie utrzymać ciała.

Upadek zakończy się 625 metrów niżej, pośród drzew porastających dno doliny Yosemite.

Filmujący go z oddali kamerzysta odwraca się w tym momencie plecami do ściany, nie chcąc być świadkiem być może ostatniego świadomego ruchu przyjaciela. Wreszcie, po chwili trudnego do zniesienia milczenia, w krótkofalówce rozlega się zachrypnięty od emocji głos innego członka ekipy filmującej: „Poszło. Boże, zrobił to".

Półtorej godziny później Alex Honnold staje na szczycie masywu El Capitan jako pierwszy człowiek, który pokonał to niemal kilometrowe urwisko bez asekuracji. Dochodzi południe 3 czerwca 2017 r. Wspinaczka zajęła trzy godziny i 56 minut. Większość zespołów asekurujących się tutaj liną potrzebuje na to samo co najmniej dwóch-trzech dni.

„Trudniejsze, bo poza mną"

June śpi smacznie nawet wtedy, kiedy ojciec, mając ją bezpiecznie zapakowaną w chustę do przenoszenia niemowląt, kończy ostatnią serię podciągnięć. Potem szybkie karmienie piersią przez mamę i Alex z córką wychodzą razem na spotkanie ze sponsorem, żeby dać się wyspać Sanni.

Od czasu pamiętnej wspinaczki na El Capitana i nagrodzonego Oscarem filmu „Free Solo" (2018) opowiadającego o tym wyczynie Honnold wiedzie żywot typowego amerykańskiego wspinacza-celebryty, który za względną finansową stabilizację i swobodę realizacji sportowych celów płaci oddaniem prywatności we władanie despotów show-biznesu i reklamy. Z tą różnicą, że do narodzin June media interesowało głównie to, czy Alex nie boi się śmierci i czy w ogóle czuje strach. Teraz pytają najczęściej o to, czy będąc ojcem będzie dalej wspinać się bez liny i jak pogodzi sport z obowiązkami rodzicielskimi. W ten sposób w centrum uniwersum Aleksa Honnolda, które długo kręciło się wokół niego samego, a potem zostało przejęte przez przebojową Sanni McCandless, znalazła się teraz malutka June.

Ich córka przyszła na świat 17 lutego 2022 r. Nadali jej imię, które po angielsku znaczy także czerwiec. Zbieg okoliczności, a może celowe nawiązanie do pamiętnego wyczynu ojca z czerwca 2017 r.? W chwili narodzin June młodzi rodzice z pewnością nie mieli czasu na zabawę w sentymenty, bo w poród, który miał się odbyć siłami natury, niespodziewanie wdały się komplikacje i po 20 godzinach lekarze musieli przeprowadzić cesarskie cięcie. Dziecko nie oddychało. Wyniki pierwszego badania w zasadzie nie dawały mu szans na przeżycie. Mała June trafiła na oddział intensywnej terapii, ↦

Kadr z filmu dokumentalnego „Alex Honnold: The Soloist VR". Desert Gold, Nevada, 3 września 2021 r.

RENAN OZTURK / RED BULL / AFP / EAST NEWS

↦ ale po kilkunastu dniach opuściła szpital w pełnym zdrowiu. W marcu rodzice zabrali ją już na pierwszą wycieczkę w skały.

Alex nie jest osobą religijną ani skłonną do egzaltacji. Wyzdrowienia córki z pewnością nie nazwie więc cudem. W tamtych wydarzeniach dostrzega za to coś, co potrafi oswoić nawet przy pomocy swego skromnego emocjonalnego imaginarium. Odkrywa, że to samo dążenie do perfekcji, które realizował dotąd wystawiając się na śmiertelne niebezpieczeństwo podczas wspinaczek solo, może przybrać prozaiczną formę dbałości o córeczkę czy zapewnienia rodzinie bezpieczeństwa. A od emocji, które czuł wisząc na koniuszkach palców kilometr nad ziemią, intensywniejsza może być obawa o bliskich.

„Nie wiem, czy warto to porównać do trudnych sytuacji w górach, kiedy myślisz, że zaraz zginiesz – zastanawiał się w wywiadzie dla serwisu Fatherly.com kilka miesięcy po narodzinach June. – W pewnym sensie było to jednak gorsze, bo działo się całkowicie poza mną. O mój Boże, to moja żona umiera, to moje dziecko umiera. Nie ja. Byłem zaskoczony, jak intensywne to wszystko było".

„Sam w ścianie"

Intensywność. To pojęcie znaczy wiele dla Honnolda. Jego rodzice, jak wspomina, próbowali stworzyć dzieciom dobry dom, ale niechcący wyszła im z tego gra, w której Alex i jego siostra mogli jedynie tracić punkty. Mama, nauczycielka francuskiego i wielka admiratorka tamtejszej kultury, komunikuje się z dziećmi głównie w języku Woltera.

„*Presque ne compte pas*" (prawie się nie liczy) – to zdanie mały Alex słyszy od matki za każdym razem, kiedy jest prawie najlepszy w szkole czy podczas zawodów sportowych. Ojciec, miłośnik podróży, pieczołowicie planuje każde wakacje i kibicuje dzieciom poszukującym własnej drogi, ale nie radzi sobie z okazywaniem im uczuć. Przytulanie się jest dla Aleksa czynnością tak egzotyczną, że jeszcze w szkole średniej unika intymnych relacji. Wstydzi się występów publicznych i rumieni wywołany do tablicy. Podczas przerw czasem ucieka na dach liceum, wspinając się po fasadzie budynku. Po latach przyzna, że sztukę przytulania opanował dopiero mając 23 lata.

O wiele lepiej dogaduje się ze skałą. Z Sacramento, gdzie dorasta, Alex ma jakieś dwie i pół godziny samochodem do doliny Yosemite. Szybko daje się tu poznać jako młodzieniec obdarzony nie tylko wyśmienitą techniką wspinaczkową, ale także niezwykłą wytrzymałością psychiczną. W 2007 r., mając 22 lata, jako trzeci człowiek pokonuje bez asekuracji słynną linię Astroman w ścianie Washington Column. A potem – jeszcze tego samego dnia, wciąż bez liny – dokłada do listy zdobyczy nie mniej kultową drogę Regular North Face Route na Rostrum.

Rok później w doskonałym stylu właściwie przebiega bez asekuracji 600-metrowe północno-zachodnie urwisko Half Dome, ściany-symbolu Yosemite, które amerykański producent odzieży górskiej North Face wkleił nawet w swoje logo. Po tym przejściu o Honnoldzie zaczyna mówić się jak o wizjonerze przesuwającym w tym sporcie horyzont niemożliwego. Dwa lata później na ekrany wchodzi krótkometrażowy film „Alone on the Wall" (Sam w ścianie) Petera Mortimera dokumentujący wspinaczkę na Half Dome. Jeden z kadrów, ukazujący Honnolda stojącego samotnie na wąskiej półce skalnego zachodu, trafi potem na okładkę „National Geographic".

W pewnym sensie jest to ujęcie symboliczne, bo doskonale oddaje skomplikowany stosunek Honnolda do wspinania jako sportu, który zarazem zapewnia mu szczęście i pozbawia wyboru. Taniec ze skałą, zwłaszcza gdy nie przeszkadza w nim lina, jest z jednej strony doświadczeniem ekstatycznym. Tylko podczas wspinaczki solo ekstazę dzieli od śmierci zaledwie jeden ruch. Ale ta sama ścieżka skały jest zarazem jedyną znaną mu drogą, na której znajduje wytchnienie od wyniesionych z domu kompleksów i braków. Do wspinania bez liny gna go „bezdenna nienawiść do siebie samego. Wspinanie solo wymusza perfekcję. Miło poczuć się perfekcyjnym. Nawet na chwilę".

Igrzyska śmierci

Alex rzuca studia i poświęca się skałom. Przez kilka lat za dom służy mu stary van, który zostawia na parkingu przed jednym z Walmartów. Realizuje wiele ambitnych celów, nie tylko w USA, ale jego uwagę coraz bardziej przyciąga El Capitan, najtrudniejszy z granitowych monolitów Yosemite. Z liną wspina się na tej ścianie kilkadziesiąt razy, rozważając szanse na udaną – czyli możliwą do przeżycia – wspinaczkę solo. Niespodziewanie dla niego samego, pytanie „czy" przeradza się w kwestię czysto logistyczną: „którędy".

Wybór pada na Freeridera, drogę uważaną za najłatwiejszą z biegnących głównym 975-metrowym spiętrzeniem El Capitan – choć już sama wysokość urwiska podpowiada, że „najłatwiejszy" nie ma tu nic wspólnego z „łatwym". Poprowadzony w 1998 r. Freerider składa się z 33 wyciągów (odcinków od stanowiska asekuracyjnego do kolejnego), z których najtrudniejszy nosi w amerykańskiej skali wycenę 5.13a i wymaga już dużych kompetencji wspinaczkowych. Dolne partie drogi są technicznie łatwiejsze, biegną jednak gładkimi płytami, na których trzeba całkowicie zaufać sile tarcia butów, a odpadnięcie nawet z liną grozi bolesnymi obrażeniami. Powyżej granitowa fasada El Capitan staje dęba, a droga na szczyt przez kolejne pół kilometra biegnie w górę niemal nieprzerwanie ciągiem rys, spośród których szczególnie ponurą sławą cieszy się Monster Offwidth, długie na 40 metrów pęknięcie, biegnące środkiem lekko przewieszonej, czyli odchylonej od pionu płyty, które pokonuje się klinując w nim kolana i łokcie, a czasem także plecy.

Trudności techniczne potęguje ekspozycja. Psycha – jak mówią wspinacze – cierpi także w miejscu zwanym The Boulder Problem, krótkim, ale wymagającym trudności trawersie przez płytę, który kończy się dynamicznym przeskokiem na sąsiadujący z nią filarek, zwanym w środowisku jako „kopnięcie karate". Suma trudności, problematyczna asekuracja oraz sama długość drogi sprawiają, że nawet dziś jednodniowe przejście Freeridera wzbudza w dolinie Yosemite sensację. Próba pokonania jej bez liny przenosi jednak dyskusję o trudnościach na inny poziom. Skalę wyzwania, jakie chce podjąć Honnold, najlepiej ujmie jego starszy wspinaczkowy kolega Tommy Caldwell, porównując je do startu w igrzyskach, na których „walczysz o złoty medal i albo go zdobędziesz, albo umrzesz".

Lista przegranych w tej dziwnej dyscyplinie nie jest długa, bo niewielu ludzi ma chęć i odwagę zagrać z grawitacją o życie. Widnieją za to na niej nazwiska wielu górskich znakomitości. Brytyjczyk Derek Hersey, zwany przez kolegów „Doktorem Śmierć", pionier wspinaczkowej eksploracji kanionu Eldorado. John Bachar, jedna z legend doliny Yosemite i wynalazca trenin-

gowej „drabiny Bachara", na której wspinacze z całego świata po dziś dzień katują mięśnie brzucha i pleców. Ueli Steck, specjalista od ultraszybkich przejść bez liny w górach wysokich. Tę czarną listę uzupełnia jeszcze nazwisko Dana Osmana, którego zawiódł sprzęt podczas skoku z liną, oraz Seana Leary'ego i Deana Pottera, również utytułowanych alpinistów i miłośników „żywcowania", którzy śmierć ponieśli w trakcie drugiej ulubionej aktywności, skoków spadochronowych BASE. Spośród wspinaczy, którzy na poważnie zaangażowali się w dyscyplinę *free solo*, zasłużonej sportowej emerytury dożył tylko Amerykanin Kauk oraz Kanadyjczyk Peter Croft. Alain Robert, francuski wirtuoz wspinaczki skalnej lat 80. również ma się dobrze, jednak od lat specjalizuje się w efektownym, ale technicznie niewymagającym wspinaniu po fasadach wysokich budynków, dlatego trudno zestawiać go z pozostałymi.

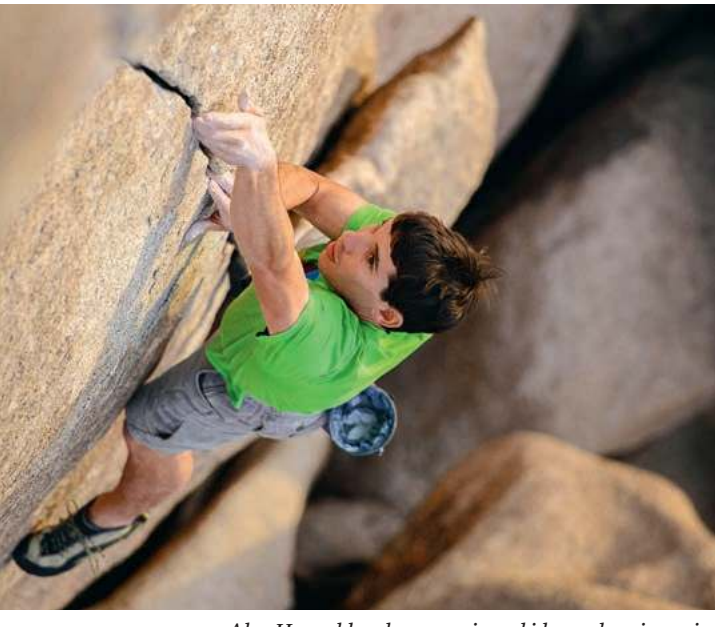

COREY RICH / SOLENT NEWS / EAST NEWS

Alex Honnold podczas wspinaczki bez zabezpieczenia, Park Narodowy Joshua Tree, Kalifornia, luty 2018 r.

Bez kibiców

Czy Alex się boi? W pewnym sensie tak. Strach towarzyszący wspinaczce jest po prostu jeszcze jedną formą trudności, z którymi się mierzy, podchodzi więc do niego jak do zagadnienia czysto technicznego. „Im lepsze przygotowanie, tym mniejszy stres. Kropka. Oddzielam ryzyko od konsekwencji. Podczas wspinaczki solo lubię myśleć, że ryzyko odpadnięcia jest dość niskie, choć jego konsekwencje – bardzo duże. To sprawia, że czuję się bezpiecznie robiąc coś, co wygląda na trudne" – tłumaczył w jednym z wywiadów skołowanej dziennikarce.

Nie tylko ludziom z mediów trudno przyjąć taką argumentację. Matka przyznaje, że woli nie być wtajemniczana w szczegóły kolejnych szalonych projektów sportowych syna. Nieustające „dlaczego" wyraża też twarz Sanni McCandless, dziewczyny Aleksa, która z anielską cierpliwością znosi jego obsesję solowej wspinaczki na El Capitan. Nawet przyjaciele od liny, którzy w górach niejedno przeżyli, mają wątpliwości co do racjonalności decyzji o tej próbie. Tommy Caldwell, który pomaga Aleksowi nauczyć się na pamięć przebiegu Freeridera i rozkładu trudności, pozwala sobie nawet na uwagę, że wspinanie z Honnoldem przypomina palenie papierosów podczas picia piwa. „Wiesz, że nie powinieneś tego robić, ale to takie przyjemne, więc robisz".

Decyzja jednak zapadła. Pierwszą próbę solowego przejścia Freeridera Alex przerywa po pokonaniu zaledwie kilku pierwszych wyciągów. Czuje się nieswojo, dokucza mu zwichnięta niedawno noga, dekoncentruje obecność filmowców uwieczniających wspinanie oraz świadomość, że w dolinie, w ich vanie, na wieści czeka zrozpaczona Sanni, robiąca dobrą minę do złej gry. Przed kolejnym podejściem Honnold prosi zatem filmowców o więcej przestrzeni. McCandless zgodnie z jego wolą, ale wbrew sobie, opuszcza na jakiś czas dolinę Yosemite.

Taniec z Freeriderem ma się odbyć bez kibiców.

Trening czułości

Przed wspinaczką, na potrzeby filmu, Honnold oddaje się jednak rezonansowi magnetycznemu głowy, który ma przynieść odpowiedź na pytanie, czy odczuwa strach tak samo jak inni. Okazuje się, że jego mózg działa prawidłowo, ale ciało migdałowate, odpowiedzialne głównie za odczuwanie emocji, potrzebuje ponadprzeciętnej stymulacji. To, co większość ludzi napawa przerażeniem, u niego wywołuje zaledwie dreszczyk emocji, coś w rodzaju emocji towarzyszących oglądaniu horroru.

Czy to klucz do tajemnicy jego niebywałych osiągnięć? Gdy w 2021 r. Alex Honnold zawiadomi fanów, że jego żona Sanni spodziewa się dziecka, zrobi to również bez emocji. Poczuje się tylko zobowiązany zaznaczyć, że jest „przygotowany na to, że to nieco ograniczy ryzyko, które podejmuję".

Jeśli wspinaczka solowa na granicy możliwości była faktycznie rodzajem pokuty, jaką Alex zadawał sobie za wdrukowane w domu kompleksy, to narodziny dziecka podziałały na nie jak cudowny balsam. „Bycie ojcem staje się dla mnie coraz bardziej realne, zrozumiałe wraz z dorastaniem córki. Czuję się w tej roli dobrze. Wraz z upływem czasu coraz lepiej" – mówi dziś, po roku przygody z macierzyństwem.

Jednocześnie Honnold przyznaje, że rodzina go zmieniła. Nauczył się czułości, troszczenia o innych. „Wydaje mi się, że z wiekiem staję się coraz lepszy w tych rzeczach, ponieważ jestem z Sanni wystarczająco długo. Robi się trochę normalniej".

Normalniej oznacza też bezpieczniej. Alex-ojciec nie zarzucił wspinania, nie pożegnał się nawet z próbami solo, ale tych, na które sobie teraz pozwala, pod względem trudności nie da się nawet porównywać z poprzednimi. Honnold mówi, że to raczej rodzaj wspinaczkowego joggingu dla podtrzymania formy. Nie wiadomo tylko, czy kiedykolwiek na coś mu się przyda.

„Nie wiem, czy wrócę jeszcze do ostrego solowania jak przed laty. Może być już wtedy na to za późno. Ale jeśli tak się stanie, wiem już, że nie będzie mi tego żal". ©℗ MAREK RABIJ

Przywołane w tekście wypowiedzi Aleksa Honnolda i jego partnerów wspinaczkowych pochodzą z filmu „Free Solo" w reżyserii Elizabeth Chai Vasarhelyi i Jimmy'ego China, wywiadów udzielonych serwisom „Fatherly" i „Outsider" oraz magazynowi „Esquire". Sam Honnold nie znalazł czasu na rozmowę z „Tygodnikiem". Realizuje właśnie projekt wspinaczkowy w podparyskim Fontainebleau. Na tamtejszych boulderach, niewysokich skałach, można się bezpiecznie wspinać bez liny. Wystarczy rozłożony na ziemi materac.

STANISŁAW

Mancewicz:
Co będzie

Nie możemy niestety przejść tu spokojnie nad szeroko pojętą problematyką sztucznej inteligencji. Chciałoby się tę głośną nowinkę włożyć *ad acta*, odfajkować jak wiele innych bądź zapomnieć i udać lękowo, że nie ma problemu. Sztuczna inteligencja, trzeba to wyraźnie na początku powiedzieć – wygładzi nam rozumy do czysta. Już gładzi.

Ktoś tu powie, że w głowach samo się nam gładzi, że zaawansowane technologie – prócz szeroko branego gorzelnictwa, winiarstwa i browarnictwa – nie są do tego potrzebne, że ludzkość odmóżdża się zawzięcie od wieków, niczym do tego nieprzymuszana. Oczywiście, że tak, bo tylko idealiści i wielbiciele ludzkości wierzą w postęp, godność mas i tzw. mądrość narodów. Ktoś znowuż zauważy, że przecież tylu ludzi – jak nigdy przedtem – umie pisać i czytać. Więc to piękne i dobre. Że to dobrze. Że to należy ludzkości zapisać na plus. Że jest postęp. Ale każdy z nas – jak tu ponuro siedzimy – wie, że obie te umiejętności przynoszą z jednej strony cierpienie, dają szalone złudzenia, z drugiej niezdrowo pobudzają i są źródliskiem krzywd, szalonych nieporozumień.

Oto – popatrzmy – umiejętności czytania i pisania są kompetencjami występującymi na ogół razem, w jednej głowie. Warto to sobie uzmysłowić, choć wydaje się, że to wtręt nader banalny, pochodzący z krainy oczywistości. Otóż każdy wie, że jak nigdy powszechność, by nie rzec, kompulsywna potrzeba pisania przyprawia każdego z nas o ból brzucha. Nas czytających. Nic zapewne nie zdemolowało etyki i estetyki świata tak, jak rozwój technologii ułatwiających wystukiwanie literek i odejście od mozolnego trenowania tzw. chwytu pisarskiego. Już samo chwycenie pióra było ongiś dla ogromnych rzesz na tyle zniechęcające, na tyle było niemal cyrkową sztuczką, że suma produkcji piśmienniczej była akurat na skalę możliwości intelektualnych Ziemian. W sam raz, można powiedzieć, a proporcje twórczości dobrej do złej były ze wszech miar ludzkie, tzn. i humanistyczne, i humanitarne, była to jakby gospodarka zrównoważona i ekologiczna. Dziś – by jeszcze trochę ponarzekać – zadajemy sobie przykre pytanie: ile w ostatnim tygodniu przeczytaliśmy tekstów, które nie powinny być napisane? Tysiące. Dawniej tak nie było. Sytuacja jest więc arcyprzykra, bo nad umęczoną planetą unoszą się nie tylko kłęby spalin, dwutlenku węgla z przemówień p. Morawieckiego, a na jej powierzchnię spadają nie tylko cuchnące deszcze tworzące czarne oleiste rzeki, których brzegi obsadzone są przez wędkarzy-mięsiarzy, ale na dodatek co chwilę z głów tu żyjących, uważających się za kompetentnych wystrzeliwują w niebiosa pióropusze kompletnie zbędnych myśli zarejestrowanych na napędzanych prądem nośnikach danych. Przyjrzeliśmy się teraz zdaniom powyżej i – jak zwykle – uznaliśmy, że są właśnie adekwatne, błyskotliwe i nowe, a tym samym – potrzebne. To chyba jasne.

Wrócić wypada do sztucznej inteligencji, która bądź to martwi, śmieszy, bądź inspiruje, bądź pomaga w odrabianiu lekcji, zdawaniu egzaminów czy w prowadzeniu recepcji w zakładzie fryzjerskim, inteligencji, która – o dziwo – czyta i pisze, często lepiej, jaśniej i mądrzej niż miliony ludzi. Są tacy, którzy poniekąd słusznie martwią się, że sztuczna inteligencja wejdzie w sojusz z politykami kategorii Gospodarza i jego podwładnych, że ten rodzaj koleżeństwa, czy jak kto woli partnerstwa i współpracy, jest dla tego mechanizmu naturalniejszą funkcją niż luźna przyjaźń z bezosobową demokracją. Jest też scenariusz opisujący konkurencję pracowniczą, w jaką bardzo prędko sztuczna inteligencja wda się z ułomnymi z natury ludźmi. To zapewne doprowadzi do nieznanego dotychczas konfliktu na tle finansowym, społecznym, kompetencyjnym, każdym. I jest jeszcze jeden pomysł, który głosi, że owa inteligencja po prostu zastąpi ludzi we wszystkim, do czego będzie potrzebny rozum, że ludzie będą sobie po prostu odpoczywać, bez chwili wytchnienia, bez początku i bez końca. I to, ze wszystkich tych wieszczb, przynajmniej na pierwszy rzut oka, wydaje się do zniesienia. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

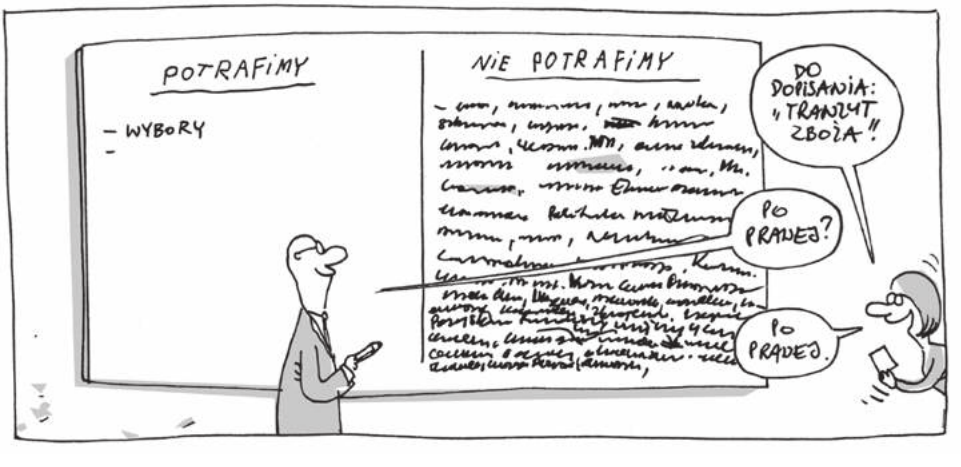

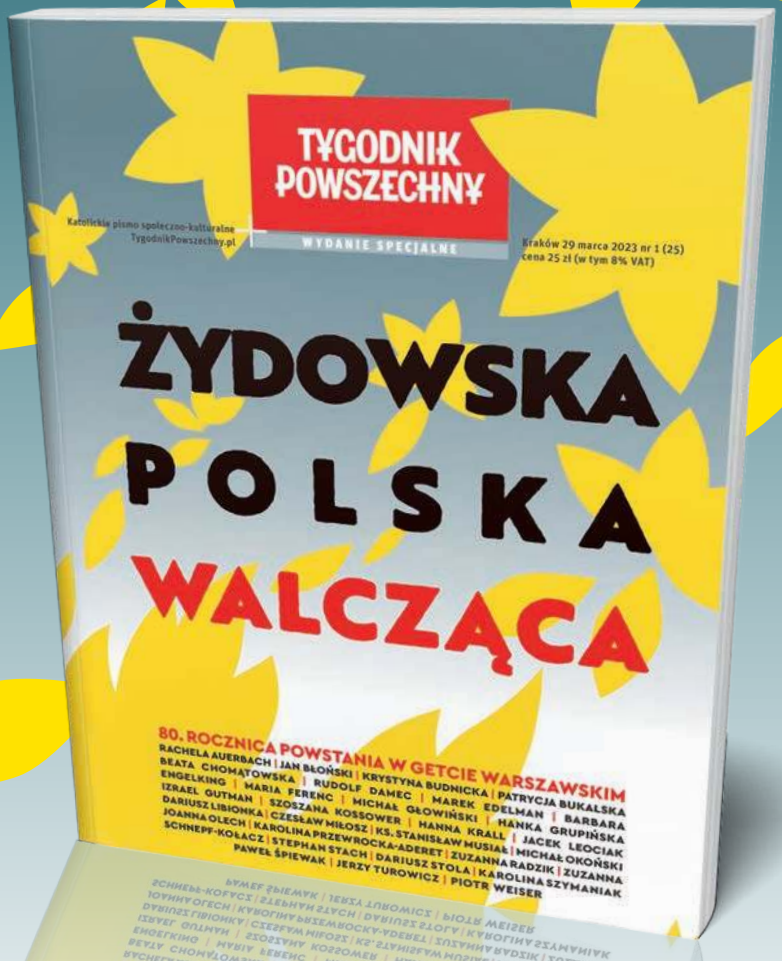

ABA KOWNER: *Nie damy się prowadzić jak owce na rzeź. To prawda, jesteśmy słabi i bezradni, lecz jedyną odpowiedzią na mord może być bunt! Bracia! Lepiej zginąć w walce jak ludzie wolni, niż żyć na łasce morderców. Powstańcie! Walczcie do ostatniego tchu!*

W SPRZEDAŻY WYDANIE SPECJALNE „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

a w nim nieznane wcześniej zdjęcia z drugiej strony muru walczącego getta

Szukaj w miejscach z dobrą prasą
lub zamów swój egzemplarz na
zamowienia@TygodnikPowszechny.pl

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO
WSPÓŁWYDAWCA

GŁÓWNY PARTNER WYDANIA
POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich

PARTNERZY WYDANIA

KONRAD ADENAUER STIFTUNG
FRIEDRICH EBERT STIFTUNG
ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY 75 LAT
FESTIWAL KULTURY ŻYDOWSKIEJ
CENTRUM DIALOGU im. Marka Edelmana w Łodzi
wydawnictwo czarne
zaiks sprzyjamy wyobraźni

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA

POLIN

Muzeum Historii Żydów Polskich

19 IV 1943
POWSTANIE W GETCIE WARSZAWSKIM

ŁĄCZY NAS PAMIĘĆ

polin.pl

PRZYPNIJ WIRTUALNY ŻONKIL
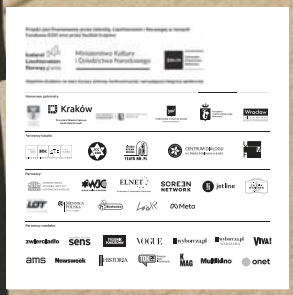
#ŁączyNasPamięć